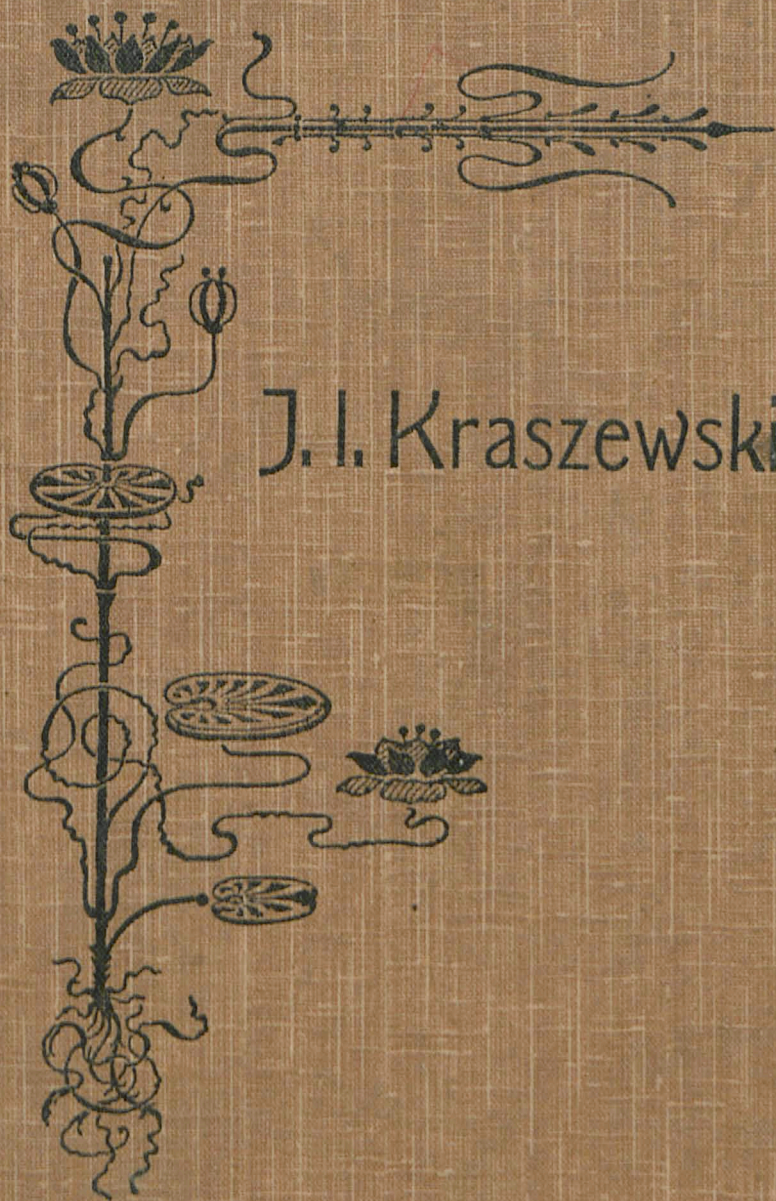




J. I. Kraszewski

POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

Tom sześćdziesiąty ósmy.

BOŻY GNIEW.

(CZASY JANA KAZIMIERZA)

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

Ktoś

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1891.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Мая 1891 года.



hw/m 331

~~~~~  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Nowolipki Nr 9.

I.

Za panowania Władysława IV, brat przyrodni J.M. książę Karol Ferdynand, Biskup Wrocławski zajmował na murach zamkowych świeżo wzniesione skrzydło, które wraz z częścią ogrodu, aż po Wisłę, ustąpione mu zostało.

Tu on wraz ze szczupłym dworem swoim mieścił się, zamykając, jak w klasztorze, w gmachu tym i ogródku, który pielegnować lubił. Była to jedyna część zamku, w której nigdy prawie stopa kobieca nie postąpiła. Surowe życie wiodł książę Karol, od reszty świata dosyć oderwane, modlitwom, rachunkom i uprawie ulubionych kwiatków poświęcone.

Zdawało się, że ten tryb życia, do którego nawykł książę, nigdy się już nie powinien był zmienić, gdy nagle wiadomość o zgonie króla w Mereczu na Litwie, w chwili, gdy straszliwa pożoga szerokim płomieniem rozpościerała spustoszenie krwawe na Rusi przez zbuntowane kozactwo zniszczonej, i w ten spokojny kątek wniosła niepokój z troską o przyszłość...

Kraj stał bezbronny, niemal otworem, a ojca i głowę postradał. Można też wystawić sobie, jaką klęskę, jedno po drugim przychodząc, trwogę niewysłowioną wzniewały. Wojska reszty rozproszone, hetmanowie w kozacko-tatarskiej niewoli... zewsząd gromy lub nadciągające burze.



Zbiegi z pobojuwisk i obozów szerzyły popłoch... Dzień sądu ostatecznego nadchodzić się zdawał.

Jedni drugich obwiniali... a wszyscy winni byli w istocie..

Przychodziło do tego, że niepogrzebionego jeszcze króla oskarżono o podbudzenie rebelizantów przeciwko szlachcie, która go słuchać nie chciała...

— *Dies irae!*—rozlegało się wszędzie. Tłumy rozpasanego motłochu, który krwi zakosztował, posuwały się już w same wnętrzności rzeczypospolitej, która przeciwko nim bronić się czem nie miała.

Jednego Jeremiego Wiśniowieckiego imię stało jeszcze jak tarcza ostatnia. Ratunkiem od tego pogromu jedynym był jaknajprędszy wybór panującego, któryby władzę ujął w dłoń silną i ludzi około siebie skupił ku obronie. Godziny czasu nie było do stracenia.

Najbliższymi tronu byli, naturalnie; dwaj bracia zmarłego: ex-kardynał Jan Kazimierz i Karol Ferdynand, Biskup Wrocławski. Ten ostatni jednakże zdawał się tak mało zdradzać ambicyi, a tak wielkie do stanu duchownego powołanie, iż nikt go w początkach posadzać nie mógł nawet, żeby się starał o koronę. Przeciwnie, Jan Kazimierz, który w życiu rzucał się już na wszystko, i wszystko, co ujął, porzucał z niesmakiem, na pierwszą wieść o zgonie brata przybrawszy po nim, spadły na siebie tytuł króla szwedzkiego, musiał naturalnie rozgorzeć natychmiast niezmierną żądzą otrzymania korony.

Jest to zagadka, kto pierwszy poddał Biskupowi Wrocławskiemu myśl starania się o tron, której on-by sam może nie powziął. Miał bardzo mało pomiędzy senatorami duchownymi i świeckimi przyjaciół, nie żył prawie z nikim; milczący, mało przystępny, skąpy, nie przyciągał ku sobie. Prawdopodobnie korespondencya, jaka się między nim w tym czasie zawiązała z rodziną w Szwecyi, była pierwszą pobudką. Zachęta wychodziła z tamtąd może. Pozostanie to za-

pewne tajemnicą, jak się zrodziła myśl, lecz nagle i niespodzianie dla wszystkich puszczone w świat, że książę biskup będzie się też starać o koronę.

Współcześnie z tą pogłoską, na samym brzegu Wisły należącym do księcia Karola, temsamem prawem co skrzydło jakie w zamku zajmował, z rozkazu jego zaczęto śpiesznie budować

Było to tem dziwniejszem, że po śmierci króla bracia mieli do podziału między siebie pałace na Krakowskim i w Ujazdowie, a Karol pieniędzy wydawać nie lubił.

W miejscu na tę budowę przeznaczonem stała niegdyś szopa, która dworowi do kąpieli w Wiśle służyła i do odpoczynku po nich.

Była w niej kępielnia dla dworu, a później prze-myślny mieszczanin wprosił się tu z rodzajem gospody pod wiechę, gdzie wino, miód i piwo sprzedawał.

Z rozmaitej czeladzi dworskiej i panów, którzy na dworze bywali, wielu żwawszych i młodszych zbiegało tu dla swobodniejszej zabawy. Na zamku musieli się trzymać cicho, spokojnie i oglądać się na marszałkowskie sługi; tu byli po za murem i za okiem.

Nagle po śmierci króla, wśród tego rozgorączkowania, które umysły opanowało, ujrano z wielkim pośpiechem cieśli, murarzy, budowniczego Włocha i całą gromadę robotników krzątających się około szopy. Przerabiano ją na gwałt, powiększano i ozdabiano; nikt nie wiedział na co i dla czego?

Nikt też, ani budowniczy sam, nie umiał powiedzieć: do czego przeznaczono nową szopę, nie wiedzieć bowiem, jak to inaczej nazwać było. Ciekawi, którzy tam zaglądali, widzieli w pośrodku ogromną, długą izbę słupami popodpieraną, a po rogach kilka pomniejszych. Z boku ogromne kuchenne miało się znajdować ognisko, a pod jedną z izb murowano do-syć obszerną piwnicę.

Nie było tajemnicą, że się to czyniło kosztem



księcia Biskupa Wrocławskiego, który sam parę razy z ogrodu swego schodził budowę oglądać, i pracującym pośpiech zalecać. W części z muru, resztą z drzewa ogromna gospoda, stanęła wkrótce tak jak gotowa; ściany jej pobielono i pomalowano, natychmiast wewnątrz wyporządkując. W wielkiej izbie, jak była długa, ustawiono dwa rzędy stołów i ław przy nich. Do ścian poprzybijano świeczniki niewykwintne, ale gęsto; w bocznych izbach pomniejszych trochę pokąźniejsze ustawiono stolki, stoliki i szafy.

Można się więc było spodziewać, że ktoś wkrótce obejmie gospodę; w istocie ze dworu księcia Szlązak, niejaki Nietopa, przeniósł się tu na mieszkanie, a z nią sta wzięty z kuchni kancлера Ossolińskiego młody i zdolny kucharz Czernuszka począł spiżarnią zaopatrywać.

Łatwo się było tedy domyślać, że zbliżająca się elekcya miała gospodę zużytkować, chociaż była ona tak od pola i od szopy oddaloną, iż nie na wiele szlachcie się przydać mogła.

Do sejmu elekcyjnego jeszcze dosyć zostawało czasu, gdy w gospodzie tej obudziło się życie i już aż do końca wyborów nie ustawało.

Szli Mazurowie szczególnie tutaj, jak w dym, ale i inni za nimi, bo drzwi wszystkim stały otworem; Nietopa przyjmował nader gościnnie, karmił, poił, a nikomu płacić nie kazał.

Oprócz niego kilku szlachty z waszecia, Wysocki jeden, Czyrski, Niszczeycki, zasiadali tu, przyprowadzali z sobą panów braci i jawnie ich na stronę księcia biskupa jednali.

Czy się kto chciał i miał nawrócić ku niemu, czy nie, gdy tu pieczeń zawieszista codzien pachniała, a piwo i miód były doskonałe, ludzie ochoczo płynęli.

Że tak skąpy pan nie żałował na to, dziwiono się powszechnie, a Nietopa powtarzał swoim łamanym językiem:

— Dla rzeczypospolitej ten pan nie nie pożałuje.

W początkach nie było gości tak wiele w gospodzie, choć pustką ona nigdy nie stała, ale im bliżej sejmu elekcyjnego, gdy się zaczęto ściągać i zjeżdżać, zrana, od pierwszej mszy św., izba wielka bywała nabitą i przy dobrej myśli zabawiano się niemal przez noc całą. Kto sobie podochocił, na ławie się przesypiał, nie mówiono mu nic.

Nietopa pilnował właściwie tylko gospodarstwa i porządku; Wysocki zaś, Czyrski i Niszczeycki oratorami byli i rej wiedli.

Nie można było przeciwko ich wyborowi powiedzieć nic. Każdy z tych ichmościów miał swój przymiot, a wszyscy gęby wyprawne, co się zowie.

Na skinienie wzajem sobie pomagali.

Wysocki głową ich mógł się nazwać; bystry, zręczny i, choć chudy pacholek, miał prezeneyą taką i tak umiał zgrzebne płótno za atlas sprzedawać, iżby go zdala każdy wziął za potomka wielkiej rodziny i za majątnego panka, gdy w istocie ani zagona nie miał.

Ale głowę nosił, piersi nastawiał, ręce zakładał za pas, nogami tak umiał robić, że czy siadł, czy stał, czy chodził, pańsko zawsze. Na ludzi patrzył zwysoka i spoufaleć się z sobą zbytnio nie dawał. Szanować go musiano, choć nikt nie umiałby był powiedzieć: za co? Wysocki wymowę miał nieszczególną, ale i z tą tak się umiał obchodzić, że go za oratora miano. Chrzakał, ręką machał, oczyma łupał... mruczał, pokrzykiwał, i tak to czynił odważnie, iż wszystkich konwinkował.

Ponieważ wzrost miał nadzwyczajny, tak, że mało kto go dorósł, w ciżbie zatem oczyma panował nad tłumem i, gdzie go było potrzeba, zjawiał się natychmiast.

Wymowie postawa w pomoc przychodziła.

Czyrski, mały, zwinny, jowialista, jakich wówczas pełno było, tak, że go z najcelniejszymi ówczesnymi, z Samuelem Łaszczem i Zaliczewskim, porównywano



nieustannie w ruchu, w łamańcach, w wybrykach, z czupryną najeżoną, jak szczecina, z gębą ogromną, z brzuszkiem okrągłym, miał to posłannictwo, aby wszystkich rozweselać, a kogo potrzeba było—ośmieszać.

Dowcip jego nie silił się na subtelność; rąbał jak siekierą, ale znał swych słuchaczy doskonale i nigdy nie chybił; zrozumieli go oni zawsze. Czasem znane go co powtórzył ale tak przyłatał w miejscu, że uszło za jego własne.

Najrozumniejszym i najwymowniejszym statystą był Niszczycki.

Mówiono o nim, że się sposobił był do stanu duchownego i wyszedł potem z jezuickiego seminarium na prawnika. Trochę teologa, trochę jurysty czuć też w nim było. Mówił łatwo, dużo, i nigdy go nikt nie skonwinkował.

Gdy zaczął mówić, miał ten dar, że go słuchano; rozgniewał się: niezem dla niego było godzinę i półtorej wodę warzyć, przelewać jedno, a jedno. Słuchacze, wkońcu zmęczeni, mówili przy konkluzji:

— Ma słuszość... ma słuszość...

Ci trzej ichmoście byli tu w gospodzie co dnia.

Zjawiał się ktoś nowy, — otaczali go troskliwością szczególną; pojono, karmiono, zabawiano i niepuszczano ztąd aż przyrzekł, i sam powrócić i drugich z sobą przyprowadzić.

Czyrski szczycił się, że Kasztelana Chelmińskiego był powinowatym; Niszczycki sam miał tytuł Chorążego Belzkiego.

Zresztą dostojniejszych tu napotkać było trudno, ale musiała gospoda ks. Karola być i potrzebną i pożyteczną, gdy ją utrzymywał, pomimo że go niezmiernie wiele kosztowała.

Niepota człek był poswojemu uczciwy, ale nie byłby swego wieku dziecięciem, żeby się nie starał korzystać z położenia dla własnej kieszeni. Kuchacza i spiżarni mimo pozorów bardzo było trudno do-

pilnować. Ówieri mięsa szły okrutnie pośpiesznie, a piwnica się opróżniała w cudowny sposób.

Bywały takie dni, że pod noc, na miasto posyłać musiano, aby wstydu nie mieć.

Wysocki zaś szczególnie nalegał na to, iż tu skąpstwo było nie w miejscu i perorował Szlżakowi na swój sposób:

— W. mość to powinienes rozumieć, że tu albo tego... albo tego... albo starosta, albo kapucyn. Zbłaźnić się nie godzi. Mnie samemu księcia żal i jego talarów, ale kiedy chce królem być—to darmo!!

Jednego jesiennego wieczora tłumniej było w gospodzie, niż zwykle, i tak gwaro, że w nieopodal stojącym pałacu księcia Karola, który od gospody kawał placu tylko i mur gruby oddzielał, pewnie szum ten słyszeć musiano.

Nie było prawie dnia, aby z tych pogromów kozackich, z tych pobojuwisk sromotnych, z tych krajów zalanych przez motłoch pijany, nie zjawił się biedny zbieg jakiś, ranny... wyzwoliwszy się z niewoli lub t. p. Włosy wstawały na głowie słuchaczom, gdy ci nieszczęśliwi opowiadać zaczęli; ale tego dnia szlachcie Podlasiak, niejaki Szmerdowski, szczególnie wszystkich mocno zajmował: takie straszliwe dzieje, których wszystkich świadkiem był, opowiadał nieznużony, od rana. Posądzali go wprawdzie niedowiarkowie niektórzy, iż srodze musiał fantazją nadrabiać, ale kłął się i w piersi bił i powtarzał ciągle: „Bodajem się tak z miejsca tego nie ruszył, jeżeli to wszystko świętą prawdą nie jest, którą na oczy oto te oglądałem.“ Okrucieństwa szczególnie zbuntowanego chłopstwa przerażały. Pomiedzy innemi Szmerdowski też przyniósł jeden z pierwszych tę pogadankę, iż Kozacy się chlubili rozkazem nieboszczyka króla, który im krzywdę się mścić na panach i szlachcie dozwolił.

W niewoli będąc u Kozaków, z której cudem miał się wysłiznąć, na swe uszy słyszał to od starszyny



kozackiej—i dodawał, że pana, bądźcobądź co rychlej obierać było potrzeba, bo Kozacy tylko na imię króla i z nim układać się zechcą, a z panami—nigdy.

Wszyscy też tu jednego byli zdania: iż król a wódz koniecznie był potrzebnym. Rakoczy, choć się i stręczył i napraszał, nikt do niego smaku nie miał; o innych kandydatach nie czas było rozmyślać: pozostawał więc tylko wybór między Janem Kaźmierzem a Karolem.

Trudne zadanie mieli ci, co ostatniego zalecać chcieli.

Nikt go nie znał.

Kazimierza zaś znano aż nadto.

Tu w gospodzie nie oszczędzano go wcale i Czyrski, gdy ktoś o nim napomknął, parsknął śmiechem.

— A toż nam drapnie, jak Walezy — zawołał — jeśli, uchowaj Boże, wybór padnie na niego!! Gdzież on kiedy wytrzymał?? Mniczem był: zbrzydł mu kaptur rychło; okrył go Papież purpurą: i tę mu odesłał. Znowu tedy świecką suknię wdział i ta go prędko parzyć będzie. Dacie mu koronę: niedługo ją ponosi. Któż go tu nie zna? Polaków nie lubi; Niemcy i Włochy to jego najmilsze towarzystwo, a papugi, małpy też i karły, bo z niemi po całych dniach siedzi, chętniej niż z panami senatorami!! Pożytku z niego Rzeczpospolita mieć nie będzie. Całemu światu wiadomo, że książę nasz Karol oszczędnością i rozumem grosza sobie zebrał sporo, z tego już teraz, nie czekając, kilkuset ludzi uzbrojonych swoim kosztem posłał na obronę granie rzeczypospolitej od kozackiej powodzi. Kazimierz grosza przy duszy nie ma, wprzód zawsze zje, niż dostanie, bo u niego ładu nie pytać. Ani ich porównać można z sobą—ciągnął dalej Czyrski z zapalem wielkim—Książę biskup człowiek poważny i stateczny; ten za dziewczkami biega, jak młokos, tak, że królowa od swego fraucymeru drzwi przed nim zamykać musiała.

Słuchali wszyscy w milczeniu, aż jeden szlachcie z kąta, siedzący nad szklanicą piwa z grzankami, powoli począł:

— Panie Boże odpuść! nie szczęściło się nam z panami naszymi od czasu, jak Jagiellonów nie stało. Francuza—śmy wybrali ze strachu, aby Rakuszani—nowi się nie dostać, a ten nam srom uczynił, uciekłszy precz. Przyszedł po nim z wilczemi zębami Szezepanek i począł cisnąć, a może-by i ład zaprowadził, gdyby go śmierć nie zaskoczyła. Ale co i po nim było? Z Francuzem się żaden z nas rozmówić nie mógł, bo naszego języka nie znał, ani się go uczyć chciał, z Batorym też kto po łacinie nie umiał, musiał przez Zamojskiego konwersować. Bóg ci jeden wie zresztą: kto panował naówczas, Batory czy Zamojski? Aż wybraliśmy sobie z kroplą krwi jagiellońskiej Zygmunta, co go nam zalecili, że się pacierza naprzód po polsku uczył. Biliśmy się aż za niego, aby znowu Rakuszanina nie puścić! Co potem? Rakuszanin mu żonkę dał i jedną i drugą, a z żonami weszła niemczyzna i dzieci się pochowały na niemiaszków.

Byłby tak dłużej się rozwodził szlachcie, ale Niszczycki nie dopuścił, zważywszy, że koniec końcem nie szło to na korzyść księcia Karola.

— Hej! hej! — zawołał żywo — co tu przeciwko Opatrzności Bożej i losom przeszłym rekryminować nadaremnie! Co się stało, odstać się nie może. Dziś *periculum in mora*; pana potrzeba co najrychlej, dwu ich tylko do wyboru mamy. Książę ex-kardynała, który się dziś już szwedzkim królem nazwać każe, znamy! To dosyć, aby go nie chcieć!

Przepomnieliśmy też jedno, że dla tego tytułu króla szwedzkiego, o który się spierać będą, wojnę nam może naprowadzić...

Niechaj-że sobie panuje w Szwecyi, a my księcia Karola jednogłośnie na tron wezwijmy. Wszystko mówi za nim.



Milczano dokoła, nikt jakoś nie przeczył, głuchy gwar tylko izbę zapelniał. Część gości obstała szlachcica, który o okrucieństwach Kozaków i Tatarów opowiadał i z gorączkową ciekawością, coraz nowemi pytaniami, coraz też straszniejsze i krwawsze wywoływał obrazy. Wtem od jednych drzwi ściśnięty tłum rozstąpywać się zaczął ze szmerem jakimś dziwnym i ponad głowami jego ukazał się wierzch tylko czaszki okrytej rozczochranemi jak krzak włosami siwemi, a zarazem z ust do ust podawać sobie poczęto:

— Bojanowski! Bojanowski!

Imię to miało, jakby własność nakazywania milczenia, gdyż wszystkie usta się zamknęły, a oczy skierowały w tę stronę, gdzie przez rozdzielające się dobrowolnie fale tłumu zwolna przedzierał się ów Bojanowski.

Wysocki, Czyrski, Niszczycki, zasłyszawszy o nim, wszyscy się znaleźli kupką razem, jakby czuli obowiązek zgromadzenia się ku obronie. Przez rozstępujące się ściany gości wyszedł naostatek Bojanowski ów, którego długo tylko siwą najeżoną włosami głowę widać było.

Już z niej o wzroście jego wnosić było można; olbrzymim wistocie ukazał się, a wychudzenie czyniło go jeszcze napozór roślejším. Skóra to była tylko i kości, ale kości grube, potężne, na których pooplatane ścięgna i żyły jakby podskórną siatkę tworzyły. Ogromna, blada, przeciągła twarz, z długą brodą siwą, tak rozczochraną, jak włosy, spadała mu na piersi, nawpół obnażone. Mało kto mógł bez niepokoju i prawie że trwogi wejście tego człowieka wytrzymać. Głęboko pod kośćmi czołowemi ukryte oczy, w tym cieniu sklepień obrosłych brwiami najeżonemi świeciły jakby w istocie ogień jakiś w nich gorzał.

Rysy twarzy regularne, ostre, suche, miały wyraz pogardy i odwagi niewypowiedzianej. Wargi bledsze,

niż skóra, prawie białe, jakby spalone, nawpół tylko miał przymknięte. Pomimo, że suknia, która go okrywała, prawie lachmanem się nazwać mogła, Bojanowski miał majestatyczną postać. Brunatnego koloru rodzaj opończy, przypominający zakonnym krojem mnicha, bez kołnierza u góry, w grubych, gęstych fałdach opadał mu na nogi okryte skórzanemi cholewami, które sznurkami były przytwierdzone. W pasie obwiązany był prostym sznurem, powrozem raczej, od którego zwieszony różaniec drewniany z gałkami ogromnemi i nieforemnemi, za każdym poruszeniem wydawał jakiś grzechot niemiły. Pacierze te drewniane stukwały jakby kości trupie. W jednej ręce niósł ogromny, gruby kosztur, którym się podpierał, a trzeba się było przypatrzeć tej ręce, aby zrozumieć, czem ten człowiek zamłodu być musiał. Dziś jeszcze zdawało się, że gdyby kosztur chciał pocisnąć, woda-by z niego pociekła.

Szedł powoli Bojanowski, ale nie sam; z lewej strony pod łokciem jego sunął się mały człek, zdyszany, niespokojnemi oczyma patrzący dokoła; był to jego—niewiadomo:—sługa, towarzyszy, uczeń,—dość, że nieodstępny cień.

Podszedłszy ku środkowi izby, w której coraz ciżej na widok jego być zaczynało, Bojanowski stanął i oczyma swemi z głębi jam, z pod cienia brwi, potoczył dokoła.

Dla wszystkich niemal, co się tu znajdowali, Bojanowski przynajmniej z nazwiska i rozgłosu był znany. Chociaż dziś ledwie się o nim pamięć uchowała, w owe czasy cała niemal Polska, a przynajmniej znaczniejsza część jej znała Bojanowskiego lub słyszała o nim.

Głucho i różnie rozpowiadano o jego przeszłości; wiadomo tylko było napewno, że od lat wielu odprawiał pokutę, odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej, był w Rzymie, a teraz od jednego do drugiego cudo-



wnego obrazu pieszo chodził, po kościółkach się wiejskich zatrzymując, a zagadnięty — do pokuty pobudzał ludzi.

Wymownym był, a śmiałym, że nikogo nie szczędził. Ciekawi go często byli ludzie, lecz się zarazem obawiali, osobiście panowie i szlachta, których bez miłosierdzia chłostał i smagał. Łagodniejsi duchowni częstokroć próbowali go powstrzymać od wybuchów i skłonić do większego pomiarkowania, ale Bojanowski, nie sprzecząc się z nimi, wysłuchawszy co mówili, bynajmniej postępowania swojego nie zmieniał.

Rozpowiadano o nim, że tam gdzie publiczne zgorszenie widział, albo słyszał o niem, wędrował nieproszony i nawoływał do pokuty. Udało mu się niejednemu raz tak nawrócić grzesznika i skrucę w nim obudzić, ale też i psami go czasem ze dworów wyszczuwano i kamieniami ciskano za nim.

Chociaż wyglądał jak żebrak, Bojanowski nigdy od nikogo nie nie przyjmował, chyba, że go głodnego nakarmić kto się ofiarował, ale i to jego jadło nikomu być nie mogło ciężarem, bo mięsa nigdy nie brał w usta, a lada polewką, chlebem, wodą, mlekiem głód zaspakajał. Towarzysz jego, którego znano pod nazwiskiem Warsza, pilnował, powiedzieć było można, aby postów zbyt nie przeciągał i czasem gwałtem niemal go karmił.

Miano go za tak świątobliwego, iż po drodze, gdzie się ukazał, matki przyprowadzały mu dzieci, aby je błogosławił. Bronił się on tej czci i niekiedy oburzał.

— Jam taki grzesznik nędzny, jako i wy—wolał zniecierpliwiony—widzicie, że pokutę za grzechy moje odprawuję. Nie pomóżcie wam błogosławieństwo skalanych rąk, ani spalonych warg moich: módlcie się sami, a Bóg was wysłucha.

Wtargnięcie Bojanowskiego do gospody było rzeczą zupełnie dla gości tutejszych i gospodarzy nie-

pojętą, gdyż stary pątnik w takich tłumnych zgromadzeniach nie bywał nigdy, unikał ich, uciekał od nich. Wysocki i jego towarzysze wcale mu też radzi nie byli. Nie rozumiano, kto go tu wprowadził.

W tem zza stoła ów Podlasiak, który się mienił zbiegiem od pogromu i cuda owe rozpowiadał, ruszył się, ujrawszy Bojanowskiego, jakby przeleknął. Stary go szukał wejrzeniem, a raz znalazłszy, wlepił oczy w niego z takim natężeniem i siłą, że Szmerdowski, jak skamieniały, stanął.

Milczenie coraz głębsze objęło izbę, jak była wielką, i aż do końców jej zwolna się rozpostarło. Bojanowski stał i kijem uderzył w podłogę.

— Mów — rzekł zwolna silnym i głębokim — mów! Niechże i ja słyszę, jako Bóg nas karze. Mów!

Tymczasem wymowny do zbytku przed chwilą Szmerdowski, języka zapomniawszy w gębie, belkotał tylko coś niewyraźnie.

Ci, co go wprzód tak ogniście opowiadającego słuchali, poczęli rękami potrzącać i szeptać. — A no — mówże!

Wysocki, rad może, iż o nie więcej nie szło Bojanowskiemu, nakazującym ruchem Podlasiakowi dał znak, aby był posłusznym.

Ale Szmerdowskiego cała odwaga i pewność siebie opuściła.

— Już mi sił nie staje — odezwał się słabym głosem — a co oczy moje oglądały, to mi się samemu wydaje jako sen, nie do wiary. Cóż drugim, którzy o tem słuchają? Krew się lała i leje potokami, studnie trupów stoją pełne. Lasy całe na pale powbijanych dokoła miasteczek stoją. Żaden zwierz dziki tak się nie pastwi nad swą ofiarą.

Gdy to mówił głosem drżącym Podlasiak, słuchał go starzec milczący.

— Ani ty potrafisz wymyśleć — rzekł po przestanku — czego-by sroga pomsta Boża nie spełniła. Tak

Boży gniew. T. I.

JK

ROMANOWIE

331



jest, niestety! czyś oglądał, czy słyszał—czy śniło ci się tylko... wszystko to prawdą jest, było, stało się lub stanie!

Wielkie były grzechy nasze, więc nadszedł dzień sądu i kary.

Lat temu niemało proroczym głosem z kazalnicy Skarga, mąż święty, wszystko to przepowiedział. Niewolę u obcych, znęcanie się sług nad nami, rzeznie, pożogi i sromotne zbiegi z placu boju—i męczarnie... i rzeki krwi, i chóry jęków do głuchych niebios... bo je grzechy nasze dla nas zamknęły. Więc dopuścił Bóg i chłosta się poczęła! a trwać będzie, nie jeden dzień — *dies irae*, ale wieki gniewu pańskiego, tak jak wiekami ciągnęły się rosące grzechy naszel!

Bojanowski jęknął.

Cały ten tłum przed chwilą prawie rozweselony napojem i płochami rozmowy, uczył się przerażonym.

Głos starca, jakby z grobu wychodzący... poważny, potężny siłą tajemniczą, do głębi wszystkich przejmował.

Ciężkie westchnienia i jęki nawet zaczęły się dobywać z piersi niektórym... innym łzy się toczyły.

Starzec stał z oczyma wpatrzonemi jakby w dal — mileząc chwilę.

— Pana myślicie wybierać—ciągnął dalej zwolna — i potrzeba go nam, zaprawdę... lecz któż z was słuchać zechce wybranego? Wysadzicie go, abyście mu się urągali, aby wam zapłacił, aby każdy z was z niego skorzystał... bo prywatnie u nas jedna w sercach. Urzędów pragniecie, nie dla służby Rzeczypospolitej, ale dla jurgielców, dostojenstw żądacie jako arendy, z której wam dochód płynąć będzie. Żołnierz nie słucha wodza, hetmani się kłócą z sobą. Po domach niezgoda... na sejmach rozerwanie, przed wrogiem i bitwą nieposłuszeństwo. Na wojnę ciągnęliście namioty złote i pierzyny i kredensy srebrne wioząc z sobą... otóż je macie w kozaczach dziś rę-

kach łupem! Mężtwo nawet stare z piersi wygnała zgnilizna rozpusty.

A przykład szedł z góry — i jedna ona łaźnia krwi nie obmyje ani uleczy.

Kary Bożej świt to dopiero i początek... pokolenia ją znosić będą... wieki ona trwać musi...

Głos cichszy coraz zmienił się w niewyraźne mruczenie. Wszyscy stali pomieszani i strwożeni.

Niszycki, który jeden pochlebiał sobie, iż temu straszному prorokowi placu dotrzymać potrafi, zbliżył się nieco.

— Nie należy nam mężstwa odejmować—odezwał się — gdy go właśnie najwięcej potrzebujemy! Bóg da, nie pójdzie napomnienie jego na próżno. Poprawa już jest znaczna; wszyscy dziś czują, jakiego nam pana potrzeba i zgodni są, aby go obrać głosami jednemi.

Bojanowski spojrział nań długo, topiąc w nim wejście.

— Módlcie się, a czyńcie pokutę—rzekł. Nie wiecie nic, ślepi jesteście—ani pochlebajcie sobie, abyście moc mieli jaką. Ta siła dana jest tylko narodowi zdrowym i niezeepsutym. My już nie władamy sobą... będziemy losów, wiatrów... albo raczej twardej owocu naszego grzechu ofiarą. Ani wybierzcie kogo chcecie... ani pójść będzie mógł, jak żąda. Zerwały się wodze... i woźniki pędzą bez nich na przepaście.

Módlcie się a kajajcie! módlcie się a czyńcie pokutę!

Podniesionym głosem, wymówiwszy wyrazy te Bojanowski jeszcze raz powiódł oczyma po tłumie, w którym już szlachcica Podlasiaka nie dostrzegł. Zniknął on gdzieś i skrył się.

Starzec, postawszy chwilę, otoczony trwożliwym milezieniem, poruszył się, zawrócił zwolna i pokreśliwszy wąż, — począł posuwać się ku drzwiom. Nikt go też wstrzymać nie śmiał; kilku tylko bliżej stoją-



cych pochyliło się do ucałowania ręki świętobliwego meża — ale starzec ją żywo uchylił, niedopuszczając tej oznaki poszanowania.

Poza nim zamykał się już tłum ten gęsty — i z kątów ogromnej izby zwoła szmer głuchy najpierw, potem coraz głośniejszy gwar, aż hulaśliwa wrzawa nanowo rosnać poczęła. Wszyscy jakoś swobodniej odetchnęli, gdy się Bojanowski oddalił. Szmerdowski, który był się gdzieś w kąt wcisnął, wynurzył się znowu z tłumu.

— Świętobliwy mąż — odezwał się półgłosem Niszczeyki, który niebardzo był rad zjawieniu się jego i wrażeniu, jakie zostawił po sobie. — Świętobliwy mąż, ale pokutnik też za grzechy wielkie.

Niszczeyki, który niebardzo był rad zjawieniu się jego i wrażeniu, jakie zostawił po sobie. — Świętobliwy mąż, ale pokutnik też za grzechy wielkie.

Niszczeyki ręką wskazał na czoło.

— Dziś mu już tu wszystko się zmieszało... bodaj własne jego grzechy z naszymi...

Bóg sprawiedliwy jest, ale miłosierny: to, cośmy wycierpieeli, starczy za karę. Wybierzemy pana, skupimy się około niego, pójdziemy na to chłopstwo ze starym duchem rycerskim.

Gdy to mówił, szlachcie z tłumu się wyrwał:

— U nas to według zwyczaju król zarazem najwyższym hetmanem bywał; a gdzież tu biskupowi, co się od dzieciństwa błogosławić tylko uczył, za oręż porywać, którego nigdy w rękę nie miał!

Zahukali go zaraz Czyrski i Wysocki.

— Na wodzów, hetmanów mamy ludzi — zawołał Czyrski — a królowi dosyć męstwa... które książę Karol ma... Rycerstwo u niego we krwi... niech pancierz wdzije a hełm: zobaczycie co z niego będzie!

Śmiechem jakoś przyjęto oświadczenie Czyrskiego, ale gwar wielki stłumił spór dalszy. Wysocki kazał misy podawać i kubki napełniać.

## II.

W sypialni swej, przy kłęczniku, czarnem suknem obitym, otoczona żałobnemi kiry, sama w grubej żałobie, zadumana głęboko przed nawpół otwartą księgą, na której rzucony różaniec leżał, ze łzami w oczach, dumala królowa Marya Ludwika.

Lata przeżyte w Polsce, walki i nieustanne czuwania, znużeniem się wypiętnowały na pięknej jeszcze jej twarzy, której wyraz pełen był energii i siły.

Znużona była ale się nie wyczerpało męstwo, zdawała się tem dumanie gotować do nowych zapasów. Myśl jej przebiegać musiała i przeszłość ową różową spędzoną we Francyi, straconą dziś i zatartą, i ciężkie zdobycze w Polsce dokonane.

Niezaprzeczone one były i choć się królowa nie chlubiła niemi, a raczej ukrywać wołała, aby nie obudzić obawy, wpływ jej zdawał się czuć wszędzie. Pobożna, miała znaczniejszą część duchowieństwa za sobą, wychowaniem, ogładą, obojętnością się zyskała sobie przedniejszą część panów, którzy, jak ona, obyczaj cudzoziemski nad polską rubaszną prostotę starą przekładali. Na północy przedstawiała ona i skupiała około siebie wszystko, co interesom Francyi służyło, i miała silne jej poparcie, a że każdy z tych panów senatorów, który jej sprzyjał i umiał cenić, był wodzem znacznego obozu szlachty uboższej, przez nich królowa też na nią rachować mogła.

W tej chwili właśnie ważyło się w jej umyśle, jaką rolę w tym czasie elekeji przybrać miała, jaką czynność przedsiębrać.

Do porady nie mogła wezwać nikogo, zwierzyć się nawet nie śmiała nikomu. Przyjmowała kondolencyjne odwiedziny wszystkich, od starego prymasa



począwszy, jako wdowa przynębiona żalem, sierotwem swem, smutkiem po nienagrodzonej stracie.

Nikom to obcem nie było, iż pożycie nieboszczyka króla z żoną, wcale serdecznemi nie połączyło go z nią węzłami. Obojętny aż do końca, płochemi miłostkami się rozrywający, z musu tylko szanował żonę, dla oka ludzkiego zabierał ją z sobą w podróży, ulegał jej wymaganiom, obawiał się często ostrych wymówek, ale nie pokochał wcale. Ona też okazywała mu poszanowanie należne królowi i panu, ale się nie kryła z odrazą dla jego trybu życia i obyczajów.

Zawiadamiana o każdej nowej płochości, ulegającego towarzyszom, którzy jego słabość wyzyskiwali, męża, królowa wiele musiała niewiedzieć.

Posadzona sama o płochość, nie mogła zapomnieć tego nigdy: i postępowanie jej, surowość dla dworu, były ciągłym kłamek zadawanym potwarzy. Zakładała klasztory, zwiedzała kościoły, otaczała się pocóżnemi, karmiła najmniejszy pozór lekkomyślności we dworze ją otaczającym. Z tego powodu niemal ciągle musiała jawniej lub mniej widocznie opierać się napaściom Jana Kazimierza, który najpierw nieznośnie się naprzykrzał pięknej pannie Duret, potem pannie Luce, z kolei wreszcie innym pięknościom francymeru, starając się sobie ująć napróżno to pannę Langeron, to panią des Essarts. Wszędzie dręczony swemi zachciankami romansów, Jan Kazimierz odchodził odparty i zniechęcony.

Wiedział bardzo dobrze, iż w znacznej części to niepowodzenie swe zawdzięczał królowej, miał do niej o to żal; ale nigdy nie wyszła na jaw, ani z jednej, ni z drugiej strony ta walka potajemna, czasem śmiech obudzająca w Maryi Ludwice.

Ex-kardynał musiał szukać wynagrodzenia za te klęski w kołach, naprzemian arystokratycznych, szlacheckich, a naostatku mieszczańskich nawet.

Nad smutnym tym charakterem Jana Kazimierza,

który od jego powrotu z Włoch czas miała badać królowa, nigdy się nie zastanawiała baczniej, nie poddawała go surowszemu ocenieniu, niż dzisiaj. Bystre jej oko nie potrzebowało głęboko sięgać, aby przewidzieć, że Król Szwedzki zostanie polskim zarazem, chociaż w bracie Karolu miał niebezpiecznego współzawodnika.

Niebezpiecznym szczególnie był Biskup Wrocławski pieniądźmi, jakimi rozporządzał. Król Szwedzki, oprócz długów, mało co więcej posiadał. Najszerzej prowadzona elekcyja wymagała wielkich wydatków, nieuniknionych prawie. Wyrobiły się już pewne formy i tradycye, pewne obyczaje wyborcze. Musiano się posługiwać wielu pośrednikami, ludźmi ubogimi, których opłacać było potrzeba.

Na to wszystko Jan Kazimierz nie miał prawie zasobu, gdy Karol już przeszło milion złotych, jak mówiono, na zaciąg ośmiuset ludzi, których ofiarował Rzeczypospolitej, i na rozliczne inne przedelekcyjne zabiegi, wyłożył. A mógł dać więcej jeszcze... Z księciem Karolem królowa nigdy stosunków nie miała. Unikał on kobiet wogóle, a zmuszony bywać u Maryi Ludwiki, swą suknia duchowną i charakterem stawał na stronie, nie spoufalając się wcale. Oprócz tego temperamentem, charakterem, całym sobą, nie podobał się królowej i jej nawzajem nie lubił.

Nie mógł też miłszym się stać Jan Kazimierz, którego powierzchowność była wstrętliwą, obejście się naprzykrzone, rozmowa cczą i nieznośną, ale Marya Ludwika czuła w nim człowieka, nad którym łatwo inwazyą zapanować było. Nie miał on wytrwania w niczem, prowadzić się dawał, tym, co, jak Butler i inni faworyci, przypodobać mu się umieli.

Krótką chwilę po zgonie męża królowa pomyślała o powrocie do Francyi, ale natychmiast uczuła, iż on-by był błędem i abdykacją przeszłości, której się jeszcze wyrzekać nie chciała.

Cały jej majątek, wyposażenie, mnóstwo rozpoczę-



tych fundacyi ją tu powstrzymywało. Musiała pozostać i mogła jeszcze przeważną odegrać rolę. Wzrok jej przebiegał cały szereg tych ludzi, którzy stali lub mogli stanąć u stercu, a wśród nich ani jeden się jej nie wydał wyposażonym tak, aby mógł zapanować nad wypadkami. Czuła się do pewnego stopnia silniejszą, niż oni, lub co najmniej zdolną stanąć i do walki i do rudla.

Ale w tej chwili były to jeszcze raczej przecucia, marzenia, rojenia, niż powzięte zamiary i myśli. Czuła tylko, że powinna była zachować swą niezależność, stać na uboczu i nie mieszać się do niczego, dopóki nie była zapewnioną własnych korzyści i pozyskania godnego siebie stanowiska. Domyślać się mogła łatwo, iż Biskup Wrocławski równie jak Król Szwedzki (tak się on nazywać kazał), starać się będą o pozyskanie jej sojuszu i pomocy, lecz właśnie w interesie przyszłości było nie wiązać się niczem. Rozmyślanie to przerwało jej modlitwę; klęczała jeszcze ale sparta na rękę, przestała się modlić, gdy lekko uchyliły się drzwi i królowa postrzegła zaglądadzącą ostrożnie Langeronównę. Zwróciła ku niej pytające oczy.

Na palcach podeszła Francuzka... i przyklękła przed panią, szepecząc:

— Król Szwedzki...

Brwi Maryi Ludwiki zlekka się ściągnęły, pomyślała chwilę.

— Powiedz, że kończę modlitwę a ksiądz Fleury niech wyjdzie na jego przejęcie; ja zaraz tam będę.

Ksiądz Fleury, szepnij, aby się nie oddalał w ciągu bytności króla.

Posłuszna Langeron wysliznęła się z pokoju, a królowa, jeszcze po febrze osłabiona, z ciężkością się podniosła od klęcznika i siadła na chwilę na krześle. Spojrzała w bok na zwierciadło w srebrnych ramach, które jej twarz bladej i smutnej, ale nie bez pewnego wdzięku, odbijało.

Obrachowawszy czas tak, aby ks. Fleury mógł wprowadzić króla na pokoje, Marya Ludwika podniosła się zwolna, przybrała majestatyczny wyraz twarzy i krokiem wolnym postąpiła ku salce, w której już głosy króla i doktora Sorbony słychać było.

Paź, który na nią u drzwi oczekiwał, otworzył jej—weszła.

Jan Kazimierz stał ze zwykłą sobie twarzą kwaśną a dumną, która się zdawała wyrażać wiecznie jakby wrażenia świeżo doznanego zawodu i przykrości. Niezmiernie rzadko widział kto króla wesołym, oprócz jego karłów, poufalej służby i nielicznych przyjaciół.

Narzekań, sarkazm, szyderstwo, przychodziły mu najłatwiej, a wszelki jakikolwiek bądź przedmiot rozmowy w jego ustach, zmieniał się w opowiadania o sobie. Zwrot ten do siebie był nałogowym. Było to charakterystycznym.

Zwykle żółty i ciemnej płci, na której tylko ślady ospy jaśniej się zarysowywały, ust dumnie wykrzywionych, nadąsany, tym razem był może chmurniejszym, troską jakąś przesyconym mocniej, niż kiedykolwiek. Królowa dała mu, naturalnie, miejsce pierwsze, usiadła sama, ale spojrzeniem powstrzymała ks. de Fleury, który na prostym krześle bez poręczy przysiadł w pewnym oddaleniu. Obejrzenie się niepokojne Jana Kazimierza miało bardzo jasne znaczenie, że rad był pozbyć się świadka tego i pozostać sam na sam z królową, ale właśnie temu chciała zapobiedz Marya Ludwika.

Nie poskutkował więc wzrok ów i król, usta zaciągawszy, ręce zacisnąwszy, w których rękawiczki trzymał, cicho mówić zaczął:

— Chciałem się dowiedzieć o zdrowie waszej królewskiej mości; ja sam jestem tak skołatany, czuję się tak niedobrze! Stan kraju prawdziwie rozpaczliwy. Pośpieszają z elekcyą, ale, mojem zdaniem, jeszcze ona zapóźno przychodzi, gdy Kozactwo tym-



czasem niszczy, a sejmuno i panów słuchać nie zechce. Chłopsztwu zbuntowanemu jeden majestat królewski może powagą swą być groźnym.

Westchnął król, a po chwili dodał, oglądając się:

— Stanowczo—jam temu wierzyć nie chciał, brat mój Karol stara się o koronę.

Królowa potwierdziła głowy ruchem.

— Ale to dawno wiadomo—szepnęła.

— Z wielu względów wydawało mi się to prawie niemożliwym—żywiej począł król.—Niema skąpszego pod słońcem człowieka nad Karola ani mniej stworzonego na panującego. Lubi samotność mniszą, zamyka się od ludzi, kto myśl tę mógł mu poddać?

Spojrzał na królową, która lekko poruszyła ramionami.

— Zdaje mi się, że ja sam powziął — odezwała się — bo wszyscy z początku utrzymywali, że wasza królewska mość nie będziesz pożądał tej korony.

Al ja jej też wcale żądny nie jestem — odparł król — ale odziedziczona szwedzka zmusza mnie do szukania dla niej jakiejś podpory, siły; którąbym mógł może użyć dla upomnienia się o prawa moje.

Nie odpowiedziała nie królowa, ale wzrok jej musiał zapewne być wyrazistym, bo Jan Kazimierz dodał, odpowiadając na to wejrzenie.

Ja sam niewiele mam nadziei odzyskania tronu szwedzkiego — prawda, lecz niemniej obowiązkiem moim jest starać się o to. Mnie to jedno stawia pomiędzy kandydatami.

Nie dokończył Jan Kazimierz i przerwał, wstydząc się może dyssymulacji.

— Cieniowa to korona — rzekł — ale zawsze korona, a z najstraszniejszej konflagracji, przy pomocy Bożej może najpomyślniejszy wyrosnąć skutek. Wojna daje dyktaturę.

Zamilkł nagle, i po krótkim przestanku zniżonym głosem ciągnął dalej.

— Przyszedłem—rady i pociechy szukać u w. król. mości.

Marya Ludwika smutnie potrząsnęła głową, spuściła oczy.

— Al N. Panie — rzekła sucho i zimno — biedna wdowa, cała jeszcze zboląła, przerażona, nietylko nikomu, ale samej sobie radzić nie umiem, w. król. mość jesteś pobożnym i masz ufność w Opatrzności. Ona go pewno nie opuści.

Z wielką gorącością przerwał Jan Kazimierz:

— Cała też nadzieja moja w pośrednictwie N. Maryi Panny, której cudowny obraz w Czerwieńsku wlewa w moję duszę pociechę. Uczyniłem też ślub do Częstochowy. Tak—dodał z gorącością wielką i szczerą—w czasach, jak nasze, gdy rozum nie starczy, na opiekę Bożą, na pomoc świętych patronów zdać się potrzeba.

— Szezęśliwy, kto sobie powiedzieć może—przerwała królowa sucho—że na nią zasłużyć potrafił.

Nastąpiło milczenie jakiegoś przykre, a Jan Kazimierz ze właściwą sobie płochością zwrócił rozmowę.

— Mówią, że Karol więcej miliona już między ludzi puścił, ośmset zbrojnych dał Rzeczypospolitej. Tak, ale oprócz małej garstki ludzi, którzy prawie żadnego nie mają znaczenia w Rzeczypospolitej, nie będzie miał za sobą nikogo.

— Ja zupełnie jestem tych spraw nieświadomą — obojętnie dorzuciła królowa.

— Wyliczyć mogę jego przyjaciół — począł żywo Jan Kazimierz. — Biskup Kijowski Zareba? któż go tu zna? co on znaczy?..

Być może, iż wojewodę Wołyńskiego, księcia Sanguszkę, sobie pozyszczę, i księcia Izzydora Zasławskiego, ale to są imiona nie ludzie, w senacie żaden z nich odezwać się nie potrafi, a gdyby mówił, nikt go słuchać nie będzie.

Czyrski, Kasztelan Chełmiński, świeża kreacya



*homo novus...* a Ruszkowski, Inowrocławski, nie lepszy.

Al Teodoryk Potocki, Podkomorzy Halicki, otóż wszyscy... tak...

Pośpiech i dokładność, z jaką wyliczał Król Szwedzki adherentów swojego współzawodnika, dowodziły, że go sprawa ta więcej obchodziła, niżeli się chciał przyznać.

— Ja — dodał — ja, chętniebym mu ustąpił, ale mnie gwałtem ciągną najprzedniejsi z senatorów. Opieram się im, nie mógłbym nawet tych nędznych ośmiuset ludzi, które dał Karol wystawić, a on, słysz, obiecuje na swym koszcie trzymać dziesięć tysięcy.

Gorzko się rozśmiał król, mówiąc to.

— Ani nawet dochody wrocławskiego biskupstwa na to starczą! — rzekł — a jeśli tak gościnnie ciągle szlachtę karmić i poić będzie, to do elekcyi, długi mu tylko pozostaną.

I znowu zwrócił płochy rozmowę Jan Kazimierz.

— Pałac na Krakowskim, ja chcę zatrzymać dla siebie — rzekł spoglądając na królową.

Marya Ludwika, pomilczawszy, szepnęła cicho, niepodnosząc oczów.

— W takim razie Ujazdów-by się dostał księciu Karolowi.

— Ze żwierzyncom! — podchwycił król — ale on nie myśliwy. Ujazdów się nadaje do podziału.

Marya Ludwika przerwała zimno.

— Raczcież nie zapominać o tem, że i mnie się jeden z pałaców po moim mężu należeć będzie. Ja na zamku nie mogę, ani chcę pozostać. Nadto tu wspomnień bolesnych, a potem — dodała — zamek królewski, królowi cały przynależy.

Dziwnym jakimś myśli związkiem Król Szwedzki przypomniał sobie nagle, ulubieńca zmarłego brata, jego doradcę i posła grafa Magnusa i dodał:

— Magnus dopomina się o sto tysięcy złotych,

które pożyczył Rzeczypospolitej — i ten nam ciężyć będzie, dopóki go nie zaspokoimy.

Uśmiechnęła się królowa i wtrąciła.

— Jak ja — bo i mnie dłużną jest Rzeczypospolita.

Jan Kazimierz postrzegł, że potrafił strunę, której był niepowinien poruszać, zagryzł usta, nieumiejąc wyjść inaczej z zakłopotania, zwrócił się do milczącego ks. de Fleury.

Zapytanie, jakie mu zadał tyczyło się nabożeństwa jutrzejszego w jednym z miejskich kościołów.

Ks. Fleury i królowa razem odpowiedziały, że się właśnie na uroczystość tę wybiera.

Wszystkie przedmioty zdawały się już wyczerpane. Jan Kazimierz siedział jednakże.

— Brat mój Karol odwiedzał w. król. mość? — zapytał.

— Raz był tylko u mnie, gdy tu powróciła — zimno odezwała się królowa. — Nie widuję go.

— W. król. mość — rzekł po małym namyśle Jan Kazimierz — mogłabyś mu oszczędzić wiele próżnych trosk, starań i wydatków, odradzając te śmieszne zabiegi o koronę. Ja! ani mu jej zazdroszczę, ani-bym przeszkadzał do niej, ale jestem zmuszony. Ciągną mnie. Jego uwodzą pochlebcy, żal mi go. Może z ust w. król. mości...

Marya Ludwika poruszyła się bardzo żywo.

— N. Panie — rzekła — proszę was, pozostawcie mnie zupełnie na stronie, ja się do niego mieszać nie chcę, nie mogę i niepowinnam. Świeża boleść odejmuje mi wszelką ochotę udziału w tem życiu, radabym moje zakonnice francuzki osadzić jaknajwygodniej i wyposażyć, aby może kiedyś sama u nich znaleźć schronienie, zresztą od śmierci męża sprawy rzeczypospolitej są mi obce. Wdowa, upomnę się o moje wyposażenie, nie więcej.

— Ale w. król. mość — zapominając się rzekł Jan Kazimierz — możesz przez Francją, na którą masz wpływ, dopomódz potężnie komu-byś chciała.



— Francya będzie iść za własną polityką i interessem—sucho rzekła Marya Ludwika—a ja właśnie pragnę wyrzec się wszelkiego udziału w jej polityce.

Król, zachmurzony, zamilkł.

— W. król, mość—dodał po chwili—możesz zmienić zdanie; tak się spodziewam, sądzę.

— Potrząsnęła głową królowa, nie nie odpowiadając. Król wstał powoli i Marya też podniosła się z siedzenia. Nastąpiło bardzo chłodne pożegnanie, po którym kilka kroków ku drzwiom przeprowadzwszy gościa, królowa wróciła do swych pokojów. Ks. de Fleury wiódł dalej króla.

— Cierpiącą jest?—zapytał go.

— Jak widzieliście — rzekł doktor. — Położenie jej smutne, przyszłość niepewna. Sam widok kraju i wiadomości, jakie codziennie przychodzą, nie przyczyniają się do uspokojenia. Jedyna jej pociecha w molitwie.

— Moja także! ale miejmy w Bogu otuchę i nadzieję.

To mówiąc, pochylił się, jakby do ucałowania ręki prałata, który skromnie się cofnął i głębokim pożegnaniem go ukłonem.

W antykamerze dwóch dworzan oczekiwało na króla. Tu, jakby czarogwiejską różdżką, posępne oblicze Jana Kazimierza rozpogodziło się.

— Butler czeka na w. król. mość—rzekł jeden.

Żywym krokiem pośpieszył Król Szwedzki do zajmowanego przez siebie mieszkania. Było to jeszcze to samo, które zamieszkiwał przed wyjazdem do Rzymu i o które później powróciwszy upominał się, tak, że z niego grafa Magnusa wygnać musiano.

Ale teraz, gdy owa wytyczna korona szwedzka spoczęła na jego skroni, gdy był kandydatem do drugiej, skromny apartament ten wydawał mu się nieznośnym. Napierał się gwałtownie wspaniałego pałacu przy Krakowskim-Przedmieściu, przeciwko czemu równie stanowczo książę Karol zakładał protest.

W testamencie króla Władysława nie było oznaczenia wyraźnego, jak się pałacami bracia podzielić mieli. Jan Kazimierz musiał czekać, ażeby z pomocą pośredników jakichś porozumienie nastąpiło.

W przedpokoju dwa karty—Baba i Lump—Polak i Niemiec, dwie małpy na łańcuskach, — papuga pstra w klatce, naprzód go powitały. Gwałtowny spór wiecznie się z sobą kłócących i mordujących złośliwych karłów zmusił króla do uderzenia Baby po plecach i nakazania milczenia.

W progu pokojów oczekiwał starosta Butler ze wszystkich przyjaciół, których król brał i rzucał bardzo łatwo, najmiłszy mu i najwytrwalej upodobany.

Butler miał powierzchowność dworaka, strój cudzoziemski i tę giętkość ruchów, a wyraz twarzy posłuszny, które mu pozwalały się akkomodować do humoru i myśli pana.

Nikt nad niego lepiej nie znał Jana Kazimierza, który brał za powiernika i rzueał Butlera po kilkakroć, ale zawsze, zatęskniwszy do niego, powracał. Był to jedyny człowiek, przed którym się mógł wyśpowiadać ze wszystkich swych słabości, nie lękając wysmiania ni zdrady. Butler nigdy za próg ztąd nie wyniósł nic, a wielokroć ostrzegł i zapobiegł skutkom nieopatrzności króla. Z widoczną radością przywitał go Jan Kazimierz, prowadząc za sobą w głąb swego pomieszkania.

Cały charakter człowieka się w niem malował. Nie było tu tego przepychu, tego artystycznego blasku, do którego Władysław taką przywiązywał wagę. Niestalość umysłu, zmienność gustów dobitnie się wyrażały w tem, co otaczało króla.

Obok wielkiej ilości obrazów i obrazków pobożnych, krucyfiksów i relikwiarzy, widać było portrety kobiet i razem z pobożnymi porozrzucane najpłochejsze, najswawolniejsze francuskie książki. Nie było porządku, ani wdzięku w pokojach, dosyć kosztownie



przyozdobionych, ale bez smaku. Psy, małpy i karły pozostawiały wszędzie ślady swawoli.

W sypialni przed wielkim obrazem, zapożyczonym z kościołka w Czerwieńsku, wystawiającym Matkę Bożką z dziecią Jezus, paliła się lampa, i król, poszedłszy naprzód tu, pokłękł na krótką modlitwę, ale, zaraz z niej powstawszy i drzwi zamknawszy, usiadł w sąsiednim pokoju, odzywając się do Butlera:

— Wracam od królowej! — poruszył ramionami. — Sfinxem dla mnie ta kobieta. Okryta grubą żalobą, nieutulona w żalu po mężu, który jej nigdy nie kochał, a ona go nie cierpiała, — tak, ale była królową, panowała, panowała tak dobrze nad nim, że pod koniec żywota, żaden wakans bez jej wiadomości nie był dany, a każdy opłacić jej musiano. Jestem pewny, że ma ogromne summy.

Butler potwierdził to żywo.

— Ale chce, jak powiada — ciągnął dalej Kazimierz — wszystko poświęcić na pobożne fundacje i daje do zrozumienia, że sama może schroni się do jednego z tych klasztorów. Posądzano Karola, gdyby, co być nie może...

— Nie może! — powtórzył Butler.

— Gdyby go obrano, gotów się z nią ożenić — dokończył król.

— Ale on nienawidzi kobiet — przerwał starosta.

— Tak — wszyscy świadczą — zamruczał Jan Kazimierz — ale, jak to może być? To nie jest w męskiej naturze.

Westchnął i rozśmiał się razem.

— Co do mnie — rzekł — to rzecz szczególna, ja w każdej niewieście widzę coś żądzę obudzającego, w każdej. Jedna ma twarz, oko, druga kibić, nóżkę, uśmiech, popiersie.

Strzepnął rękami.

Stworzone są na to, aby nas wiodły na pokuszenie.

Śmiejąc się, Butler potakiwał.

Z tych wszystkich, które ja tu spotykam i widuję — mówił ulegając potrzebie zwierzenia się przed przyjacielem — wie Butler, dwie mnie szczególniejsze. Oto ta... ta francuzica Duret... no i...

Tu zniżył głos, obejrzał się i szepnął:

— I marszałkowa.

Rękę przyłożył do ust, pocałował i zamilkł.

— Ale z dworu królowej mądry będzie — dorzucił — kto co dostanie!

Ta już stara i zwiędła Langeron, koczodon, jak smok stoi na straży. Mówiono, że ją za mąż wydać miała królowa, ale teraz, wszystko poszło w odwołkę.

Pomilezawszy nieco, zadumany król zwrócił się do Butlera.

— No — jakże? twoje starania o pieniądze?

— Nic jeszcze pewnego powiedzieć nie umiem — rzekł faworyt — lecz bądźco bądź, musimy ich dostać.

— Karol oszalał — mówił dalej Kazimierz — sypie niemi, on! on! co dotychczas tak skąpił. Zkąd mu ta fantazyja korony naprzekór ze mną?

— Nie wiem — odparł Butler — może właśnie przez zazdrość!

— On! królem! — poruszając ramionami mówił dalej Kazimierz. — Śmieszno pomyśleć o tem.

Butler się w istocie rozśmiał.

— Cóżś słyszał? ma on jakie nadzieje? groźny jest? — zapytał.

— Najjaśniejszy panie — począł starosta — czasu elekcji, każdy kompetytor straszny. Nie ma za sobą ludzi, a mogą się zrodzić, jak grzyby, na polu samem. Powieje wiatr. To pewna, że przeszkodą nam będzie.

— I właśnie dlatego nie ustąpię — burknął Kazimierz — ale go to drogo kosztować może. Nikogo nie posłucha.

— Szlachtę mazowiecką, którą zdawna karmi i poi, i różnych wysłańców, co pośpieszyli tu przed



elekeya — mówił Butler — jego dworzanie, Wysocki, Czyski i inni, zjednali jadłem i napojem. Porozsyłali ich po po powiatach. Któż wie, gdy przyjdzie do głosowania? Wyrwie się jeden, zahuczy wrzaskliwie i pociągnie za sobą.

— Cóż tu począć? — zamruczał Kazimierz.

Butler przeszedł się nieco zamyślony po pokoju.

— N. Panie, gdy się senatorowie zjadą, przez nich chyba można coś będzie przedsięwziąć, aby się upamiętał.

— A to, co wyłożył?... — szepnął frasobliwie król — wszak to już o milionie mówią. Przyjdzie mu wracać?

— A chociażby! — przerwał starosta. — Strachu nie ma. Król może parę opactw sobie do rozporządzenia wyjednać i niemi zamknąć usta.

— Jesteś mężem dobrej rady — uśmiechnął się weselej Jan Kazimierz i uderzył go przyjacielsko po ramieniu.

Rozmowa poważniejsza już płochy umysł jego znużyła. Umiął tylko dwoje: modlić się lub śmiać i baraszkować.

— Hej! Butler, słyszysz! — zawołał — ty, co wszystko wiesz. Mówiono ci też już o tem, że Giżanka za mąż za szlacheica wychodzi. Wiesz, ta ładniuchna Giżanka, burmistrza córka, za którą tu wszyscy łatali. Nieboszczykowi Władysławowi mocno się jej zachciewało, snadź Zygmunta Augusta chciał jeszcze lepiej naśladować, bo ten pierwszy zbałamucił Giżankę; ale jemu nie było komu dopomódz tak skutecznie. Pac i Platenberg oszukiwali go, a pieniądze do kieszeni chowali i — nie dostał Giżanki.

— No i panna Langeron — wtrącił Butler, który wiedział, jak ona zawadzała Kazimierzowi — panna Langeron ma też na pewno szlacheica konkurenta.

— Co mówisz?! — wykrzyknął król. — Jaby sam gawota gotów pójść na jej wesele.

— Ba — odezwał się Butler — zastąpi ją Des Esarts lub inna!

— To prawda smutnie potwierdził Kazimierz. — Dwór królowej to drugi klasztor. Za najmniejszą płochosć wysyła do Francyi, a ma tak dobrych szpiegów.

— Królowa? — podchwycił, zbliżając się ku siedzącemu panu, Butler. — Królowa? ale ja właśnie wrócić chciałem do niej. W. król. moś powinienś się starać pozyskać ją dla siebie. Może ona mówić, że się do niczego nie miesza, ale ma stosunki, ludzi i umie tak pokierować niemi, że bez niej, a uchowaj Boże, przeciwko niej, my sobie rady nie damy, gdy z nią byłoby nam tysiąc razy łatwiej.

— Ba! — odparł zadumany Kazimierz — myślisz, że ja nie wiem o tem? Kobieta rozumna i przebiegła, za nieboszczyka nigdy się nie dobijała o to, aby wydawała się silną; owszem, pokorną napozór wydawała się, a w istocie ona wszystkiem kierowała, robiła co chciała i król bez niej obawiał się zrobić kroku.

— Tak jest — dodał cicho Butler — rozum rozumem, a i to coś znaczyło, że ona jedna zawsze miała pieniądze.

— I teraz je ma, choć klasztor funduje — dodał król.

— A nie mogłażby nas niemi sukursować? — spytał faworyt.

— Niepodobna jej o to prosić! — westchnął Jan Kazimierz. — Jeżeli mi pożyczysz, bądź co bądź, to i mną gotowa zawładnąć. Ja się jej poprostu boję, ja się jej boję! — powtórzył głos zniżając.

— A jeżeli weźmie stronę księcia Karola? — wtrącił Butler.

— To nie może być — rzekł Kazimierz.

— W. król. moś sądzisz — dodał faworyt — że ona może pozostać, jak mówiła, obojętną, nie mieszając się do niczego!

Butler się rozśmiał. To wprost jest niepodobień-



stwem, gdyby nawet chciała. Zmuszoną zostanie odezwać się; odgadną z jej twarzy, dla kogo ma sympatyę.

— Ale ona dla mnie jej nigdy nie miała—zamruć król.

— Bo interesu też w tem nie mogła mieć dawniej, ale teraz...

— Ale teraz? — podchwycił Kazimierz, rzucając wejrzenie nieśmiało na Butlera—cóż ty myślisz?

— Nie nadto, że królem zostawszy, N. Pan będzie mógł i fundacyą klasztoru i wyposażenie wdowie i wszystkim to mieć w opiece, co królowę obchodzi, a nawzajem królowa teraz...

— A ja ci powiadam, Butler — żywo przerwał król — ja się lękam, ona mnie zawojuje. To kobieta przebiegła, śmiała i rozumna.

— Właśnie dla tego my jej potrzebujemy—dokończył Butler.—Słowem jednym powiem: jeżeli ją sobie książę Karol pozyszcze, nam wszyscy razem panowie senatorowie nie pomogą.

— Mam za sobą Ossolińskiego — wtrącił żywo król—nie wątpię bynajmniej o Kazanowskim.

— Który dziś żadnego znaczenia nie ma — przerwał Butler.

Kazimierz opuścił głowę na piersi. Czas jakiś trwało milczenie, a starosta badał dobrze mu znane rysy twarzy króla, który przy nim wcale się nie taił z wrażeniami.

Rada, jaką mu dał Butler, utkwic w nim musiała, gdyż po chwili podniósł oczy i szepnął, jakby zamykając rozpoczętą rozmowę.

— Powiadam ci, Butler, ja się jej boję. Niech tylko cieniutką nitką zwiąże się z nią, pociągnie mnie i stanę się w jej rękach narzędziem. Władysława silniejszym był, niż ja, no—a w końcu ona nim rzucała, jak chciała.

— Ja przy mojem obstarę—dodał starosta—albo w. król. może mieć ją będziesz za sobą, natenczas

dobra nasza, albo przeciwko sobie — i ja za nic nie ręczę. Żeby zaś Marya Ludwika miała pozostać z założonemi rękami... — Butler głową począł mocno kręcić i rzucać. Rozmowa się skończyła.

### III.

Nazajutrz rano po mszy u S-go Jana zaledwie do mieszkania powrócił, kwaśny i chmurny król szwedzki, któremu doniesiono, że brat Karol ze Sztokholmu miał listy i ztamtąd się spodziewał poparcia, gdy w antykamerye usłyszał spór głośny i łatwy do rozeznania głos kobiecy, piskliwy, zuchwały, bardzo sobie dobrze znajomy. Nie musiał on miłego na nim uczynić wrażenia, bo natychmiast klasnął w ręce na dworzanina u drzwi i gdy ten wszedł, rzucił mu żywo pytanie:

— To Bertoni?

Pokojowiec głową potwierdził.

— Powiedz-że jej — niecierpliwie zawołał król — raz na zawsze, że ja jej o tej godzinie przyjąć nie mogę. Niech z listem przyjdzie wieczorem. Ja się teraz spodziewam u siebie kilku ważnych osób. Jeszcze-by tego brakło, aby tego koczkodona widziano u mnie! Odprawić mi ją, odprawić.

— Jakby to tak łatwo było! — zamruczał pokojowiec. — Wrzawy narobi, że w całym zamku słychać ją będzie.

Tłómaczenia tego nie chcąc słuchać, król własnoręcznie popchnął pokojowca za drzwi i zatrzasnął je za nim, ale pozostał w progu, nasłuchując, czy rozkazom jego zadość się stało.

Po wyjściu pokojowca naprzód powstała wrzawa



i wymiana głosów, którym śmiechy służby towarzyszyły, potem uciszać się zaczęło stopniowo, drzwi antykamery zatrzasnęły się z hukiem i... król wyjrzał: w przedpokoju nie było już owej natrętnej kobiety, która kazał odprawić.

Kto była owa Bertoni?

Wiedzieli prawie wszyscy, co z dawnych czasów dwór znali. Dziś ona liczyła już lat pewnie pięćdziesiąt, ale gdy królewicze dorastali, panna Salomea, córka muzyka królewskiej kapeli, była bardzo wesołym i trzpiotowatym podlotkiem, a że Jan Kazimierz zawsze od najmłodszych lat temperamentu był wielce ku kobietom ciągnącego, choć Salomea wcale piękną nie była, tylko świeżą, śmiałą, napastliwą i zalotną, zawróciła mu głowę szalenie i skorzystała z tego, aby nim zupełnie zawładnąć. O tych amorach z Salusią wiedział cały dwór, starano się je to rozerwać, to pokrywać, a w końcu nikt na nie już nie zważał. Była to pierwsza miłość królewicza, który później takich bałamutnych stosunków miał bez liku, ale Salusia nie dała się odpędzić, ani zapomnieć całowicie, czuła, że miała jakieś prawa i nie odstępowała od nich. Wyszła potem za mąż za Włocha, także klarncistę w królewskiej kapeli i owdowiała, wychowując córeczkę.

Nie mogła w podróżach ani w więzieniu wprawić towarzyszyć Janowi Kazimierzowi, lecz nigdy go z oczów nie spuszczała, a ile razy powracał, ten grzech młodości stawał znowu żywy przed nim i żadna moc ludzka nie mogła go precz odegnać.

Potrzeba było znać Włoszkę, aby zrozumieć tę siłę, z jaką ona weiskala się i umiała utrzymać wszędzie. Nie lękała się niczego i nikogo, gębę miała wypaczoną, której się lękali wszyscy; wychowana na dworze, znała i wiedziała wszystkie tajemnice, wszystkie strony słabe, umiała zażyć, kogo chciała. Zuchwalstwo jej nie miało równego sobie tam, gdzie wiedziała, że sama jej przytomność zawadzać będzie,

szła umyślnie, aby sobie kazać za usunięcie się opłacić. Z Jana Kazimierza, jak mówiono, znaczne bardzo potrafiła zdobyć ofiary, zostało jej coś po mężu, potem frymarczyła kobiecemi strojami i klejnotami, a w końcu doszła do tego, że miała piękną kamienicę w Rynku Starego Miasta i szacowano ją, oprócz tego, jako zamożną w grosz gotowy, do czego się nie przyznawała.

Nie przeszkodziło jej to za każdym przybyciem Jana Kazimierza zebrać u niego dla córeczki nowych ofiar. W tej córeczce właśnie dorastającej, ładnej dziewczynce, którą ona głosiła za ósmy cud świata, matka teraz żyła cała. Dla tego dziecka znacznie się usatkwowała, gdyż dawniej życie prowadziła bardzo swobodne i wesołe. O swych latach pięćdziesięciu wcale dotąd Bertoni wiedzieć nie chciała i czyniła się śmieszną strojami, które przywdziewała w przekonaniu, że się niemi odmłodzi.

Ciemnej pleci, chuda, twarzy już dobrze pofałdowanej, ale ułożonej jakby młodzieuchną była, oczy tylko miała jeszcze piękne i ogniste. Zresztą, niezmiernie szerokie i z wargami odstupującemi usta, policzki obwisłe, włosy rzadkie i pofarbowane, malowane także brwi, usta, policzki, czasem ją poczwarnie czyniły brzydką, gdy się roznamiętniła. Zapominała się wówczas i nie umiała ukryć resztek żółtych zębów, a marszczki twarzy krajały ją nielitościwie. Na chudej szyi, skóra, żyły, kości, wszystko naówczas występowało, jak w anatomicznym preparacie.

Brzydota, gdyby ją nosić umiała z rezygnacją, niezem-by może była, ale Salomea chciała uparcie wydawać się niby piękną i nie starą. Stroiła się więc wytwornie i jaskrawo, a nadewszystko okrywała się klejnotami, lubując się w nich, jak w ogóle Włoszki. Całe jej chude, z nabrzmiałemi stawami ręce okryte były od rana pierścieniami, szyja sznurami pereł i łańcuszkami. Na piersiach spinki, pas kosztowny, nawet trzewiki i pończochy złotem szyte wkładała



codzień i włos jak najstaranniej trefić, smarować i dopełniać musiała co rano. Obok tego wykwintu raziło, że ręk nie umywała często po dni kilka, a twarz i szyja malowaniami starymi i nowymi jak skorupa były okryte. Gdy szła przez ulicę, palcami ją sobie pokazywano, tak była śmieszną, ale w zwierciadle ona sama tak się z tą swoją fizygnomią oswoiła, iż ją znajdowała wcale wdzięczną, a do mężczyzn uśmiechała się (gdy córki nie było) z cynizmem, który rumieńce na ich twarze wywolywał.

Córka jej, imieniem Biana, miała typ włoski twarzy, jak matka, ale w istocie była piękną, chociaż niby ją przypominała. Rysy wyszlachetnione, regularne, a przy tem wdzięk i świeżość młodości czyliły dziewczkę zachwycającą.

Matka wychowywała ją ze staraniem nadzwyczajnem, od dziecka ucząc muzyki, tańca, języków — gdyż przyszłość dla niej sobie obiecywała świetną.

— Senatorowi wstydu nie robi — mówiła — ani twarzą, ani główką. Drugiej takiej mi nie pokaże, ani Warszawa, ani Kraków. Jeżeli Giżanka się może swatać za szlacheica, to cóż mówić o mojej? a bez posagu też nie będzie, bo i kamienica coś warta i pod poduszkę znajdzie co wetknąć!

Tymczasem z własnego doświadczenia wiedząc, jak w młodości łatwo się głowa zawraca, pilnowała dziecka, jak oka w głowie. Rzadko nawet pozwalała wychodzić na miasto i to nie inaczej, jeno z sobą. Z domu się oddalając, Bertoni pozostawiała na straż istnego cerbera, starą Włoszkę. Ta z obawy, aby tu kawałek chleba nie utraciła, nie odstępowała na krok pięknej Bianki, której wdzięków sława szeroko się już rozechodziła.

Po powrocie ex-kardynała z Rzymu jeszcze był sekularyzowany król w Tarezyne, gdy Bertoni, najawszy wózek, pobiegła go tam odwiedzić. Czy mu ten gość bardzo był miłym? trudno odgadnąć, ale przyjąć go musiał i Salomea przez cały dzień tu po-

zostawała, wysypując ogromny zapas plotek, jakie z sobą przywiozła. Spodziewała się zapewne po wdzięcznym królewiczu więcej, niż on mógł i chciał dla niej uczynić, bo wcale potem z niego nie okazywała się zadowolona. Jan Kazimierz próżno podobno się tem tłumaczył, że nie miał nic, że musiał od ks. Karola, od Denhofa, od Butlera odbierać porozdawane im przez króla dobra: Salomea nie chciała słuchać i narzekała na niego.

Jakie sobie prawa rościła do jego wdzięczności, nie tłumaczyła się, lecz w jej przekonaniu Jan Kazimierz powinien był jej i dziecku służyć przez całe życie.

Stosunki z nim aż do zgonu Władysława IV, choć nie zerwane, były dosyć naprężone. Jan Kazimierz często jej drzwi kazał zamykać i nie dopuszczał, choć wrzawę na korytarzach robiła nieznosną.

Gdy król Zygmunt zmarł naprzód, a potem i Władysław, Bertoni z niesłychaną gwałtownością poczęła się napierać do króla szwedzkiego, który starał się jej pozbywać. W końcu jednak uledek musiał: kazać ją wpuścić, zmiarkował bowiem, że i taka Bertoni szkodzić mu mogła lub dopomódz, gdy do elekcji przyjdzie.

Tegoż dnia wieczorem, mimo wstrętu i obawy, nakazał pokojowcom wpuścić nieznosną babę, ale dopóki była — nie przyjmować już nikogo, prócz Butlera, któremu wchodzić zawsze wolno było.

O naznaczonej godzinie nie chybiła Bertoni. Wpadła z gorączkowym pośpiechem, wystrojona w sposób przerażający, świecąca od klejnotów cała, zdyszana, niespokojna.

Pokojowiec na drzwi jej wskazał.

Jan Kazimierz przechodził się już niespokojnie, oczekując na to utrapienie. Wiedział dobrze co go czeka, bo Bertoni wcale w nim nie szanowała ani krwi, ani dostojęstwa. Znała go od dziecka.

— Aha! — poczęła od progu z niezmiernym pośpie-



chem po włosku, gdyż znała wstręt króla do polskiego języka—aha! otóż nareszcie Salusia się dobiła honoru pozdrowienia w. król. mości! Długo na to czekała.

Król chciał się począć tłómaczyć, zamknęła mu usta.

— Dajżeż pokój! daj—czy to my się nie znamy! Dygnęła przed nim bardzo nisko.

— Już Król Szwedzki? nieprawdaż—poczęła, śmiejąc się.—No, tej korony, to ja się dla waszej miłości nie obawiam, ale słyszę, że się wybieracie na polską? Ej?..

Mnichem nie mogliście być, kardynałem nie chcieli, a tu nagle do korony sięgacie? Myślicie, że to ją będzie lżej dźwigać, niż purpurę? Panie mój, aż mię strach po kościach mrozem przeszedł, gdym się o tem dowiedziała, a wam to po co?

Wiecież wy, co się dzieje? Kupujecie dom, który w płomieniach stoi, nie mając kropli wody na ugaszenie pożaru. Bójcie się Boga!

Załamano ręce.

— Nie ja, ale—począł król onieśmielony.

— Wiem, co powiecie—przerwała Bertoni—że was na kolanach o to prosić będą! Pewnie! Radziły na wasze ramiona zrzucić to brzemie błyskotliwe, złociste, ale nie dla was to, nie dla was.

Puście księcia Karola, kaźcie się wyposażyć dostatnio, pobudujcie sobie pałac pański, w którymby i dla Bertoni z jej aniołkiem znalazło się pomieszczenie, używajcie swobodnie reszty życia, ale wam! wam! wam... królem być!

Parsknęła śmiechem. Ciemna twarz Jana Kazimierza stanęła w płomieniach: rozgniewał się, zabelkotał coś, z passyi mówić prawie nie mógł.

— Wam królem być!—powtórzyła Bertoni, rzucając się i wyginając, a rękami po włosku gestykulując w powietrzu—wam królem być!

Rok, dwa, z biedą wielką wytrzymacie może, ale

potem! tak złożycie koronę, jak purpurę i kapelusz kardynalski.

Jan Kazimierz rzucił się aż w przeciwną stronę pokoju, jakby chciał uciec od niej: pogoniła za nim.

— Nie gniewajcie się—zawołała—mówię z dobrego serca, wam to się na nic nie zdało, zamęczycie się.

Uderzyła się w chude piersi, oczyma ognistemi śmiało patrząc na zmieszanego coraz bardziej króla.

Jan Kazimierz zbierał się coś odpowiedzieć, gdy Włoszka nie wytrzymała i język rozpuściła.

— Chcecie, bym wam przepowiedziała przyszłość! to bardzo łatwo. Wybiorą was, bo wiedzą, że będą z wami robić, co zechcą... oni i królowa.

— Jaka królowa?—przerwał Jan Kazimierz.

— Wdowa dziś, a jutro może—kto to wie?

Rozśmiała się.

— Bez jej pieniędzy i jej rozumu wy się nie obejdzicie—dodała.

— Ona o niczem wiedzieć nie chce—wtrącił król.

— Abyście ją prosili, naturalnie—mówiła Bertoni.

Ej! żal mi was! Panie mój! żal mi was! Puście księcia Karola, jeśli mu się to uśmiecha. Wy nie do tego stworzeni, a moglibyście sobie tak ślicznie spokojnie życie pędzić!

Klasnęła w ręce. Ale co tu darmo nawracać; nie pomoże. Sądzone wam wszystkiego kosztować, aby sobie wszystko obrzydzić.

Uspokoiwszy się nieco, zadumany, słuchał tego wylewu słów król, otarł czoło, usiadł. Bertoni stanęła przed nim.

— Więc to już nie uniknione!—westchnęła.

Zmleczął Jan Kazimierz chwilę.

— Mówić dziś z tobą nie można—zamruczał.

Twarz Włoszki wykrzywiła się, jakby wyrazem politowania.

— Ale to ja—bym chyba tak powiedzieć powinna—przerwała łagodząc głos.—Dla ciebie, mój Boże, cie-



żyć-był się przecież powinna z tego, gdy was królem obiorą. Tak i mnie się z tego coś okroi.

Jan Kazimierz, jak gdyby chciał niemiłą inaczej zwrócić rozmowę, z uśmiechem wymuszonym szepnął pocichu.

— Żeby też była choć Biankę z sobą przyprowadziła!

Bertoni wstrząsała się oburzona.

— Jeszcze czego! — zawołała. — Niby ja nie wiem, że tobie, stary bałamucie, najmłodsze dziewczęta jeszcze w głowie. Wszakże to moja córka, więc-bys ją powinien poszanować.

— Mówią, że bardzo ładna! — odezwał się król.

— Jak anioł! — przerwała matka z zapalem — ale to senatorski kasek i ja jej nie wydam chyba za senatora.

Jan Kazimierz śmiał się rozweselony, co Bertoniową rozgniewało.

— Giżanka idzie przecie za szlacheica i urzędnika, jakiegoś tam starostę, a czemużby moja nie miała jeszcze wyżej sięgnąć! Wychowałam ją tak, że tu żadna wasza wielka pani jej nie sprostą.

Król zadumany nie zdawał się jej już słuchać, inne myśli go uciskały. Po chwili szepnął roztagoniony.

— Poproś królowej wdowy, aby ją na dwór swój przyjęła. Panny u niejzymane w wielkim rygorze, a nauczyć się siła będzie mogła.

— Tak, nauczyć tego, co niepotrzeba! — przerwała Bertoni, głową potrząsając — nie, nie, ja od siebie jej ani na krok nie puszcę.

Włoszka z poufalością dawnej domownicy poczęła się po pokoju przechadzać.

— Co to za karły są? — zapytała — ja ich nie znam...

— Wszystko mi powymierało! — westchnął król. — Wystaw sobie ten „Znosek“, którego tak lubiłem, co koziołki przewracał zgręcznie i śpiewał, pamiętasz?... zmarł biedaczysko. Mikrosz także. Mam ci dwa. Lu-

bomirski mi darował jednego, zowie się Baba, policzki ma takie napęczniałe, ale chorowity, płaksa i smutny, a Lump, którego mam z Niemiec, złośnik taki, że się z małpami albo z Babą nieustannie bije. Pocięchy z nich żadnej.

Po królu dwa karły zostały, ale królowa ich sobie pewnie przywłaszezy. Smutnie dokończył król tej spowiedzi. Bertoni ramionami poruszyła.

— Dwór mój w ogóle — rzekł po chwili — szczupły jest i niedobry. Miałem, powróciwszy, brać pierwszych lepszych, a pieniędzy też nie mam. Tu, com miał znaleźć je, to mi jeszcze za wykup moich tenut płacić kazali. Z Karolem o Żywiec męka, z Denhofem, z Butlerem — skończył westchnieniem.

— A teraz, gdy na elekcyą tyle potrzeba...

Rozłożył ręce. Bertoni się zżymała i zaczęła znowu biegać po pokoju, poruszając, co się jej nawinęło pod rękę, książki, obrazki, różańce, papiery nawet, o których pozwolenie czytania nie pytała. Z natrętną ciękawością niewieścią szturkowała po kątach, zaglądała i choć król okazywał pewne zniecierpliwienie, wcale ją to nie obchodziło.

— Mnie tu ciasno — rzekł po przestanku. — Chciałem się wynieść do pałacu na Krakowskie, Karol mnie nie puszcza; w Ujazdowie byłbym za daleko.

— A na co to wszystko, gdy czasu elekcyi wam tu nie dadzą siedzieć! — przerwała Bertoni — a po niej na zamek się wniesiecie.

— Królowa połowę zajmuje! — zamruczał Jan Kazimierz.

— Z nią się pogodzicie — zaśmiała się Włoszka, zbliżając do siedzącego. — Mnie się widzi, gdy wam koronę na głowę włożą, królowę wam senatorowie narają.

Zerwał się Jan Kazimierz z siedzenia.

— Ale ja jej nie chcę! — zawołał gwałtownie. — Mało to ojeu naszemu nawypowiadano, że siostrę wziął po siostrze, a cóżby było, żebym ja po bracie



żony pożałował? Dopiero-by mnie Sodomą i Gomorą chłostali.

— A Papieżu od czego?—odezwała się Bertoni.

— Ja jej nie chcę! — powtórzył stanowczo król i zamilkł nagle.

Wtem zegar stojący na stole godzinę wygrywać zaczął był bowiem tak urządzony misternie, iż gdy wybić miała, na wieżyczkę występowali trębacze i muzyka słyszeć dawała bardzo wdzięcznego kuranta.

— Masz co do mnie? — zapytał król.

— Miałabym wiele—odparła Włoszka — bo to się przecie niegodzi, ażebyś o mnie i mojem dziecku zapominał, ale litość mam nad królem bez kraju. Obra-  
chujemy się później. Widzę, że ja starania się o tę koronę drugą nie potrafię odradzić; ale że ją potem sam składać będziesz... dam gardło!

Nie nie odpowiedział król. Bertoni skłoniła się nisko i miała już odchodzić, gdy jej coś przyszło do głowy.

— Mój królu—zawołała—nie każe ci przedemną, jak przed jaką żebraczką, drzwi zamykać. Ja się też wam pod czas przydać mogę, bo wiele rzeczy wiem i wiele bezpieczniej zaniosę, gdzie trzeba, niż kto inny. Masz już królem być, a zachęciwa ci się tego, ja powinnam posłużyć—nie kto inny!

Tak ledwie się jej nakoniec król pozbył. Odpro-  
wadził ją za próg oczyma zasromanemi, zdając się mówić do siebie: „Oto są grzechy twojego żywota! Mszczą się one do dni końca, a pozbyć się ich... nie można.“

W smutnem usposobieniu, przeszedłszy się parę razy po pustych pokojach, Jan Kazimierz rzucił okiem na płonącą lampę przed cudownym obrazem, i wolnym krokiem zbliżył się ku niemu, aby na modlitwę ukłęknać.

Wrzawa jednak między karłami i małpami taka jeszcze panowała w przedpokoju, że wprzód musiał, pokojowca przywoławszy, nakazać, aby natychmiast wszystko się uciszyło.

Już wreszcie klęknąć miał, gdy pośpieszne kroki i bez oznajmienia otwierające się drzwi zmusiły go powstać. Butler, którego się już nie spodziewał, i młody Tyzenhauz komornik jego, wbiegli razem, z twarzami przerażeniami.

Pobladł, zobaczywszy ich, Jan Kazimierz.

— N. Panie—wołał od progu starosta—jedne po drugich wieści najokropniejsze od Lwowa, Zamościa... zewsząd... Hiobowi posłańcy... w mieście popłoch... wojska nasze rozproszone, szlachta w sromotnej rozsypane.

Chmiel się odgraża iść na Kraków... naszych posłów więzi, a trzech pono ściąć kazał... o pokoju i układach ani chce słuchać.

Król naprzód oczy sobie zakrył, potem załamał ręce...

— Na kolana naprzód! — zawołał — na kolana... Litanią do N. Panny odmówić... opieki jej wzywać... potem reszta.

Sam tedy pierwszy padł przed obrazem i, jęcząc prawie, począł po łacinie litanią, do której Butler i Tyzenhauz odpowiadali; ucałował potem ziemię i wstał z oczyma łez pełnemi.

— Mówcie—rzekł, padając na krzesło.

— Klęska byłaby niczem — począł starosta — ale srom... Szlachta, nie bijąc się, samym postrachem z pola zegnana przez chłopstwo, rozbiegła się; a że szli na tę wyprawę z butą wielką i nabrali wozów, sprzętów, sreber, kosztowności bez miary... wszystko to się stało łupem Kozaków i pospólstwa... Jęńców też Tatarom, człowieka za konia, dają.

Motłoch się uzuchwalił i już pomiarkowania mieć nie będzie. Stał pod Zamościem... Lwów cudem się mu okupił... Co dalej będzie?... Odgrają się całą Rzeczpospolitą zalać...

Król się porwał.

— Gdzież więc siły nasze? gdzie mężowie, hetmani? senat, wojsko! Przecież jeden pogrom taki



nie może potężnego zniszczyć państwa od razu... Jest ratunek... Mamy może gdzieś sojuszników i sprzymierzeńców.

Wtem Butler przerwał.

— Kogo? N. Panie? Na cesarza pewnie teraz rachować nie można... Francya za górami, choćby chciała... Pruski nasz hołdownik będzie rychlej z nie-szczęścia korzystał... Szwedzi...

Chwycił się król za głowę.

— O! losy nieszczęsne... kraju tego — zawołał — przywiedzeni jesteśmy do tej ostateczności, że na podłych Tatarów jednych jeszcze cokolwiek liczyć możemy, jeżeli ich od kozactwa potrafimy odciągnąć.

— To sprzymierzeniec gorszy od wroga, bo i sromotny wreszcie — rzekł smutnie Butler.

Gdy to mówili, a Tyzenhauz powtarzać zaczął dopiero co słyszane wieści o klęskach, zapukano do drzwi, choć godzina była niezwykła. Tyzenhauz pobiegł i oznajmił ks. de Fleury, kapelana królowej.

Wchodził blady i przerażony.

— Prawdą to? — począł zwracając się do króla — prawda?? Królowej doniesiono, że nawet Krakowowi i Warszawie zagraża niebezpieczeństwo... Pani moja przeleżała przesyła mnie do W. Król. Mości.

Butler wystąpił, nim się król zebrał na odpowiedź.

Uspokójcie królową JM. — rzekł — przynajmniej Warszawie nie nie zagraża. Senatorowie i szlachta gromadzą się na elekcyę... nieprzyjacieli ważyć się nie będzie na stolicę... wiedząc, że tu siła jest znaczna.

Klęska musi być wielka, bo zewsząd się ona potwierdza; ale w takich razach któż nie wie, że ją strach powiększa... bo, jak u nas mówią, ma wielkie oczy. Chmiel przecie nie ważył się na Lwów; jakżeby miał grozić Krakowowi lub Warszawie??

Król przystąpił też do ks. de Fleury.

— Uspokójcie królową — rzekł.

— Gdyby w istocie najmniejsze groziło niebezpieczeństwo, królowa by wodą chciała ze swym dwo-

rem i zakonnicami udać się do Gdańska, gdzie najpewniejszą być może — mówił spowiednik.

— Niech Bóg uchowa, abyśmy już do tej doszli ostateczności — przerwał Kazimierz.

Niedługo się zatrzymawszy, odszedł spowiednik Maryi Ludwiki, ale na całym zamku przez noc tę chwili prawie spoczynku nie było. W gospodzie ks. Karola nad Wisłą, pomimo słoty i nieprzyjemnej pory, tłum nieustannie napływał, mieniając się... a każdy tu coś ze sobą coraz straszniejszego przynosił.

To, co opowiadano o okrucieństwach i zuchwalstwie Kozaków i z nimi połączonego motłochu przechodziło pojęcie wszelkie. Na szlachtę zbiegłą z pod Piławiec piorunowano.

— Dawniej kądziel takim posyłano i skórę zającą — wołali niektórzy — a tchórze się sami potem ze sromu wieszali, bo kobiety z nimi żyć i do domów ich przyjmować nie chciały, a dziś zający-by i kądzieli dla nich zabrakło...

Drudzy mitygowali i łagodzili...

— Dobrze tu nam zdaleka sądzić i skazywać — mówili — ale gdy się raz popłoch weźmie, trzeba tam na miejscu być i widzieć, że człowiek, gdyby jak chciał, prądowni się nie oprze.

— Ostatnia na nas przyszła godzina — jęczeli strwożeni.

— Nie pozostało nam nic, tylko się kozactwu okupić, pokój zawrzeć a pracować nad tem, aby wojsko nowe i lepsze zaciągnąć.

— Pierwsza rzecz... aby się hetmani i panowie nie kłócili z sobą — radzili inni — wszystko z tego poszło, iż Jeremiego nie słuchano... bo on im solą w oku... a jego jednego się Kozacy boją.

W gwarze tym i rozstroju w końcu nie już roz-wiedzieć się — do niczego dojść już nie było można; przeklinano i narzekano tylko, a temwięcej do białego dnia zapijano, im straszniejsza rozpacz ogarniała...



Nie lepiej było na mieście, dokąd z zamku przynoszono wiadomości, po drodze je powiększając. Przybywali też senatorowie z różnych stron, pocieszającego nie przynosili z sobą.

Skupiano się tu około Ossolińskiego; pozdrawiano królową; niektórzy odwiedzali Kazimierza; bardzo niewiele zbliżało się do księcia Karola, któremu teraz trudno było zawiązywać stosunki, gdyż przez tak długi czas zupełnie je zaniedbywał.

Wszyscy jednym głosem, zgodnie wołali o przyspieszenie elekcji, która zdawała się warunkiem niezbędnym do zawarcia jakiegokolwiek umowy z Kozakami.

Z każdym dniem liczba senatorów szczególnie zwiększyła się i rosła i duchowni tymczasowo zbierali się u przybyłych biskupów, w klasztorach Jezuitów, Bernardynów i Reformatów, na codzienne narady. Przewidywało to zawczasu duchowieństwo, iż z klęsk i osłabienia nie omieszkają dyssydenci z jednej, a Rusini dyzunicy z drugiej strony korzystać. Dawaly się już słyszeć głosy, że Chmiel zniszczenia Unii Brzeskiej się domagał i w Senacie chciał metropolitę swego posadzić. Dawalo to miarę innych wymagań.

Pomiędzy Senatorami, jak Adam Kisiel i inni grecy, którzy do Unii nie przystąpili, słyszeć się dawały głosy: „Czemuż nie mamy tych praw pozyskać, co dyssydenci, co katolicy, jeżeli wiernie tej Rzeczypospolitej służyć będziemy?”

Chociaż napozór zupełnie od wszelkiego udziału w sprawach kraju usuwająca się królowa nigdy z nikim o nich nie zagaiła rozmowy, polecając tylko sobie i sieroctwo swe opiece Rzeczypospolitej—czuli to wszyscy, iż wielki wpływ wywrzeć mogła na elekcję samą. Za jej wskazówką niewątpliwie musiałby pójść Dwór Francuzki i stolica Apostolska. Nie tajem było, że od śmierci króla — gońce, posły i listy szły nieustannie do Francji, a nawet z pomiędzy tych osób,

które królowej najpotrzebniejzemi były, wiele się z jej polecenia wybrało do Francji.

Pomimo to Marya Ludwika pozornie się obojętną całkiem zdawała i zrezygnowaną—nie zdradzając się ani słowem.

Ponieważ ks. Karol rzadkim tu bywał gościem, więc i częściej się dobijającemu do drzwi Królowi Szwedzkiemu—nie zawsze je otwierano.

Strzegła się królowa tego, aby mu nie okazać faworu szczególnego.

Jan Kazimierz wiedział przez swoich o wszystkim tem, co się u królowej działo, a dla oczu dworu było przystępnem; niepokoił się, wnioskował... trwożył.

Szczególniej go obchodziło to, iż senatorowie wszyscy tak wielkie Maryi Ludwice okazywali uszanowanie i garnęli się do niej. Najpoważniejsi z nich godzinami tam na rozmowach siedzieli, a niekiedy, niby przypadkowo, po dwóch i trzech schodziło się ich tu razem.

— Są to widocznie *conciabula*—mówił król Butlerowi -- ale z nich nic nie wychodzi na świat. Ja zaś, jeżeli mi się do królowej uda dostać, nie się też od niej dowiedzieć nie mogę. Zbыва mnie tem, że się do niczego mieszać nie chce.

— N. Panie—mówił starosta—*clara pacta* to najlepsza rzecz: potrzeba, ażebyś W. Król. Mość otworzył się rozmówił z nią.

— Sto razy rozpoczynałem: zbыва mnie, iż o niczem nie myślę, krom zabezpieczenia własnego losu.

Poruszał ramionami.

— Jeżeli ja Karol jakimi obietnicami na swoją stronę przeciągnąć potrafi, a ona mu potajemnie pomagać zechce... jego pieniądze, jej wpływ zapewnią mu koronę, a mnie pozostanie tylko wstyd, że się porwał nadaremnie.

Po naradzie z panem starostą, który miał całe zaufanie Kazimierza, nazajutrz Butler, w godzinie



gdy dla wszystkich otwarte były pokoje ks. Karola, udał się do jego pałacyku tuż pod zamkiem.

Nie była to budowa nawet za oddzielną od niego uważać się mogąca, i ściśle się z nim łączyła, bo na części okólnego muru od wisły wzniesioną została. Sam Biskup Wrocławski ją kosztem swoim budował, a że oszczędnym był—nie widać też było najmniejszej wystawności, i onych galeryi, posągów, malowań, któremi pałace Kazanowskich i Ossolińskich ówczesne się odznaczały.

Ład, czystość i porządek tylko pańską nadawały gmachowi powierzchowność.

Butler, chociaż ks. Karola znał — nigdy u niego nie bywał. Tym razem odwiedziny wypadły tak, że dosyć gości zastawszy, starosta się nawet do biskupa przybliżyć nie mógł. Jednakże z wejrzenia, które nań rzucił, dorozumiał się Butler, iż zjawienie się jego zrozumianem zostało.

Rozmowa toczyła się, naturalnie, o groźnych wieściach, które kraj cały trwożyły. Pokilkakroć wśród niej ks. Karol napomynał o żołnierzu, którego zaciągnął dla obrony i o daleko większej liczbie jego, jaką wystawić zamierzał. Z wielką zręcznością wiodąc rozmowę, w końcu biskup przystąpił do Butlera i szepnął mu, iż zapewne nie bez jakiegoś polecenia przybywał.

— Zlecenia żadnego nie mam — rzekł Starosta — ale W. Książęca Mość znacie mnie, że jestem sługą Króla Szwedzkiego i całym sercem mu oddanym, nic dziwnego, że tu przybył, aby się przekonać: czy istotnie W. Ks. Mość trwasz w zamiarze starania się o koronę...?

— Rzecz-to powszechnie wiadoma — zimno i krótko odparł ks. Karol. — Nie ludzę się, że mi króla współzawodnictwo trudnem będzie do zwalczenia, lecz mam część senatorów za sobą.

Zamilkł.

— Smutne to będzie współzawodnictwo — dodał Butler.

— Kazimierz to sobie powiedzieć powinien — przerwał gospodarz. — Długo się wahałem; pociągnęli mnie ludzie tem, iż dla niestatego umysłu na Kazimierza rachować nie mogą. Dałem się nakłonić... i nie cofnę...

Wpatrzył się wyraziście w starostę, powtarzając raz jeszcze.

— Tak — nie cofnę...

— Król Szwedzki też, gdy raz się między kandydatów dał wpisać, nie ulęknie się już... nikogo.

Małomówny biskup nie zdawał się nawet chcieć przeciągnąć rozmowy. Stał, jakby czekał, czy mu Butler czego więcej nie powie.

— Jeżeli król chciał przez was — dodał po napróżnem oczekiwaniu biskup — dowiedzieć się o tem, azali się nie waham... możecie go zapewnić, iż we wszystkim, co czynię, myślę zawsze długo, nim co postanowię, a obrawszy drogę, trzymam się jej wytrwale.

W. Ks. Mość pozwolisz mi jednak powiedzieć, że w tym wypadku zachodzą szczególne okoliczności — ośmielił się po namyśle Butler. — Nie mieliśmy jeszcze pono nigdy współubiegających się o koronę rodzonych braci. Czasu pokoju i pomyślności niczemby to było jeszcze... acz w rodzinie spór zawsze pożałowania godzien; ale dziś, gdy takie klęski zagrażają, gdy nieprzyjacieli wewnątrzności szarpie... gdy przedewszystkiem zgody i jedności potrzeba...

Biskup zlekka ramionami poruszył.

— Ośmielę się i to dodać, bo co prawda, to nie grzech — dorzucił Butler — że W. Ks. Mość nigdy rycerskiego rzemiosła aniś zakosztował, a nam hetmana potrzeba i wodza.

Z gniewem odparł biskup, znany z wybuchów gwałtownych:

— Mości starosto! Wierzajcie mi, że ja też na



koń sięś potrafię... a Król Szwedzki wielkim bohaterem dotąd się nie okazał.

To rzekłszy, ks. Karol, jakby się lękał siebie i większego roznamiętnienia, skinał tylko głową Butlerowi i prędko odszedł od niego.

Nie miał już tu co więcej robić starosta i zwolna się ku drzwiom zawrócił, pozostawiając biskupa z garstką jego adherentów, która po większej części składała się z ludzi mało znanych i w kraju żadnego wpływu niemających.

— N. Panie—rzekł od progu, wchodząc do mieszkania Kazimierza—nie ma co rachować na to, aby biskup rozmyślił się i ustąpił... Mówiłem z nim: uparcie trwa przy swoim.

— Azatem: wojna!—mruknął król—boli mnie to, ale od dzieciństwa tak było: oileśmy się kochali z Aleksandrem—(westchnął)—niech mu Bóg da odpoczynek wieczny... w chwale swej—oyle Karol był mi zawsze wrogiem!

#### IV.

Jednym z mężów potężnego wpływu i znaczenia, którymi panowanie Zygmunta III i dwu jego następców poszczycić się może—był Stanisław Albrecht Radziwiłł, który już za Władysława IV-go i dostojenstwem i stanowiskiem wśród narodu i Senatu zajmował pierwszorzędne miejsce. Wpatrując się w skład ówczesnego społeczeństwa, łatwo jest dojrzeć w górnych jego warstwach dwa całkiem różne żywioły, które się na nie składały. Już od Kazimierza Jagiellończyka, a może dawniej jeszcze, szlachecko-

pański świat polski dzielił się na te dwa obozy, jeżeli je tak nazwać można.

Jeden z nich winien był wychowanie swe i wykształcenie ziemi rodzinnej—i nosił na sobie piętno tradycyi przeszłości, obyczaju starego; wszystkich enót i wad, jakie się z niego wyrodziły. Drugi, po pierwiastkowym przygotowaniu w domu—kończył nauki i wychowanie za granicą. Dopelnieniem jego były podróże, pobyt na dworach monarchów obcych, obeznanie się z językami i stosunkami europejskimi. Wszystkie znaczniejsze rodziny wyprawiały tak swe dzieci do Włoch, Francyi, Niemiec, na dwór cesarski—i z tych wychowańców Zachodu składał się w większej części Senat i grono ludzi monarchów otaczające.

Wielu z tych kosmopolitycznie wykształconych panów przywdziewało strój obcy i nabierało charakteru cudzoziemskiego, nie zbyt się już do starych przywiązując obyczajów, lecz wogóle podróże i doświadczenie nie odejmowało potomkom wielkich rodzin ich znaczenia polskiego. Z powrotem do kraju, ognisko domowe, matrony polskie co go strzegły, atmosfera przesiąknięta tradycjami—wszystko co otaczało młodzieńca—szczególniej szlachta, wśród której obracać się musiał—odżywiały w nim wspomnienia młodości, i kosmopolita, zachowując nabytek zagranicą uczyniony—stawał się prawem dzieckiem swojej ziemi. Z takich-to ludzi, którzy zarówno z posłami zagranicznymi jak ze szlachtą szaraczkową obcować i zrozumieć się mogli, składała się za Zygmunta III-go i synów jego izba senatorska, z małemi wyjątkami dorosłych a poważnych statystów.

Albrecht Stanisław Radziwiłł—można powiedzieć, — był jednym z najznakomitszych reprezentantów zarazem europejskiej i polskiej cywilizacji. Nie tak świetnie i jaskrawo występujący na widownię jak Jerzy Ossoliński—nie ustępował mu ani znaczeniem, ani powagą, a w wielu razach zaufany ów Włady-



sława minister, który zdawał się na politykę jego wywierać wpływ przeważny—Albrechtowi Radziwiłłowi ustępować i ulegać musiał. W tej chwili przesilenia krytycznego, gdy szło o wywołanie wojny z Turcją, może Albrechtowi Radziwiłłowi winną była rzeczpospolita, że nie dopuścił do wybuchu. Powstrzymał on Ossolińskiego naprzód, potem króla samego.

Władysław IV mógł do niego mieć żal, ale nie okazał go nigdy, a samo znaczenie kanclerza litewskiego w chwili zgonu króla wskazywało mu drogę, jaką zmuszonym był iść w czasie bezkrólewia.

Rozległe posiadłości jego i starostwa, jakie trzymał na Wołyniu i na Rusi, w początku wojny domowej z Kozakami ogromne spowodowały straty. Dotknięty niemi kanclerz ze stoickim spokojem patrzył na nie, gotów, jak powiedział, do ostatniej kosztu wszystko na obronę Rzeczypospolitej poświęcić. Żaden może z ówczesnych senatorów z taką otwartością nie określał położenia, nie oznaczał obowiązków, jakie ono wkładało, nie wyznawał przyczyn, które spowodowały to chłopskie powstanie na Rusi...

Po sromotnej pilawieckiej katastrofie — Radziwiłł mówił otwarcie—jego są własne słowa: „Bóg zaprzędał ich, Pan ich pohańbił; pycha bowiem, wszeteczeństwo, ucisk i uciemiężenie ubogich — te to są, które na nich nacierały.”

Nikt się nie przyczynił dzielniej nad niego do zebrania nanowo sił ku obronie, do wiania ducha we strwożonych; nikt do większych dla ojczyzny ofiar nie był gotowym. Przykład jego działał dzielnie na drugich.

W podróży do Warszawy na sejm elekcyjny, o pilawieckim pogromie otrzymawszy wiadomość, kanclerz przybył do Warszawy z jedną, najgorętszą myślą przyspieszenia wyboru, rozumiejąc to bardzo dobrze, iż Kozacy z królem łatwiej, niż z samą Rzeczypospolitą, znenawidzoną, układać się będą.

Pamięć Zygmunta III, któremu był winien wszystko—bo ten pierwszym się stał opiekunem młodzieńca i najlepiej ocenić go umiał—nie dozwalała Radziwiłłowi ani pomyśleć o innym panu, krom o jednym z dwu synów jego. Miał do wyboru pomiędzy Kazimierzem i Karolem.

Nie można wątpić, że mimo miłości dla królewskiej rodziny Radziwiłł znał dobrze charakter, skłonności, wady Króla Szwedzkiego, zarówno jak księcia Karola. Z wielu względów ostatni może byłby miał pierwszeństwo u niego; lecz w tej chwili, jeżeli nie wodza i hetmana, to przynajmniej człowieka, któryby na koń mógł sięść, potrzebowała Polska. Tym ksiądz Karol nie był; znano go jako wielce pobożnego kapłana tylko.

Sam nadzwyczaj pobożny i gorliwy w spełnianiu religijnych obowiązków Kościoła, musiał wysoko cenić biskupa, lecz Kazimierz był niemniej nabożnym, a z wielu względów na króla zdawał się lepiej niż on usposobionym.

Radziwiłł więc przybywał już do Warszawy z wyrobionem przekonaniem, iż jego popierać należało, a biskupa ubłagać, aby zrzekł się kandydatury, głosów nie rozdawał i szybkiego nie utrudniał wyboru.

Pozostawało tylko widzenie się i narada z królową, którą ks. Albrecht nauczył się cenić, i o której znaczeniu i wpływie wiedział lepiej od innych. Od pierwszego powitania na ziemi polskiej, pod Gdańskiem, Maryi Ludwiki Radziwiłł, który ją tu przyjmował i towarzyszył do Warszawy, miał zrzeczność zbliżenia się, pozyskania jej zaufania i zawiązania bliższych stosunków. I on i druga żona jego, Lubomirska z domu, stali najbliżej Maryi Ludwiki. Natychmiast też po swem przybyciu do Warszawy, wprzód nawet, nim pośpieszył do Jana Kazimierza, kanclerz pojechał do królowej, która na niego z niecierpliwością oczekiwała. Jemu jednemu może zwierzyć się całkiem mogła.



Gdy jej oznajmiono z rana o przybyciu kanclerza, królowa natychmiast pośpieszyła na pokoje, nie wzywając z sobą nikogo, ani ks. de Fleury, ani żadnej z pań swoich. Łzy się jej polały przy powitaniu milczącym. Radziwiłł był też wzruszony. Położenie wdowy zarazem i straszliwy zamęt, jaki panował w Rzeczypospolitej, zarówno go usposabiałał rzewnie.

— N. Pani — odezwał się, całując podaną rękę — jesteśmy wszyscy boleśnie dotknięci z woli Bożej... lecz o miłosierdziu Jego wątpić nie powinniśmy. Próbuj on i zsyła krzyże.

Nie mogła wytrzymać Marya Ludwika i puściła wodze żalom swoim.

— Sierotą pozostałam — rzekła — osamotniona, bez opieki. Mam-li tu pozostać, czy wracać tam, gdzie o mnie zapomniano... zerwać, co z Polską łączyło... łączy... Sama nie wiem.. Czekałam na was, radzcie mi...

— Przedewszystkiem — odezwał się Radziwiłł — nie czas jest coś stanowić, czekać potrzeba; a nie widzę dla czegoś w. król. mość kraj ten, który ją przybrał za panią, miała opuszczać? Pomimo najstraszniejszego położenia, w jakim się znajduje Rzeczpospolita, musi ona wszystkim swym zadość uczynić obowiązkom.

Tak rozpoczęła się rozmowa.

Królowa unikała w niej wspomnienia o kandydatkach do korony, a bardziej jeszcze o swoim usposobieniu względem nich, ale Radziwiłł nie miał powodu tajenia się z przekonaniem.

— Pierwszą dziś rzeczą — odezwał się — zebrać siły do skutecznej obrony i wzięcia za srom doznany odwetu... ale niemniej pilną — wybór króla...

Królowa słuchała z natężoną uwagą.

— Mamy, niestety, aż dwu kandydatów — ciągnął dalej kanclerz — gdy nam-by jednego mieć i natychmiast go okrzykiwać było najpożądanym... Szanuję wielce księcia Karola — dodał — lecz nie zdaje mi się,

aby mi szczególnie na króla w zawiechrzonym zdać się kraju.

Na twarzy Maryi Ludwiki, umiejącej panować nad sobą, nie dostrzegł kanclerz ani przyzwolenia, ni oporu. Słuchała go, napozór obojętna.

Kanclerz zawahał się nieco.

— Króla szwedzkiego znam wszystkie przymioty i słabości — mówił dalej — ale ostatnie przypisuję więcej położeniu jego, niż charakterowi. Zarzucają mu niestałość, ale dotąd nie znalazł się może we właściwym sobie i powołaniu położeniu... Zresztą... religijny, szlachetny, gdyby nawet był słabym, sądzę, że w wyborze doradców potrafi okazać swą cnotę...

Zamilkł nieco.

— Mości księżę — odezwała się cichym głosem królowa — jeżeli wasz głos jest za Królem szwedzkim, nie wątpię, iż on za sobą większość pociągnie, będziecie jednak mieli niemałą trudność z księciem Karolem, który jak słyszę, mocne ma postanowienie nie wyrzec się kandydatury.

Ludzą go może powodzeniem... ja nie wiem... jak właściwie ocenić położenie i siły...

— Ja też czasu nie miałem jeszcze do lepszego zbadania go — mówił kanclerz. — Zdaje mi się wszakże, iż król szwedzki więcej mieć będzie za sobą, niż biskup, którego mało kto zna, bo nigdy dać poznać się nie starał...

Nastąpiło milczenie. Radziwiłł widocznie chciał jakieś skazówki o usposobieniu królowej, która unikała zdradzenia się z myślą swoją.

Przy pierwszym tem spotkaniu Radziwiłł nie śmiał być ani zbyt otwartym, ni nadto natęczywym w badaniu; nie wyjawiał całej swej myśli. W jego przekonaniu wybór Jana Kazimierza miał być wsparty małżeństwem jego z Maryą Ludwiką. Energia jej, charakter, wytrwałość, przymioty, które w najniepomyślniejszych warunkach kanclerz widział, ujawniające się w Maryi Ludwice, miały teraz przyjść w po-



moc słabości, chwiejnemu usposobieniu króla. Radziwiłł był pewien, że ona potrafi ovladnąć mężem i doprowadzić go drogą najlepszą.

Pomysł ten mógł spotkać opór ze strony Jana Kazimierza, może nawet królowej, lecz kanclerz nie uznawał go niemożliwym... i rachował na tę kombinację, która mu się zdawała najwięcej dla Rzeczypospolitej obiecującą.

Przeciągnęły się nieco opowiadania Radziwiłła, żale Maryi Ludwiki i wzajemne wyrozumiewanie, które do niczego nie doprowadziło, oprócz tej pewności tylko, że księżę Albrecht króla szwedzkiego popierać będzie.

Wprost też od królowej udał się Radziwiłł do Jana Kazimierza, który wraz ze dworem wybierał się już do Nieporętu, gdzie przez czas sejmu elekcyjnego, stosując się do prawa, musiał pozostać.

Księżę Karol tak samo wybierał się do Jabłonnej.

Pokoje króla pełne były, pomimo rannej jeszcze godziny. Przybywający senatorowie, szlachta znaczniejsza, a szczególnie duchowni... napływali. Ożywiony, roztargniony, w dosyć dobrem usposobieniu, król szwedzki obracał się wśród tych gości, usiłując okazać się uprzejmym, co nie zawsze mu się powodziło. Ujrzawszy kanclerza, którego znacznie umiał dobrze ocenić Kazimierz, ruszył się przeciwko niemu, z widomie rozjaśnionem obliczem.

— Nareszcie-śmy się zawołali — zawołał. — Bardzośmy wam radzi. Witajcie! Brakło nie wiem jak komu, ale mniej przynajmniej, rady waszej i otuchy.

Załamaj ręce.

— Giniemy! — zawołał z boleścią. — Kozacy pod Brześciem plądrują, mówią, że sam Brześć wzięty, spustoszony — klasztornicy, zakonnicy...

Nie dokończył król — milczeli wszyscy. Radziwiłł, który już wieść tę miał, ale wiary jej nie dawał, przerwał cicho:

— Są to tylko pogłoski, a że pogrom nasz — i tak już nieprawdopodobny, wszystko dziś możliwem czyni w oczach naszych, nie śpieszmy wierzyć; kłamstw jest wiele, a trwoga wszystko zwiększa...

— Daj Boże, aby się to fałszem okazało — przerwał król, uprowadzając Radziwiłła za sobą, nieco dalej od tłumu gości.

— Mości księżę — szepnął żywo — na rany Pańskie, ja z wami na osobności mówić muszę...

— Kiedy? — zapytał kanclerz, który zarówno życzył sobie tej rozmowy.

— Natychmiast, gdyby można — przerwał Kazimierz — wieczorem najpóźniej. Zamknę drzwi wszystkim.

Radziwiłł odparł tylko ukłonem i zwrócili się obaj ku biskupom, którzy świeżo z dycezyi swych przybyli, o stanie kraju przywozili najświeższe wieści.

Wszystkie one zgodne były i wywołały z ust kanclerza wymowne zakończenie.

— Nasze grzechy stanowią ich siłę... nasza słabość jest ich potęgą... Uderzmy się w piersi! Nie Kozacy i Tatarowie chłoszczą nas, ale Bóg, który po prawy żąda, lub zgubą grozi. Wszyscyśmy winni — i wszyscy pokutować musimy. Ofiar wymaga położenie: nie szczędźmy skruchy, żąda Bóg, kajajmy się, a zlituje się on nad nami...

Cichym szmerem wszyscy potakiwali kanclerzowi, lecz na ten ton kaznodziejski nastrojona rozmowa trwać nie mogła. Zwolna też goście jeden po drugim kłaniać się, żegnać i rozchodzić poczęli.

Sam nawet królewicz, któremu Tyzenhauz przyniósł kapelusz, rękawiczki, szpadę i płaszczyk, wybierał się także, mimo słoty, w odwiedzinę przed odjazdem do Nieporętu.

Od śmierci Władysława IV, dotknięty nią najboleśniej marszałek koronny, Adam Kazanowski, który w nim utracił przyjaciela i brata, nie ukazywał się prawie między ludźmi. Głoszono go chorym i był nim



w istocie. Węzeł, jaki od dzieciństwa łączył z sobą króla nieboszczyka i Adama Kazanowskiego, nie mógł się zerwać nagle, nie pozostawiając po sobie krwawej i bolesnej rany. Zgoić się ona nigdy już nie miała.

Dla Kazanowskiego Władysław był wszystkim, był jego życiem, technieniem, całą siłą, śmierć ta osierociła go najokrutniej. Żonaty i przywiązany do młodej, pięknej, jakby stworzonej dla siebie żony, bezdzietny, chociaż w niej miał pocieszyciela jedynego, nie czuł się jednak ani na chwilę pocieszonym i obojętniałym. Napróżno starała się go rozerwać, odżywić, przywrócić mu ochotę do życia. Kazanowski wpadł w apatię jakąś, w odrętwienie, które wprędce stało się groźną chorobą.

Nie wychodził prawie z domu, niechętnie przyjmował u siebie, nie nie zdawało się go obchodzić, a te straszliwe klęski, o których codziennie nadbiegały wieści, tak mu się stawały obojętnymi, jakby kraj i jego losy wcale go nie obchodziły.

Wszystkie starania żony i rodziny na ten stan poradzić nie mogły. Usiłowano go czemś rozerwać, wywieźć z tego zamknięcia w domu. Słuchał czasem nalegań żony, dał się prowadzić, ale w liczniejszym towarzystwie słowo zaledwie z niego dobyć było można.

Prawda, że w tym królewsko-wspaniałym pałacu swym marszałek miał nieustannie na oczach same przeszłości wspomnienia. Wszystko, co miał, było darem nieboszczyka: jemu Kazanowski zawdzięczał bogactwa, znaczenie, urząd, stanowisko. Ściany też sal i pokoiów okryte były obrazami tryumfów Władysława IV, jego wizerunkami i przypomnieniami.

Na każdym kroku marszałek spotykał się z tym nieboszczykiem, zdawał się go widzieć przed sobą, a rano, budząc się, potrzebował oprzytomnieć, aby oswoić się z tą myślą, że go już na świecie nie było...

Szeptał cicho:

— Pójdę za nim....

Żona ludziła się może jeszcze, ale rodzina, której lekarze nie obiecywali łatwego uzdrowienia marszałka, największym niepokojem była przejęta. Kazanowski nie miał potomstwa, a zostawił po sobie fortunę ogromną, ruchomości, których szacunek wynosił miliony... Brat i wszyscy pokrewni trwożyli się o przyszłe losy tego spadku, którym marszałek, pomimo zręcznych napomknien, wcale rozporządzać nie myślał. Ile razy mowa jakaś była o tem, poruszał ramionami obojętnie i spoglądał tylko na żonę.

Dorozumiewano się, że nieuniknionem było przekazanie jej wszystkiego.

Służeczka z domu, Elżbieta Kazanowska, pieczętowane dziecie możnego domu, zdawała się stworzoną na to, aby w złotem gnieździe ulubienca królewskiego panować; piękna, wychowana starannie, żywego temperamentu, nawykła do panowania nad temi, co ją otaczali, ubóstwiona Elżunia oświadczyła z łaskawością starszym od siebie mężem, który całkiem jej był oddany. Żalotna, potrzebująca do życia nieustannej intrygi, ruchu, zajęcia gorączkowego, hołdów, umiała tak szczęśliwie wzbudzić w mężu zaufanie, iż marszałek nigdy nie okazał cienia nieufności względem niej, zostawując nieograniczoną w postępowaniu swobodę.

Była to jedna z młodych pań swojego czasu, które około siebie gromadziły największe koło wielbicieli i przyjaciół. Jakkolwiek takie nadskakiwanie kobiecie zameżnej nie było w polskim obyczaju i wiele poważniejszych kobiet raziło, Kazanowska nie zważała na to, a że mężowi hołdy jej składane raczej pochlebiały, niż mu się przykrzyły, mogła się zabawiać pani marszałkowa, jak chciała.

Pałac też ów wspaniały, cały tryb życia Kazanowskich za życia Władysława IV sprzyjały zabawianiu się pani i pana. Adam Kazanowski, wyżyty i znu-



dzony tak dobrze, jak ona, pragnął ciągle czegoś, co by w nim sztucznie gasnące życie rozbudzić mogło.

Nigdzie więc może w Warszawie więcej ruchu, muzyki, śpiewu i tańca, niż tu, nie było. Cudzoziemcy szczególnie tłumami napływali i nie mogli się odchwalić pańskiego, a pełnego czarów przyjęcia. W pierwszych czasach po przybyciu Maryi Ludwiki do kraju, położenie jej smutne, zniechęcenie króla przedwczesne, zbliżyły panią marszałkową do królowej, której ona sama i przez męża starała się być pomocną. Stosunek ten jednak z królową, zamiast się stać coraz ściślejszym, z czasem odmienił zupełnie.

Spotwarzona na wstępie do Polski, królowa musiała być surową dla siebie, dworu i tego, co z nim było w jakimkolwiek związku; Kazanowska dla Maryi Ludwiki, surowej i poważnej, była za płochą. Chłód pewien, potem coraz mniej częste zetknięcia, których unikano, doprowadziły do tego, że między marszałkową a królową tylko urzędowe, zimne, przymusowe pozostawały stosunki.

Marszałkowi było to może na rękę, bo choć mu żał było królowej, nie potrzebował tłumaczyć się już z przyjaźni jej dla swej żony.

Od zgonu Władysława Kazanowski zamknięty w domu, zobojętniały, równie jak żona raz tylko urzędownie powitawszy powracającą do Warszawy z ciałem nieboszczyka wdowę, więcej się do niej nie zbliżali.

Do spraw ogólnych kraju jak dawniej, tak teraz, marszałek wcale się mieszać nie miał ochoty.

Słuchał opowiadań, poziewał, czasem ramionami poruszał, ale żywego udziału nie brał w niczem.

Jan Kazimierz zaraz po powrocie z Włoch zbliżył się do Kazanowskiego, który go z poszanowaniem, ale dosyć obojętnie przyjmował. Wielbiciel płci białej, ex-kardynał nie mógł pani marszałkowej Kazanowskiej widzieć i pozostać obojętnym, tak samo, jak piękna Elżusia wcale nie pięknego królewicza nie

mogła puścić, nie postarawszy się, aby na nim warła toż samo wrażenie, jakie czyniła na innych.

Nie było nie łatwiejszego nad obalamucenie Jana Kazimierza, który miał słabość do wszystkich kobiet w ogóle i w każdej z nich umiał jakiś szczególnie wdzięk upatrzeć.

Królewicz został zachwycony... Płomyczek ten, zrazu maleńki, piękna Elżusia, która na stronie wyśmiewała Jana Kazimierza, starała się rozdmuchać i utrzymać tak dobrze, iż król szwedzki liczył się teraz do najgorętszych jej wielbicieli i mógł nawet gorącością uczuć walczyć z panem starostą łomżyńskim Radziejowskim, który z dawna słynął ze swego rozkochania się rozpaczliwego w pięknej marszałkowej.

Śmierć Władysława, ogłoszenie kandydatury Jana Kazimierza, przepowiadana mu korona, naturalnie ze strony marszałkowej zwiększyły uprzejmości dla króla, a rozkochanego pana przyciągnęły nanowo i przykuły do wozu pięknej Elżusi. Im marszałek Kazanowski więcej zaniedbywał swą przyszłość, wcale się nie miesząc do niczego, a króla szwedzkiego przyjmując z dawną obojętnością i chłodem, tem sama marszałkowa więcej się czuła w obowiązku przysługę pana pozyskać.

Dla jej bowiem bystrego oka i niewieściego przeczucia nie ulegało wątpliwości najmniejszej, że nie kto inny, tylko Jan Kazimierz wybranym zostanie. Chciała go weześnie pozyskać dla męża i dla siebie...

Jan Kazimierz przed swym wyjazdem przymuszonym do Nieporętu stał się niemal codziennym gościem w pałacu Kazanowskim.

Krzywił się może na to marszałek, który nie lubił go, ale nie sprzeciwiał się żonie, dowodzącej mu, że na wszelki wypadek króla sobie należało pozyskać.

Jan Kazimierz więc, wybierając się z Warszawy,



jechał z pożegnaniem do pałacu Kazanowskich. Nie spodziewano się go zapewne dnia tego, bo deszcz jesienno lał jak z wiadra i powietrze było najnieprzyjemniejsze, ale gdy oznajmiono przybycie i marszałek i żona jego znaleźli się w antykameryze na przyjęcie.

Z galanterią podał Jan Kazimierz rękę pięknej Elżsie, uśmiechającej mu się wdzięcznie.

— Wypędzają mnie z Warszawy — rzekł dosyć wesoło. — Chciałem więc pożegnać moich przyjaciół, a do tych państwa zaliczam.

Sklonił się zimno pan Adam.

— Kto wie, z czem powrócę — dodał — na pewno z grochowym wiankiem. Rzeczpospolita mnie nie zechce, będzie wołała młodszego... kobieta jest...

— W. królewska mość sądzisz — wtrąciła Kazanowska — że kobiety tak bardzo młokosów cenia? My między nami wcale inaczej trzymamy, a młodych gasków zostawiamy starym babom...

Rozśmiał się Jan Kazimierz.

— Spodziewam się — rzekł, zwracając do mileżącego marszałka — że przez pamięć dla brata mego i życzliwość waszą dla rodziny naszej i dla mnie w szczególności, marszałek zechcesz wpływem swym...

Kazanowski szydersko trochę się uśmiechnął.

— N. Panie — rzekł cicho — ja najmniejszego nie mam wpływu, niestety, bom się nigdy o niego nie starał; lecz gdybym mógł mieć jaki...

Nowy ukłon zakończył urwany tu frazes.

— Gdybym ja miała prawo wyjechać na Wołę i pod szopę — wesoło wtrąciła pani Kazanowska — pierwsza-bym okrzyknęła nowego króla.

— Karola? — zapytał żartobliwie Kazimierz.

— A! nie — rozśmiała się piękna Elżbieta — nie godzi się przecie Panu Bogu go odbierać, gdy mu się raz poświęcił.

Z tego tonu żartobliwego Jan Kazimierz zeszedł na poważniejszy.

— Czynią mi nadzieję, że brat mój w ostatniej godzinie rozważy, iż się niepotrzebnie naraża na zawód — rzekł głosem niższym — ale... nie wierzę w to jeszcze. Nie miałem nigdy szczęścia w niczem, a dziś, przypuściwszy nawet, że to brzemień korony spadnie na mnie... w jakich czasach i jakich warunkach! Słyszcie, panie marszałku?

— A, N. Panie — odparł smutnie Kazanowski przez cały dzień nie słyszemy o czem innem.

— Rozśmiać się człowiek boi teraz — wtrąciła piękna pani — aby nie być posądzonym o obojętność. Al co za czasy! co za czasy.

— Umarł w samą porę — dodał ponuro marszałek — aby na to nie patrzył.

— Ten niegodziwy chłop, Chmiel — począł Jan Kazimierz — zuchwalstwo swe posuwa do tego stopnia, że nieboszczyka króla obwinia o podżegnięcie do tej wojny.

Kazanowski ruszył ramionami.

— N. Panie — odparł — na trumnę kamieniami i błotem rzucać bezkarnie można. Nie potrzebuje król Władysław obrońców.

Przeprowadzany tak przez oboje gospodarstwo, nie do wielkiej sali paradnej, ale do małej, w której sama pani poufalszych przyjmowała gości, znalazł już tu Jan Kazimierz u komina marmurowego, na którym płonął ogień suchych drewek, opartych na dwu smokach złoczonych, wielkie krzesło z poręczami dla siebie, a małe dwa dla gospodarzy.

Pokój ten, jak cały ów pałac Kazanowskich był prawdziwym cackiem, godnem królowej. Flamandzkie obrazki i portrety na ścianach w ramach wytwornie rzeźbionych, na tle adamaszku purpurowego ze złotem; brzozy i marmury, na stołach owe skrzynki rzeźbione z szyldkretu, hebanu, z drzewa różowego, sadzone kością słoniową, złotem, bursztynem, bronzowe klatki pełne ptasząt, flamandzkie portyery z herbami Kazanowskich, posadzka w najpiękniejsze wzo-



ry różnobarwnem drzewem wysadzana, kobierce perskie, tysiące fraszek kosztownych, czyniły wesoły ten gabinet zachwycającym.

Dosyć obojętny na podobne zbytki, Król Szwedzki nie mógł jednak nie uczuć piękności tego gniazdka i po prostu zawołał, siadając:

— Jakże tu pięknie u pani!

Uśmiechnęła się marszałkowa.

— Myśmy, jak dzieci, N. Panie—rzekła—bawimy się cackami temi, ale też to całe nasze mienie i uciecha na świecie...

— Zjeżdżają się liczni już panowie senatorowie—począł Kazimierz, któremu dolegała ciągle troska o elekcję—Widzieliście pewnie z nich wielu?

— Niektórych—rzekł marszałek—unikam mieszania się do spraw publicznych, bo ani zdrowie, ani żaloba po królu, którą mam w sercu, nie dopuszczają mi niczem się zająć.

— Ja, oile mogę, zastępuję męża mego—dodała marszałkowa żartobliwie—bo-bym nie chciała, aby się tak usunął od ludzi, od świata i w tym smutku pograżał cały, ale zniewolona jestem go przymuszać, tak zobojętniać na wszystko.

— Szczęśliwy brat mój, iż umiał sobie takiego przyjaciela pozyskać—dodał król—zazdroszczę mu.

W tej chwili oznajmiono o przybyciu kanclerza Ossolińskiego, a Kazanowski grzecznie zwrócił się do gościa, zapytując: czy mu go przyjąć dozwoli?

Jan Kazimierz skłonił głowę.

W chwilę potem, równie chmurnego niemal obliza, jak sam gospodarz, wszedł z powagą pańską, która go nigdy nie opuszczała—Ossoliński. Przybycie jego było bardzo pożądanem królowi, ale może niekoniecznie na rękę pięknej Elżusi, która chciała sama, przy podanej zręczności, zawładnąć przyszłym panem.

Ciekawą też była: czy się nie zdradzi ze stosunkiem swym do królowej wdowy, której nie lubiła

i obawiała się, a przewidywała, że ona wpływ swój wywrze na Jana Kazimierza.

Ossoliński wszedł z tą troską, z którą się naówczas nosili wszyscy. I on inni senatorowie i dygnitarze pragnęli co najprędzej część odpowiedzialności, która teraz cała ciążyła na nich, zrzucić na wybranego króla.

Chociaż termin elekcji wyznaczony był na sejmie konwokacyjnym, znaczniejsza część senatu, dla nadzwyczajnych wypadków przyspieszyć go pragnęła. Inni, razem z kanclerzem litewskim Radziwillem, naprzód chcieli skłonić jednego z kandydatów, aby się zrzekł na brata, i w tej mierze zgodni byli wszyscy... nikt sobie nie życzył Biskupa Wrocławskiego.

Jako główną pobudkę do oświadczenia się przeciwko niemu stawiono jego powołanie duchowne, obyczaj mniszy niemal. Było to wistocie doskonałym pozorem, chociaż przyczyna dla której wolano Jana Kazimierza, głębiej leżała może.

Znano go lepiej—i wiedziano, że nim łatwiej będzie pokierować. Z tego zamkniętego w sobie, skąpego, surowy ład lubiącego biskupa, który brzydził się kobietami i nie miał faworytów, ani zauszników,—któż wie, jaki się mógł król rozwinąć? Przeszłe życie Króla Szwedzkiego nie pozostawiało wątpliwości, jakim będzie na tronie.

Od pierwszych wyrazów rozmowa z Ossolińskim weszła na publiczne sprawy, ale Kazanowski zamilkł, i żona jego tylko szczebiotaniem się swem do dyskursu mieszała.

Kanclerz oznajmował królowi, że się umówili z Albertem Radziwillem i kilku innymi panami w tych dniach jechać do Jabłonny, do księcia Karola, i nastawać na niego o zrzeczenie się kandydatury. Uradowało to widocznie Szwedzkiego Króla.

—Możecie go upewnić—rzekł żywo—iż ja straty, jakie poniósł, będę się starał wynagrodzić. Mówią o milionie przeszło na zaciągi i kaptowanie szlachty



wyrzuconym. Dla Karola, który tak grosz lubi i zbierał skrzętnie, dotkliwą-by to było stratą, ale sądzę, że Rzeczpospolita, — ja sam, potrafimy go indemnizować.

— Skończy się to niechybnie na rezygnacyi—dodał Ossoliński—bo stronników książe Karol z wyjątkiem Mazowsza, nie będzie miał wielu.

Kancelerz potwierdził zresztą w dalszej rozmowie wszystkie wiadomości, jakie doszły z Zamościa, Brześcia i z Rusi. Kozactwo było do najwyższego uzuchwalone stopnia. Hetmani w niewoli, wojska rozbite, łup ogromny zabrany, bezkarne najazdy na strzeżone grody wprawiały je w rodzaj upojenia.

Powtarzano plugawe wyrażenia pijanego Chmiela i obelgi rzucane na szlachtę, ale razem Ossoliński świadczył, że hetman kochał o przyszłym królu, jak o przeszłym, wyrażał się z pokorą i respektem. Króla więc co rychlej, jako chorągwi było potrzeba, około której naród się miał gromadzić.

Jan Kazimierz czuł się dumny z wielkiego posłannictwa, jakie na niego spadało: miał być zbawcą ojczyzny!

V.

Pożegnanie z Maryą Ludwiką było zimne i ceremonialne, napozór przynajmniej, lecz staraniem obojga kanclerstwa litewskich, a szczególnie księcia Albrechta, pomiędzy królową wdową a Janem Kazimierzem stanął już pakt niemy, który ich interessał łączył i wiązał w przyszłości.

Zręczny dyplomata, Radziwiłł, zawsze we własnem tylko imieniu działając, przyjeżdżał tyle kroć do Ma-

ryi Ludwiki, do Króla Szwedzkiego, tak powoli działał na oboje, iż królową skłonił do zgodzenia się na swe trudne wyjście za mąż za nowego króla, a Jana Kazimierza do obietnicy, iż — jeśli królową sobie pozyskać potrafi—żenić się z nią jest gotów.

Wszystkie korzyści tego połączenia umiał kanclerz wyłożyć bardzo zręcznie.

— W tej chwili zyskujesz sobie w. król. mość we Francyi i w Rzymie sprzymierzeńca, królowa gotowa jest sukursować pieniędzmi... Wszystko to warunkowo tylko wiąże w. król. mość, ale ożenienia łatwiejszego, mniej kosztownego w tych czasach, gdy o pieniądzu trudno, naostatek osoby godniejszej korony, którą nosiła z taką powagą, nie znajdziesz w. król. mość drugiej. Wszystko mówi za nią.

— Mam największą cześć dla Maryi Ludwiki — zapewniał Kazimierz.

Tak ułożywszy preliminarza, kanclerz był pewnym prawie, że mimo niestałości umysłu króla wszystko się według programu spełnić musi.

Jan Kazimierz w pierwszym momencie zgodził się: dawało mu to pewność wyboru, poparcia, oswobodziło od troski, lecz zaledwie Radziwiłł odszedł, a on pozostał sam na sam z Butlerem, przed którym z gadatliwością dzieciinną, ze wszystkiego się zwierzał, zawołał, ręce łamiąc:

— Wiesz, Butler, co mnie ta korona kosztować będzie? Ja to przewidywałem. Radziwiłł mi swata królową wdowę i każe mi się z nią żenić.

Ale to znaczy się dać okuć — i ta kobieta mnie zawojuje! Ja to czuję, ona mnie na pasku prowadzić zechce, będzie każdy mój krok szpiegować.

Nagle urwał i zamyślił się.

— Nie jest brzydka — zamruczał — tego nie powiem, ale młodości ani znaku, a dla mnie młodość...

I jakby się sam zawstydził tej słabości swej, dodał prędko:

— Te ożenienia urzędowe, to do niczego nie obo-



wiązuje. Władysław z nią nie żył prawie, tak, ale czyniła z nim co chciała.

— Zobaczysz—i mnie to czeka!

— N. Panie — przerwał Butler — położenie nieboszczykacale było inne.

— Tak, ale ona, królowa dziś, stokroć silniejsza, niż była w początku—mówił Jan Kazimierz. Ma stosunki, przyjaciół, adherentów.

Starosta zbliżył się do króla.

— N. Panie — szepnął.—Polityka ma swe prawa. Przecież w. król. mość nie dajesz zobowiązania żadnego do tego ożenienia się. Są to tylko przypuszczenia, życzenia, ewentualności. Raz osiągnąwszy koronę, zawsze się cofnąć można.

Zacisnął usta Jan Kazimierz.

— Ja też—zawołał rękę kładąc poufale na ramieniu Butlera — ja też z królową samą nie o tem mówić, nie przyrzekać nie myślę... nie—nie... Mówiliśmy z kanclerzem; są to suppozycje, że się tak może złożyć w przyszłości, — nie więcej z mej strony, nie więcej!

Pożegnanie z królową z obu stron było jakby badaniem potajemnem. Wiedzieli, że układy zostały związane, i że o nich mówić nie była pora.

Królowa wyszła, nieco więcej ożywiona, niż zwykle, król zbliżył się z wyraźniejszą galanterią jakąś, która go przy rysach twarzy niemiłych i wymuszeniu, do jakiego się czuł obowiązany, wielce śmiesznym czyniła.

Rozpoczął od podziękowania królowej za przyrzeczone mu poparcie. Marya Ludwika zlekka się może zbytniej otwartości i natychmiast przerwała.

— Radabym tej Rzeczypospolitej, która mnie przyjęła i przyswoiła dać dowód przywiązania, a lepiej jej usłużyć nie mogę, jak przyczyniając się, oile słabe siły moje zdołają, do prędkiej elekcji w. król. mości.

Pisałam już do króla, kuzyna mego, i spodziewam się rychłej odpowiedzi,—listu do Stanów Rzeczypospolitej.

Jan Kazimierz ucałował podaną sobie rękę.

— Nieskończoną wdzięczność winien będę w. król. mości.

Królowa ciągle, jakby się obawiała niezręcznego i niewczesnego wygadania się ze strony Kazimierza, przerywała mu żywymi zaręczeniami, iż wszelkimi siłami popierać go będzie.

Rozmowa w ciągu której, zapewne wskutek wczesnego polecenia, nadszedł ks. de Fleury, skończyła się ogólnikami. Znać jednak było w obejściu się swobodniejszem obojga, iż lody pierwsze skruszone zostały, że oboje pewniejsi spoglądali w przyszłość. Marya Ludwika знаła już dosyć Króla Szwedzkiego, aby pewną być, iż zapanuje nad nim, i o to najmniej nie miała obawy.

Strwożony król pocieszał się potajemnie tem, że później z tego zawikłania i obietnic wysliznąć się potrafi.

Wyszedł więc tak wesół, jak nie był oddawna, ale—stary grzech, z całą swą wstrętliwą fiziognomią mściciela, czekał go na progu antykamery.

Stała tu inaczej teraz, ale nie mniej cudacznie wystrojona Bertoni, której pokojowcy króla, karły, dworzanie, komornicy nie mogli zmusić do odwrotu, choć ją zapewniali, że króla nie było, i że z nim dziś widzieć się jest niepodobieństwem.

— Jużci przecież na noc powróci—wołała zuchwała Włoszka—a ja ztąd nie ustąpię krokiem, póki się z nim nie rozmówię.

Na żywy ten spór ze strażą drzwi swoich nadszedł król i zbłądł, zobaczywszy tego upiora przeszłości.

— Al! nieznośna ty...—zawołał — dajże mi tchnąć! Czego mnie prześladujesz?

Włoszka skłoniła mu się.



— Mam ważną sprawę—rzekła—w. król. mość jutro do Nieporętu, a ja po bezdrożach gonić za nim nie mogę.

I przedzierając się za królem, choć nie nie odpowiadał, Bertoni wtargnęła do drzwi sypialni.

— Czegóż chcesz?—krzyknął niecierpliwie odwracając się, Jan Kazimierz.

— Sprawiedliwość! — patetycznie głos podnosząc, odrzekła Włoszka.

Jedną córkę mam, oko w głowie, skarb.

Na wspomnienie to córki król stanął.

— Aha! z córką więc... katastrofa — zawołał. — Ciekawym.

— Katastrofy żadnej niema, bo ja jej nie dopuszczę—zawołała Bertoni—oczybym mu wydarła!

— Komu?—spytał zaciekawiony widocznie król.

— W drugich drzwiach pokoju na progu z tą swobodą dworów, w których niema porządku i karności, cała gawiedź antykamery zbila się do kupy i słuchała.

Bertoni wskazała na nią.

Tupnął nogą król i rękami dał znak, aby wszyscy precz szli.

— Drzwi zamknąć.

Z chwili tej korzystała Włoszka, aby włosy i manele przed zwierciadłem poprawić. Wyglądała jak istna głowa Meduzy okryta błyskotkami.

— Cóż się z twoją córką stało? — zagadnął król, widocznie zaintrygowany.

— Nie stało się nic, ale jako matka ja muszę zapobiegać, aby się stać nie mogło — poczęła Włoszka. — Otóż doszłam tego, że dworzanin w. król. mości, szlachetka biedny, bez domu i łomu, pokojowicz, podkrada mi się do Bianki, balamuci, próbuje korrumpować ludzi, pod oknami się włoczy, liściki pisze.

Śmiał się król.

— A to zuch! — zawołał — któryż? mów, jak się zowie?

Nie odpowiadając na pytanie, Bertoni ciągnęła dalej:

— Przychodzę po to, abyś mu w. król. mość zakazał, zagroził, zapowiedział, że jeśli się waży i będzie mi dalej podstępnie się wkładać, dostanie na kobiercu i won ze dworu!

— Nie więcej? — zapytał król rozweselony — nie powiesić-by go za to?

— Nie drwij w. król. mość—przerwała gniewnie Włoszka—tu o niewinne dziecię chodzi.

— Powiedzieć mi, jak się ten szczęśliwiec zowie?—zapytał Kazimierz.

Skrzywiła się Włoszka i plunęła.

— Nawet nazwiska jego paskudnego wymówić trudno—krzyknęła — nazywa się jak jaki stróż, gbur, chłوپisko. Imię i nazwisko dobrane.

Krzusila się Bertoni i z przyciskiem wyrwało się jej z ust nareszcie.

— Dyżma Strzębosz!

Król podniósł ręce i plasnął.

— Oho!—zaśmiał się—ma więc gust kawaler.

Włoszka nawykła z królem wcale nie czynić ceremonii, mruknęła:

— Aha! nie dla psa kiełbasa...

Tymczasem już król w ręce uderzył. Wpadł pierwszy dworzanin Tyzenhauz.

— Strzębosza mi tu wołać.

— W antykamerze go niema—odparł śmiało Tyzenhauz — ale na zamku jest, bom go widział niedawno.

— Posłać po niego.

Wtem, jakby na zawołanie, wśród ścisłu przedpokoju, powstał szmer, i przedzierając się przez dworzan, wszedł śmiało i raźnie stąpając, kuso a elegancko, według ówczesnej mody, wystrojony po polsku, młodzieniec bardzo przystojny, z czubem w pukle mu



zwijających się włosów na głowie, przy szabelce, w krótkiej delijce,—choć malować...

Ciemny wąsik, do góry podkręcony, młodej twarzy nadawał butą większą jeszcze, choć i tak jej dosyć miała.

— Strzębosz? — zagadnął, niby się groźno marszcząc, król—co to znowu za skarga na ciebie?

Bertoni cofnęła się kilka kroków, tyłem ku obwinionemu się obracając.

— O niczem nie wiem—burknął dworzanin.

— Jakto? o niczem!—wybuchnęła Włoszka—waćpan mi chcesz córkę bałamucić.

— Uchowaj Boże!—rzekł zimno Strzębosz.

— Nie możesz się zapierać—przerwała kobieta—ja mam dowody w rękę.

— Ja się też nie myślę zapierać — począł dworzanin — że panna Bianka mi się bardzo podobala, żem się nawet w niej rozmiłował. Toć nie grzech... Jestem szlachcie, a kiedy się rozmiłuję, to i ożenić mogę.

Bertoni pochwyciła się za głowę.

— To mi dopiero łaska? — krzyknęła — waćpan! zenić się z moją córką, waćpan co masz całego majątku nędzną szkapę i siodełko z rzemiennym rzędzikiem! Cha! cha! cha!

Strzębosz słuchał wcale niezmiuszony:

— I tego się nie wypieram, żem ubogi—odparł—Albo to się jako drudzy dorobić nie mogę? a moje też szlachectwo nie zaważy na szali?

Król spoglądał to na zuchwałego sługę swojego, to na rozplamioną tą śmiałością jego Bertoni.

— Miejże rozum—odezwał się do Strzębosza zwrócony.—Widzisz, że matka ciebie znać nie chce, gwałtem przecie jej nie weźmiesz, a szlachectwo twoje mało sobie cenia. Dajże ty mi pokój tym amorom i żebym ja o nich więcej nie słyszał!

Strzębosz wesał się pokręcił.

— W. król. mość—rzekł—możesz mi rozkazywać,

co zechcesz, ale co się tyczy serca, wiadoma rzecz, jeden Bóg ma w swych rękach serca nasze. Ja sam panem jego nie jestem. Radbym posłusznym być, ale za to ręczyć trudno.

Uśmiechnął się król, ruszył ramionami.

Włoszka palce sobie z gniewu wyłamywała i słysząc było jak w stawach trzaskały.

— Słyszałeś waszmość rozkaz króla? — zawołała gniewnie—a ja mu zapowiadam, że przystępu do mojego dziecka zakazuję... i wszelkich użyję środków, choćby ją przyszło do klasztoru zamknąć, abyś końca jej nosa nawet nie zobaczył.

Ruszał sobie ze swem szlachectwem, gdzie chcesz; zlakomi się może na nie inna mieszczka, moje dziecko zawysoko.

Strzębosz słuchał zukosa, patrząc na rozjątrzoną jejmość; nie odpowiedział nic.

— No, masz odprawę — rzekł król — wiesz czego się spodziewać; pamiętajże, abym ja więcej tych skarg na ciebie nie słuchał, bo... będę musiał ze służby cię odprawić.

Wszystko to razem na młodzieńcu bardzo małe zdawało się czynić wrażenie; posądzić go było można, iż się pod wasem uśmiechał.

Pokłonił się potem w milczeniu królowi, trochę szydersko; zniżył głowę przed jejmością i wyszedł, ale jakby tryumfował.

Strzębosz ten, którego Bertoni tak sobie lekceważyła, od powrotu Jana Kazimierza nanowo do dworzan jego zaliczony, był wszystkich, nie wyjmując króla, ulubieńcem. Chłopak ubogi, syn wdowy, kędyś z Krakowskiego, dziecię znanego z męstwa żołnierza, który w regimencie Biskupa Krakowskiego do śmierci służył, wychował się w Krakowie, potem wszedł w czasie, gdy Władysław IV nowe zaciągi rozpoczął, do pułków cudzoziemskich, a z nich na dwór Kazimierza.

Na swoje lata miał on już dosyć doświadczenia,



a na wpół sierota, zmuszony zawczasu sam sobie rady dawać i matce pomagać jeszcze, bardzo szczęśliwie, śmiało i zręcznie walczył z losem. Piękna powierchowność, czemś bardzo szlachetnem się odznaczająca, uprzedzała o nim dobrze, a wrażenie to nie zawodziło. Umiał sobie pozyskać miłość tych wszystkich, do których go wypadki zbliżały; ani nazbyt zachwały, ani zbyt trwożliwym, co jeszcze bywa szkodziwsem. Dyżma miał wielką przytomność umysłu i odwagę, niczego się nie zląkł, a ludzie mu nie imponowali. Na dworze, co bardzo rzadka łaska pańska nie robiła mu nieprzyjaciół, bo jej nigdy nie użył przeciw nikomu; kochali go towarzysze, którym pomagał chętnie; a że pilnym był i wiodło mu się w spełnianiu rozkazów, król się nim bardzo chętnie posługiwał. Gdziekolwiek trudniejsze jakie przychodziło do rozwiązania zadanie, powoływał Strzębosza, który się nie wymawiał.

Gdy Dyżma się cofnął do przedpokoju, wszyscy towarzysze przywitali go tam wesółym śmiechem. Dla wielu z nich owe amory jego były rzeczą nową, mało kto się ich domyślał; mało też kto i Biankę widywał, bo ją matka szczególnie przed oczyma dworskiej młodzieży ukrywała. Zaczęto i prześladować i winszować. Strzębosz w milezeniu wąsika pokręcał, stojąc zadumany.

Wtem Bertoni też zamaszysto wybiegła z pokoju króla, drzwi zatrzasnęła za sobą i ani patrząc na dwór, który szyderskiem prychnieniem ją witał, wybiegła na korytarz.

Strzębosz zrazu chciał pójść za nią; rozmyślił się potem i pozostał, a tuż i król go już wołał do siebie.

Łatwo się było domyśleć, że ta indagacja nastąpić musi, gdyż nawet w najważniejszych stanowych chwilach życia swojego, Jan Kazimierz się nie mógł powstrzymać od chętki słuchania skandalicznych powiastek, których bez względu na godność swoją od najpośledniejszych ze sług wymagał. Bawiło go to,

ale zarazem zbyt znacznie spoufalalo ze służbą i nigdy też karnośći najmniejszej wśród dworu jego nie było. Niekiedy król uciekać się musiał do najostateczniejszych środków, do własnoręcznego karcenia zuchwałych, ale i to nie na wiele pomagało. Stawiono mu się zuchwale, lekceważono jego powagę. Nigdzie usługa nie była gorszą, niż u niego.

Przywołany Dyżma wszedł śmiało i stanął przed oczekującym nań Kazimierzem, który ciekawemi mierzyl go oczyma.

— Cóżes to ty nabroił?—uśmiechając się, zapytał król—mów mi wszystko... Bertoni przecie córki, jak oka w głowie pilnuje; jakżeś się ty tam potrafił dostać, zbliżyć?

Strzębosz dumiał i widać było, że ten egzamin nie był mu miły.

— N. Panie — rzekł — widywałem ją na ulicy, w kościele, w oknie. Zresztą wszystko się na tem kończy, żem patrzył i wdychał, a ona mi oczyma odpowiadała. Próbowałem list pisać, ale ten złapała matka i ztąd burza powstała.

— No, a dziewczę? jakże ono dysponowane dla ciebie—badał ze zwykłą ciekawością Jan Kazimierz—co myślisz?

— Myślę, że mi dosyć sprzyja—rzekł Strzębosz—ale to jeszcze dziecko jest; bawi ją to, a Bóg wie jeden, czy serce się w niej rozbudziło.

— Porzucisz więc ją?—szepnął król.

Namyślał się nieco dworzanin.

— N. Panie—odparł—nie nie wiem i za nie nie ręczę, co los zdarzy. Bertoni z komara zrobiła wołu. Nie mogłem się nawet przybliżyć do dziewczęcia, ani z nią rozmówić; a ta już takiej narobiła wrzawy, jakbym do domu jej wtargnął.

— Powinieneś wiedzieć — szepnął król poufale—że Włoszka wysoko patrzy i dla córki wiele pretenduje, a ma poniekąd słusność. Dziewczę, mówią, bardzo piękne?



Tu król się zatrzymał i spojrzął, a Strzębosz potwierdził.

— Jak anioł.

— No... i wychowane starannie, a ta przemyślna, skąpa, drapieżna matka, piękne jej wiano zbierze. Będzie niewątpliwie bogatą; widzisz więc...

— Widzę, N. Panie — odparł — że sprawa trudna, ale nie zrozpaczona.

Na okazji odznaczenia się w wojnie zbywać nam nie będzie; ja się zaciągnę, a chyba Bóg nie łaskaw, żebym się czego nie dosłużył.

I Strzębosz z głębokim pokłonem odszedł ku drzewom, okazując wstręt do zwierzeń, których król był tak łakomym.

Nazajutrz wybierano się do Nieporętu, a słotna pora jesienna wszystkim, poczynawszy od pana do ostatniego pacholika, lice zasepiła. Nikomu się nie chciało opuszczać Warszawy, właśnie gdy ona zjadem na elekcyą ożywić się miała.

Pozostawał na zamku tylko dwór królowej wdowy, której pobytu nie można było wzbronić, gdyż urzędownie w elekcyi żadnego ona udziału nie brała i nie miała interesu.

Dwór Króla Szwedzkiego pierwszy wyciągnął z zamku, tuż za nim miał księżę Karol wyruszać do Jabłonny, lecz w ostatniej chwili wstrzymać się kazał swoim ludziom, dopóki brat nie wyjechał.

Księżę Biskup walczył jeszcze z sobą: czy na odjeździe miał się pokłonić królowej Maryi Ludwice, jak wypadało może, lub pominąć to wymaganie form etykiety.

Przyboczna rada jego nie umiała mu nic powiedzieć, oprócz, że Jan Kazimierz zadość uczynił temu obowiązкови. Dla księcia Karola oddawna było jawnem, że królowa stronę starszego brata trzymać będzie; zdawało mu się jednak, że zrywać głośno z tego powodu, okazywać żal było niepolitycznem. W chwili więc już, gdy prawie wsiadać miał do kolebki, wy-

ślał biskup do ks. Fleury, z którym był dosyć dobrze, pytając, czy może pożegnać królową?

Zapytanie to, wysłane przez dworzanina, dość długo pozostawało bez odpowiedzi, lecz w ostatku przyniesiono ks. Karolowi wiadomość, iż królowa oczekuje na niego.

Wolałby był stokroć, aby mu się wymówiła cokolwiek od przyjęcia, lecz cofnąć się już było zapóźno. Spotkanie to przykre nie mogło mieć żadnych następstw; było ofiarą dla przyzwoitości, której biskup uchybić nie chciał ze swej strony.

Królową w towarzystwie ks. de Fleury i pani des Essarts zastał już w salce posłuchalnej, oczekującą jego przybycia.

Z uprzejmym tym, wyuczonym uśmiechem dni powszednich, jakim zawsze i wszędzie zmuszoną była witać gości swych królowa, z powagą, która ją nigdy nie opuszczała, przyjęła królewicza Karola.

Czuła się swobodną gdy on wchodził widocznie zmieszany i przygnębiony. Wymownym nie będąc nigdy, teraz mniej, niż kiedy mógł się zebrać na słowa kilka.

Zamruczał zbliżając się o pożegnaniu, o niemiłym wyjeździe z Warszawy.

— W. książęca mość łatwo mogliście uniknąć przymusu do tej podróży — śmiało odezwiała się królowa...

Ks. Karol zaciął usta i odparł prawie gniewnem wejrzeniem.

— Tak — rzekł, zaczynając się już burzyć — ale raz wciągnięty i namówiony na to, abym stanął pomiędzy kandydatami, nie mogę i nie chcę się już cofnąć. Korona ta — dodał — tak dziś jest nieponętną i ciężką będzie do dźwigania, że pożądanie jej, jak męczeństwa, nikomu być za złe wziętem nie może. Z mej strony, mogę zaręczyć w. król. mości, jest to ofiara dla Rzeczypospolitej, na której łonie urodzony,



czuję się jej dziecięciem. Wszyscy wiedzą, jak ukochałem życie ciche i odosobnione, ale dziś nie o sobie myśleć musimy.

— Nikt lepiej tej ofiary ocenić nie potrafi nade mnie—ceremonialnie poczęła królowa — patrzyłam na to, jak nieboszczyk król miał wiele do zniesienia, a dziś w grobie mu nawet pokoju nie dają. Potwarz go ściga, zmarłego.

Ze spuszczeniem oczyma słuchał ksiązę Karol.

— Najsmutniejszym jest dla mnie—dodał cicho— że zmuszony będę występować przeciwko bratu, który po tylu próbach jeszcze nie jest zrażony.

Marya Ludwika odpowiedziała wejrzaniem tylko znaczącem; ażeby zmienić tok rozmowy, spytała o mieszkanie w Jabłonnie, uzaliła się nad niewygodami.

Obojętnych kilka pytań i odpowiedzi zamknęły na ostatek obojgu ciężką rozmowę. Kilka kroków ku drzwiom odprowadziła gościa królowa, i ksiązę Karol za progiem odetchnął swobodniej.

Gdy się to działo na zamku, a senatorowie bardzo jakoś opieszale się ściągali, ks. Albrecht, kanclerz litewski, i znaczniejsi panowie zawczasu starali się obmyśleć, jak przyszyły sejm i narady prowadzić miano, aby uniknąć rozterki gorszącej, wymówek późnych i próżnych, straty czasu niepewetowanej. Wiele było nie do uniknięcia; inne sprawy jedne drugimi musiały być równoważone i spychane.

Tworzyły się już powoli gromadki, które pewne wnioski popierać miały, innym zapobiegać, niemal wszyscy się godzili na to, że wybór śpieszny panującego był najpilniejszym zadaniem. Znaczna większość trzymała za Królem Szwedzkim, niewielu załecalo biskupa, tylko z jego ładu i gospodarności, chwalać go za wysłanych kilkuset ludzi do Baru.

Zaledwie dwaj wygnani kandydaci mieli czas się rozgospodarować w Jabłonnie i Nieporęcie, gdy goście do nich zaczęli napływać z Warszawy. Ks. Karol,

zazwyczaj oszczędny, musiał się dla nich okazywać szczodrym i gościnnym, a Jan Kazimierz, któremu na środkach zbywało, nie mógł się też dać mu wyprzedzić. Z wielką troską o to, pomimo starań Butlera, przybył do czasowej rezydencji, ale tu po raz pierwszy dała mu się uczuć niewidoma pomoc ręki, którą łatwo było odgadnąć.

Nie pochodziło to wprost i jawnie od królowej, lecz nie mogło od nikogo innego. Królowi zbywało na wszystkiem, na kredensach, naczyaniu i zapasach, a wszystko to cudownie się jakoś nastęrczało i przychodziło z łatwością drogami różnemi, prawdziwą opieką Opatrzności.

Starosta dziwił się i cieszył.

Król nabierał otuchy i winszował sobie porozumienia z królową.

Współzawodnictwo jednak z ks. Karolem zawsze było groźnem, gdyż biskup miał pieniądze i nie żałował ich teraz.

Pomiędzy braćmi z każdym dniem rozterka, niechęć rosły.

Król Szwedzki, który nieopatrzny był w mowie i pohamować się nie umiał, powtarzał uwłaczające bratu plotki. Przenosiły się one przez usługnych, na dwu stołkach siedzących zauszników i pasożytów z Nieporętu do Jabłonn i rozbudzały tam mściwość, a tem upartsze przeciwdziałanie.

Nigdzie w czarniejszych barwach nie malowano Jana Kazimierza, niż na pokojach biskupa, i tu po raz pierwszy puszczone tę prawdziwą czy fałszywą plotkę, iż Król Szwedzki miał się wyrazić głośno, jakoby psa włoskiego więcej cenił nad polskiego szlachcica.

Z drugiej strony wyśmiewano się z księcia Karola, który miał powiedzieć, że na koń gotów sięść i na wojnę ciągnąć, do czego tak mało był podobnym, iż obietnica ta wydawała się szyderstwem.

— Jeżeli Rzeczpospolita innych obrońców mieć



nie będzie nad jemu podobnych, to ją Kozacy zjedzą! — wołali Kazimierzowscy.

Stronnicy ks. Karola stawiali na to, iż nigdy i nigdzie Jan Kazimierz wytrwać nie umiał, wszystko łatwo sobie obrzydzał i coraz nowego czegoś się chwycił. Wiedzieli oni o przepowiedni świątobliwego Józefa z Kopertynu, który miał wcześniej zawyroko-  
wać, iż Jan Kazimierz, ani mnichem, ani kardyna-  
łem nie będzie długo, a gdyby mu się nawet korona  
dostała, królem nie umrze, bo i tę porzuci.

Płochy ten charakter, zabawianie się rozmowami  
lekkomyślnymi, towarzystwo najulubieńsze karłów,  
błaznów, małp i t. p., wyrzucano przyszłemu królo-  
wi, gdy ks. Karol, sumienny i poważny, obiecywał  
siłą charakteru, którego dał dowody, wyrobić na so-  
bie, co chciał.

Na stateczności jego polegać było można.

Obie strony wywlekały z przeszłości czego tylko  
przeciwko sobie, jako oręża, użyć mogły.

Nazajutrz wiedziano w Nieporecie, co mówiono  
wczoraj w Jabłonie, i nawzajem, a niechęć braci  
przeciwko sobie rosła. Nie było to już współzawo-  
dnicтво kandydatów do korony, ale nieprzyjaźń lu-  
dzi, którzy sobie nigdy wzajemnych uraz przebaczyć  
nie mogli.

Przy takim usposobieniu obu stron wszelkie po-  
kuszenia o jakieś porozumienie, przedsiębrane przez  
Ossolińskiego, Radziwiłła i kilku duchownych, do ni-  
czego doprowadzić nie mogły. Rozjątzenie z każ-  
dym dniem rosło, a rozrzutność ks. Karola, który po-  
mimo oszczędności sypał pieniędzmi, spodziewając się  
Kazimierza niemi zwyciężyć, była najlepszym dowo-  
dem nieprzyjaźni wzmożonej do najwyższej potęgi.

Ks. Karol, który czuł i widział, że poza Janem  
Kazimierzem stała królowa Marya Ludwika, na nią  
też miotał potwarze i zawczasu przepowiadał kazi-  
rodcze małżeństwo, którem szlachtę mógł oburzyć  
przeciwko swemu współzawodnikowi.

Stare i nowe przeciwko królowej zarzuty Karolo-  
wi zwolennicy wyciągnęli na jaw i przepowiadali na  
przyszłość, gdyby Kazimierza obrano, panowanie  
przewrotnej niewiasty. Z bólem serca senatorowie  
widzieli to rozjątzenie wzmagające się i rosnące.  
Jednym z najczynniejszych pośredników, którzy o po-  
jednaniu nie zwątpili do ostatka, był ks. Albrecht  
Radziwiłł, kanclerz litewski. Działał on na korzyść  
Kazimierza, we spółce z królową, a z nim szedł, choć  
mniej czynny jawnie, Ossoliński. Spodziewał się on  
tym sposobem przy dawnym swym wpływie i znacze-  
niu utrzymać, a nienasyconą jego ambicyą w pano-  
waniu słabego Kazimierza wiele sobie wistocie obie-  
cywać mogła.

Nadzwyczaj zręczne było postępowanie litewskie-  
go kanclerza, który znał ludzi i posługiwać się umiał  
nimi. W rękach jego stawali się bezwiednie narzę-  
dziami tacy, którym on swe przekonania narzucał,  
jako ich własne. Nie mogąc sam zbyt często uka-  
zywać się w Jabłonie, gdzie choć go uprzejmie bar-  
dzo przyjmowano, nie ludzono się wiele jego życzli-  
wością, Radziwiłł nasyłał tam biskupów i duchowień-  
stwo, aby odradzało ks. Karolowi najpierw współza-  
wodnicтво bezskuteczne, a w najszcześniejszym razie  
koronę, która była ciężarem zbyt wielkim dla pobo-  
żnego kapłana, zmuszającym zmienić cały tryb życia  
i nawyknienia niemal od kolebki przyjęte.

Ks. Karol jednak dotąd nie dawał się wzruszyć  
i zachwiał, trwał uparcie przy swoim i składał się  
gromadką niewielką, która go popierała. Ślepym się  
zdawał być na to, iż ona w senacie nie miała pra-  
wie żadnego znaczenia, a między szlachtą wpływ wąt-  
pliwy bardzo.

Pomimo wszystkich tych złudnych obietnic i na-  
dziei, jakimi karmiono ks. Karola, nadto on był roz-  
sądnym i znał ludzi zbyt dobrze, by w końcu nie  
zważyć w głębi duszy o powodzeniu swej kandyda-  
tury. Olbrzymie wydatki, którym nie było końca,



zaczęły go też zniechęcać, lecz nie okazywał tego po sobie, a ile razy wysłańcy kanclerza przybywali, wzdychając i zachęcając do zgody i porozumienia, ks. Karol z gwałtownością wielką oświadczał, że za nie nie zrzecze się kandydatury.

Bystre oko Radziwiłła dostrzegło już jednak różnicę wielką w księcia Karola mowie i postępowaniu, od czasu wyjazdu z Warszawy.

Pomoc królowej coraz jawniejsza, odebrana wiadomość pewna o tem, że poseł francuzki listy króla swojego polecające Rzeczypospolitej Jana Kazimierza już otrzymał, że Stolica Apostolska podobne za exkardynałem wysłała, przybiły wreszcie biskupa i odjęły mu odwagę.

Sama już tylko miłość własna trzymała zniechęconego na stanowisku.

Wysocki, Czyrski i Niszczycki, najczynniejsza owa trójka w gospodzie nad Wisłą, przez swych wysłańców do Jabłonny usiłowała ks. Karolowi dowieść, iż szlachta mazowiecka, najliczniejsza na elekcyjnym polu, musiała tu przeważną odegrać rolę, a jej okrzyki wezmą górę i inne województwa pociągną za sobą.

Można też powiedzieć, że obaj kandydaci do korony, w ciągłej niemal gorączce, nie mieli wiele czasu do namysłów. Nie było w Nieporęcie i Jabłonie dnia bez gości z Warszawy; mieniali się oni nieustannie i rozgorączkowanie powiększali jeszcze.

W każdej z tych dwu rezydencji przeważali zyczliwi i podbudzający do wytrwania, a stronnictwo Jana Kazimierza szczególniej rosło i coraz się okazywało czynniejszym. Z królowej nie napozór poznać nie było można: nie mówiła chętnie o elekcyi, chciała się okazywać obojętną; z Radziwiłłem jednak była otwartą i za jego pośrednictwem szły z jej strony pomoce, rady i skazówki.

Kanclerz zresztą ilekroć się spotkał z ks. Karolem, otwarcie się przed nim przyznawał do popiera-

nia Kazimierza, nakłaniając go, aby pojednał się z nim i Rzeczypospolitej ułatwił elekcyą, która była kwestyą życia lub śmierci.

## VI.

Gdy się komu wiedzie, powiadali starzy, choćby na ziemię padł, kolanami na skarb trafi, gdy kogo los prześladuje, chleb mu się w rękach kamieniem staje: doświadczył tego Dyzma Strzębosz. Król Szwedzki zawsze miał słabość do niego, lecz możeby nie pomyślał w tej chwili o nim i nie nastęrczył mu zrzeczności zasłużenia się, gdyby nie skarga Włoszki, która mu go przypominała.

Szło o to, kto z sejmu żywo wiadomości do Nieporętu dostarczać będzie, nieurzędowych, o które było łatwo, bo te i Butler i młody Tyzenhauz przywozili i oprócz nich mnóstwo woluntaryuszów, przybywających tu codzień. Jan Kazimierz potrzebował daleko więcej tych zakulisowych plotek, które o usposobieniu szlachty w polu i o przyszłym przebiegu spraw sejmowych wróżyć dozwalały.

Strzębosz miał wejście trafne, gładki był tak, że do niego ludzie łatwo i on do ludzi przystawał, i nie zbyt go znano, więc żadnego posądzania nie ścierał.

Jemu więc król dał zupełną swobodę obracania się między Nieporętem a Warszawą, naznaczono mu konie i pacholika do dyspozycji, byle znać dawał, co się tam około szopy i pod szopą dziać będzie.

Zupełnie tak samo Niszczycki miał polecenie od ks. Karola informowania go w Jabłonie o obrotach spraw sejmowych.



Królowa na zamku, można powiedzieć, że każdą pulsacją żywota sejmowego natychmiast odczuwała. Ztąd wychodziły pocichu programata dnia, a co tu przewidywano, ziszczało się w sposób cudowny.

Strzęboszowi, który poruszać się swobodnie i z ludźmi rozmaitemi obcować lubił, jego posłannictwo przypadało jaknajlepiej. Gdyby sobie sam wybierał zajęcie do smaku, innegoby pewno nie żądał.

Prawda, że na polu elekcyjnym, a nawet pod szopą, cóż dopiero po błotnistej drodze do Nieporętu, w te dni jesienne brnąć, nie było rzeczą przyjemną, a deszcz ciągle od początku sejmów lał niemal, jak z cebra; ale młodość znoś ochoczo podobne niesmaki. Na pedogre cierpiący mnodzy staruszkowie z senatu czuli się w te dni wilgotne gorzej, kilku z nich leżało; ale Strzębosz, choć mu za kołnierz ciekło, gwizdał, a do Jana Kazimierza przybywał z tak wesółą twarzą, że i jemu dawał otuchy.

Tu wszystko, począwszy od deszczu i błota, na dobre tłómaczył.

Wistocie samej sejm, jeszcze bardzo niepełny, bo wielu było w drodze, a o innych mówiono, że wcale nawet przybyć nie mieli, stapał tak, jak człowiek przestrzeżony, że gdzieś w żelazo lub w dół wpaść może.

Lękano się dotykać pewnych okoliczności i osób, inni znówu, całą winę na kilku składając, chcieli ich wywlec tu i pod pręgierzem postawić. Rozumniejsi jak tarczą osłaniali się elekcyą, wołając o jej przypieszenie.

Strzębosz, który miał wdech doskonały, gdy przewidywał, że w sejmie przyjdzie do ważniejszych rozpraw, dotrzymywał placu pod szopą, innych dni dobiegał do Nieporętu. Przylączał się, to do dworu ks. Albrechta Radziwiłła, to do ludzi marszałka Kazanowskiego, a poza szopą, między szlachtą, nie potrzebował nikogo.

Ponieważ już w samych początkach podział na

dwa obozy zaczynał się czuć dawać, Strzębosz pilnie unikał deklarowania swej barwy, czynił się sobie, jak podówczas zwano, neutralistą.

Zaraz pierwszego dnia, jak grom, zawarczał głos Referendarza, „Precz z cudzoziemcami! Rusinów wiarołomców z wojsk precz wygnać, cudzoziemcom i plebejom dobra przez nich trzymane poodbierać! i t. d.“ Impet ten trochę kanclerz litewski pobamował.

Przez dni kilka można powiedzieć, sejm pulsów sobie próbował, aż wreszcie komisarze od wojska nie-szczęśliwego przybyli i poczęły się żale a uniewinniania. Wystąpił z mężstwem istotnem Adam Kisiel Rusin, ale mąż prawy, którego jedni zdrajcą zwali, drudzy szacowali, jak zasługiwał.

Strzębosz nie umiał nic innego powiedzieć tylko, że się dopiero preliminaria odegrywały. Tymczasem duchowieństwo szczególnie z ofiarami śpieszyło; jedni ludzi, drudzy, jak Biskup Żmudzki, gotowe pieniądze ofiarowali na potrzeby Rzeczypospolitej.

Przy tych głosach ozwał się czasem rzewny, głęboki, serdeczny, do łez pobudzający; ale, o tych kłeskach szeroko rozprawiając, dniami całemi, senat o elekcyi dotąd milczał.

Każdego dnia król wybiegał na spotkanie Butlera albo Strzębosza: A cóż? a co?

I odbierał szczegółowe zawiadomienie, że ani o nim, ani o Karolu na sejmie wcale mowy nie było.

Jan Kazimierz się niecierpliwił.

— N. Panie — mówił mu pocieszająco Dyźma — o elekcyi, prawda, mowy niema, ale o niej wszyscy myślą: pójdzie potem gładziuteńko.

W tych dniach pierwszych gorący patryotyzm wyścigał się z ofiarami. Marszałek Kazanowski swoimi ludźmi gotów był bronić Warszawy, kanclerz dawał ich także; Radziwiłł na początek stu dragonów i sto piechoty obiecywał, przyczem mu się gorzkie słowo wyrwało:

— Zostawili nasi wozy u Kozaków, bo były na-



ładowane z substancji chłopów i dlatego chłopom się dostały.

Jan Kazimierz niecierpliwił się temi zwłokami, narzekał na nie, obawiając się, aby Karol z nich nie korzystał. Strzębosz zawsze z dobrą i gęstą miną upewniał, iż nie było się o co troszczyć.

Zwykle słuchał go egzaminu król we cztery oczy, nie przypuszczając nikogo, z czem i Dyzmie było lepiej, bo swobodniej wodze sobie puszczał, a jednego dnia, widząc niepokój króla, ośmielił się wprost powiedzieć:

— N. Panie, nasza sprawa doskonale stoi; obawiać się niema o co, królowa jmość ma tam swoich i czuwa pilno.

Zarumienił się mocno król, chciał naprzód wyprzeć się tego sprzymierzenia, lecz pomiarkował, że toby się na nic nie przydało: udał, jakoby puścił to mimo uszu.

— Uczę się cierpliwości—mrucał król, słuchając Strzębosza i Butlera,—ale gdy inaczej nie może być...

Starosta Butler dowodził, że inaczej wistocie nie mogło być. Sejm dawał czas braciom do ułożenia się między sobą, ażeby w ostatniej chwili do rozdwojenia i walki nie przyszło. Na tajnych więc naradach, i u królowej, i u kanclerzy, zwłóczono umyślnie, nastając szczególnie na Karola, aby ustąpił.

Kisiel nawet publicznie się z tem wyrwał, aby sejm posłał do królewiczów i wezwał ich do porozumienia z sobą.

Lecz wojewoda bracki był widocznie nie wtałjemniczony i ta jego rada się nie podobała. Sejm urzędownie o kandydaturach nie wiedział nic, a było przeciw godności Rzeczypospolitej napraszać się im z koroną.

Znowu tedy Strzębosz przywoził wiadomości jak o wyborze hetmanów radzono, o wojsku, a naleganie o elekcyą odpierano tem, że Litwa dotąd nie przybyła. Bez niej króla okrzyknąć nie godziło się.

Z innych stron naglono elekcyą, potem wojsko przysłało legatów od siebie, żądano inkwizycyi, kto tych klęsk był przyczyną, i tak ciągnęły się te przegrywki wstępne bez końca.

Tymczasem królowa, kanclerze i całe stronnictwo Jana Kazimierza czynnem było, nie zawsze nawet oznajmując mu o tem, co czyniło. Brano go tak w opiekę, iż mógł siedzieć, słuchać i czekać naostatek spokojnie.

Z jednej strony rad był temu Król Szwedzki, lecz z drugiej go to upokarzało. Czuł się już teraz narzędziem w rękach czyichś; a tym kimś, co nim władał, była niewątpliwie zakryta, niewidzialna królowa.

Przed jednym Butlerem spowiadał się ze swego upokorzenia Kazimierz.

— Widzisz, Butler, nie mówiłem! Ona już mnie wzięła i spętała, ona tu wszystkiem, ja bez niej, wyznać to muszę, nawet Karolowi-bym nie sprostał. A cóż to dalej będzie?

— N. Panie—pocieszał starosta—wszakże tu idzie o wybór, niech tylko ona czy sam z pozwoleniem, dyabeł, da koronę, cyrografu na siebie nie wydałeś w. król. mość; z mniemanej niewoli dobyć się zawsze będzie czas.

Prawie do końca października Strzębosz tak jeździł, przywołując tylko to jedno stałe świadectwo, iż pod szpą i na polu o księciu Karolu mowy prawie nie było, a wszyscy go przezywali: *turbator chori*, bo przeszkadzać tylko mógł, a uczynić nic-by nie potrafił.

Przyszedt wreszcie zdawna oczekiwany dzień, w którym uroczyste poselstwo, naprzód od Jana Kazimierza, miał sejm przyjąć. Zawczasu się frasował o wystąpienie swej godności odpowiadające król, ale poszło wszystko, z tej niewidzialnej ręki, łatwiuteńko i okazałe. Znalazło się trzysta wcale pokażnej jazdy, której pochodzenia nikt nie badał, dla dodania świeżości orszakowi, w którym jechali biskup żmudzki,



wojewoda bełzki i mazowiecki, referendarz litewski, koniuszy, krajezy i chorąży koronny, starosta lwowski, innych wielu, a z dworu Kazimierza Tomasz Sapieha i Tyzenhauz, pokojowi jego.

Senat i szlachta, ponieważ pora była znośna, ustawiwszy się na polu w półkole, słuchali legacyi, w imieniu królowej przemawiał biskup. Mowa była zręcznie napisana i wypowiedziana dobrze, usposobie nie zaś takie, iż ją doskonale przyjęto.

Strzębosz, który miał zlecenie natychmiast dać znać o skutku, nie doczekawszy się odpowiedzi areybiskupa i sejmowego dyrektora, wezwał poleciał do Nieporętu.

Zbłocony po uszy, pierwszy miał szczęście zniecierpliwionemu królowi donieść o jego poselstwie.

— N. Panie—zawołał żartobliwie—klnę się, na co mam najświętszego, takie jest wszystkich serc ku w. król. mości usposobienie, że ci, co mowy ks. biskupa żmudzkiego wcale nie słyszeli, a tych pewnie najwięcej było i oklaskiwali i okrzykiwali ją najgoręcej.

Tem się nie mógł zaspokoić Kazimierz, potrzebował wiedzieć: jak wyglądało tych trzechset jego jeźdźców, jakie wrażenie uczyniły postaci jego przyjaciół, czy dosyć poważnie i świetnie w jego imieniu się stawili. Dyżma musiał mu opisywać stroje, rzędy, konie, wspaniałość poselstwa, zapowiadając, że z tego, co już wiadomem było, książę Karol, mający też wystąpić, nierównie mniej okazał się przedstawi. Tryumfował więc król szwedzki, a przybywający nazajutrz rano Butler potwierdził w zupełności wiadomości Strzębosza.

Następnych dni przyjmowano posła szwedzkiego, który w imieniu królowej obu zarówno królewiczów zalecał i papieżkiego de Torres, do którego orszaku przyłączył się kanclerz Radziwiłł. Ojciec św. także obu również stanom Rzeczypospolitej zalecał, ale wie-

dziano o tem, iż zlecenie dał, aby ex-kardynała popierać.

Królewicz Karol w tydzień potem dopiero wysłał posły swoje, ale skromnie, a i ci, co byli zapowiedziani, jak Chodkiewicz starosta mozyrski, nie stawili się i mowy biskupa kijowskiego, w imieniu Karola przyrzekającego 10,000 ludzi na obronę Rzeczypospolitej, nikt nie słyszał, taka się wrzawa i hałas wszczął, bodaj czy nie naumyślnie wzniecone.

Bliżej stojący ks. Zaręby, gdy kończąc mowę, wyraził się, że biskup Karol gotów sam iść na wojnę i krew swą przelać, głośno śmiać się poczęli.

Nawet ci, co radziby byli sobie na korzyść Karola wytłómaczyć skutek tego niemiłego poselstwa, zaprzeczyć nie mogli, że ono poszło jak najniefortunniej.

Wszystko się tak składało, aby odjąć biskupowi nadzieję.

Jak o tem doniesiono w Jabłonnej, niewiadomo. W Nieporęcie radość była wielka, zatruta tem tylko, że w całej sprawie Kazimierz czuł ową niewidzialną rękę, która go trwożyła.

— Butler, co ty mówisz?—pytał Kazimierz.

— Winszuję i cieszę się; pieczone gołąbki nam spadają — mówił starosta — nigdybyśmy się sami nie zdobyli na to.

— Lecz — wtrącił nagle król, który usiłował się tem pocieszyć — nie sądź-bo znowu, że wszystko jest jej dziełem. Nie, mam za sobą kanclerza litewskiego, a to jest statysta i człowiek ogromnego wpływu. Jego to sprawa.

— Tak—odparł niezręcznie czy umyślnie Butler—jestem tego pewny, bo wiem, że codziennie naradza się z królową i bez niej nie nie czyni. Ona z kanclerzem: możemy być pewni zwycięstwa!

Tymczasem termin elekcyi się przewlekał dlatego, że Radziwiłł i Ossoliński postanowili nie wprzód do niej przystąpić, aż ks. Karol się zrzecze.



Szło o to, aby go nakłonić.

Posyłano różne osoby do Jabłonny, ostrzegano, starano się przekonać biskupa, że w żadnym razie utrzymać się nie potrafi: nie ustępował.

Wysocki, Czyrski, Niszczycki karmili go nadzieją, że szlachta zakrzyczy senatorów i zmusi do obioru biskupa. Rachowano na Mazurów, spodziewano się przez Chodkiewiczów ująć Litwę tę, której panowanie Radziwiłłowskie ciążyło.

Biskup nie tłumaczył się, nie wydawał z tem, na czem polegał, ale z uśmiechem tajemniczym przyjmował gości z Warszawy, ugaszczając ich i poit, oświadczając, że chce dotrwać na stanowisku.

Upór ten Karola, choć nie był groźnym, do najwyższego stopnia niecierpliwił Kazimierza.

Przybycie Wiśniowieckiego, sprawy wojska, na czas jakiś od elekcyi odciągnęły uwagę; kanclerz jednak nalegał na nią ciągle. Czynny bardzo, dwa razy zaglądał do Jabłonnej, nie nie mogąc wymódl na biskupie.

Gotowała się tymczasem wszystkim, a szczególnie królowej i Radziwiłłowi, niespodzianka.

Król szwedzki bolał nad tem, że sam dla siebie tak mało mógł uczynić i wszystko winien był pomocy Maryi Ludwiki, zabiegom litewskiego kanclerza. Postanowił bądź co bądź choćby największą ofiarą z Karolem się porozumieć bez niczyjego pośrednictwa.

Zdziwił się nieco Strzębosz, gdy jednego wieczoru król zawołał go do siebie. Przyjął go, krzyż trzymając w ręku, wzruszony niezmiernie i drżący.

— Przysiąż mi tu zaraz, że... tajemnicy docho-  
wasz.

— N. Panie—wykrzyknął Dyźma—ale na to nie potrzeba ani krzyża, ani przysięgi.

— Przysiąż!

Strzębosz był posłusznym.

Ręką drżącą gotowy już i napisany list wcisnął mu Kazimierz.

— Siadaj na konia, jedź do Jabłonnej, list wręcz osobiście bratu mojemu Karolowi i przywieź mi odpowiedź.

Zdumiony, spojrzął w oczy mówiącemu Dyźma, ale nie śmiał się odzywać.

— Żywa dusza nie ma wiedzieć dokąd jedziesz: rozumiesz?

I tak mu było pilno, że oburącz go popchnął ku drzwiom.

— Jedź!

Dziać się to miało w największej tajemnicy, ale w pół godziny potem, gdy Butler przybył z Warszawy z doniesieniami, Kazimierz przed nim sekretu zachować nie umiał.

— Wiesz—wybuchnął, biorąc go na stronę—wiesz, zrobiłem głupstwo, albo krok rozumny: naprzykrzyłam mi się ta opieka królowej i kanclerza; chciałem sam coś począć.

Butler, znający niechęć swego pana, ręce zalamował.

— Napisałem list do Karola.

— Aleście go jeszcze nie wysłali? — trwożliwie spytał starosta.

— *Alea jacta est...* list wyszedł — odparł Kazimierz, przechadzając się po pokoju. — Jeżeli Karol nie przyjmie i tym razem moich wniosków, nie nie będę miał na sumieniu.

Zmleczął Butler. W przekonaniu jego był to krok fałszywy, a co gorzej, uczyniony samowolnie bez wiedzy królowej i kanclerza, mógł oboje ich obrazić. Radziwiłł zasługiwał na to, aby go nie pomijano. Tymczasem król już był tak własną nieudolnością i bezczynnością znękan, że wołał krok fałszywy postawić, niż pozostać w tem odrętwieniu.

Złożyło się tym razem jednak daleko szczęśliwiej i inaczej, niż się spodziewać było można. List Kazi-



mierza braterski, niemal czuły, przybył w chwili ostatecznego znużenia i upadku na duchu księcia Karola.

Tegoż dnia wygadał mu się ks. Zaręba, że jego oświadczenie, iż wsiądzie na koń, śmiechem przyjęto.

Spokojne dni spędzone nad pobożnymi księgami, w ogródku, wśród kwiatów, przysły na pamięć biskupowi. Począł pytać sam siebie, na co mu się ta krwιά obłana cierniowa korona przydać miała?

Zawahał się, ukląkł, zaczął się modlić, zapłakał.

Był w nim temperament gwałtowny zawsze, trośkliwie tylko hamowany; i teraz postanowienie zrzeczenia się kandydatury przyszło jak wybuch. Wolał to uczynić na wezwanie brata, niż na natrętne nalegania swoich partyzantów.

Strzęboszowi czekać kazano.

Odpowiedź Karola brzmiała krótko i uroczyscie. Nie był to już list współzawodnika, ale chrześcijańskiej duszy wykrzyk jakiś bolesny.

Biskup nie stawiał nawet żadnych warunków.

Strzębosz, odebrawszy odpowiedź, pośpieszył z nią do Nieporętu, a tymczasem codzienni goście napływali do Jabłonnej i znaleźli drzwi zamknięte. Oznajmiono im, że ks. Karol niedyspozyt, nikogo przyjmować nie może.

Wysocki, który od świtu czekał na pieniądze, gdyż w gospodzie już beczki i skrzynie stały próżne, odebrał suche polecenie, aby zamknął gospodę i... wszystkiemu położył koniec.

Napróżno się chciał dobijać do biskupa. Kapelan z jego rozkazu powtórzył mu nieodwołalne dyspozycje.

W Nieporęcie Butler, nie ruszając się, niespokojny, wyglądał Strzębosza; a co się przez czas ten oczekiwania działo z Janem Kazimierzem, pojmie tylko, kto podobne jemu badał charaktery i temperamenta.

Naprzemiany klękał na gorącą modlitwę przed

obrazem N. Panny Czerwieńskiej, to zrywał się, chodząc, pędził sługi, pił wodę, wino, chłodził i uczuwszy dreszcze, ogrzewał. Z przedpokoju ciągle to wołał kogoś, to wypędził go nazad. Papugi klatkę, która wołała: „Idźcie precz!” zakryto oponą, karły musiały iść do kąta.

Przybycie Strzębosza, który sam z listem wszedł do sypialni, o mało nie było powodem mdłości, król go wziął w ręce, położył na stole i nie zważając na obecność dworzanina, ukląkł na krótką modlitwę. Butlera nie było w pokoju.

Wziął potem papier, złamał pieczęć, rzucił nań oczyma i okrzyk radości wyrwał mu się z piersi.

Spojrzał na Dyzmę.

— Bóg zapłać—zawołał—idź spocznij.

Wtem starosta się już cisnął i z podziwem ujrzał rozpromienioną twarz pana.

Kazimierz wysoko podniósł w ręku list brata.

— A co? — krzyknął — na nic się ja nie zdałem? he? Potrzebuję nianiek? Widzisz, bez ich pomocy, o własnej sile, porozumiałem się z Karolem.

— Tak, winszuję w. król. mości—odparł Butler—ale co prawda, to prawda. Krok to był bardzo szczęśliwy, a jednak gdyby nie przygotowały ks. Karola zabiegi kanclerza i królowej...

— Dajże mi pokój, to przecie raz mój własny tryumf—wtrącił król.

— Którym jednak podzielić się trzeba z Radziwiłłem i królową, aby ich nie zrazić.

— Ja się chce od nich wyzwoić! — przerwał Jan Kazimierz—nie dawaj mi nauk.

Zamilkł Butler.

Wybryk samowoli i okaz własnej siły był już nieunikniony; starosta przewidywał jego skutki, lecz znał pana swego, któremu w pierwszej chwili takiego rozgorączkowania sprzeciwić się było próżno. Butler wiedział, że trwać nie mogło tak zuchwale rozpoczęte na własną rękę dzieło.



Król o układzie z bratem, jak właściwie należało, nie dał wcale znać, ani Radziwiłłowi, ani królowej. Emancypował się całkowicie, choć mógł przewidzieć, że mu to będzie za złe wzięte. Natomiast wezwał Kazanowskiego, Ossolińskiego, Denhoffa i kilku innych w pomoc dla ostatecznego porozumienia się o warunki.

W wigilią Ś-go Marcina (10 Listopada), kanclerz litewski tak był sejmowemi i własnymi sprawami zajęty, że się nie widział z królową, ani z Kazimierzem i nie przypuszczał nawet, aby bez niego się coś dokonać mogło. Wiedział, że był potrzebnym, a nie przewidywał w królu tej chętki wyzwolenia się.

Marya Ludwika natychmiast była potajemnie zawiadomiona o porozumieniu się braci i znając naturę Kazimierza, domyśliła się, iż chciał tym sposobem okazać się samodzielnym. Z uśmiechem przyjęła tę wiadomość i z chłodną krwią wydała stosowne rozkazy.

Tymczasem w Nieporęcie wszystko było naprężone, rozognione, niespokojnie poruszone. Kazimierz, jak każdy człowiek czujący się słabym, przypadkowo uzyskane zwycięstwo chciał zużytkować w pełni, uczynić czemś świetnem, stanowczem, dowodem niepospolitej energii i zręczności.

Sam więc już, nie pytając nikogo, prowadził sprawę dalej.

Pobożny ks. Albrecht w dzień Ś-go Marcina wychodził z kościoła i miał siadać do kolebki, gdy stojący tuż Denhoff zapytał go: czy razem z nimi zaraz lub później przybędzie do Jabłonnej?

— Ja dziś nie mam zamiaru się tam znajdować — odparł kanclerz.

— Jakto? ależ wy przecie musicie należeć do naszego poselstwa? — zawołał Denhoff.

— Jakiego! ja o żadnem nie wiem — rzekł, ramionami ruszając Radziwiłł.

— Możeż to być? — przerwał Denhoff — ależ wiecie,

że król szwedzki porozumiał się z bratem, że ks. Karol zrzeka się kandydatury, a myśmy uproszeni, aby z nim wstępne warunki ułożyć, poczem król sam się uda do Jabłonnej.

Uderzony tą wiadomością i dotknięty nią nieźmiernie, kanclerz stał jak skamieniały.

Ten więc, który najwięcej pomagał Kazimierzowi, który wszystko to przygotował, pozyskał królową, ułatwił mu zjednanie stronników, on został umyślnie zapomniany i pominięty! W istocie można było się czuć do żywego obrażonym takim postępowaniem, a kanclerz nadto czuł swą siłę, ażeby się miał trwożyć i napraszać. Po chwili więc obojętnie odpowiedział Denhoffowi, że dnia tego był nazbyt zajęty i ani do Jabłonnej, ani nawet z miasta nie mógł się oddalić.

Nie wiedział jeszcze kanclerz, jak miał postąpić; cofnąć się całkiem od Kazimierza było zapóźno, narzucać mu się nie mógł.

Wprost z kościoła pojechał na zamek do królowej, która była pewną, że go zobaczy i oczekiwała na niego. Ona już z zimną krwią obrachowała wszystko i wybryk ten znajdowała dla siebie pomyślnym. Była pewną, że wielki ten szafunek siły król szwedzki przypłaci wprędce trwogą i wahaniem się, z których obiecywała sobie skorzystać. Księżę Albrecht, nienawykły do tego, aby go sobie lekceważono, znając swą siłę, jeszcze nie mógł przyjść do siebie, tak go niewdzięczność i obejście się zuchwałe króla mocno obezszło. Malowało się to na jego twarzy, gdy królową witając, sądził, że i ją zawiadomi on pierwszy o postępkach króla szwedzkiego.

— N. Pani — rzekł, całując jej rękę — przychodzę dziś z nowiną, którejbym nie uwierzył pełną, gdyby, niestety, nie była aż nadto pewną, król szwedzki...

Marya Ludwika wskazała mu krzesło.

— Wiem o tem od wczoraj — rzekła — sam się zwrócił do Karola, a że ten był już znużonym, udało



mu się skłonić. Uczynił to, nie pytając was, ani mnie, sam.

— Co lepiej — wyrwało się kanclerzowi — wysłał dziś do traktowania o warunki od siebie panów senatorów, ale mnie ani dał znać nawet, ominiął i ekskludował.

Marya Ludwika śmiała się wesoło.

— Mój książę — odezwała się — nie mogło być inaczej: król czuł się upokorzonym, żeście wy wszystko za niego obmyślali i robili. Chciał koniecznie sam coś dokazać; udało mu się — i niepominięnie rad jest temu. Dajmy mu się zabawić — dodała z pewnym rodzajem lekceważenia.

Radziwiłł słuchał, lecz widzieć było, że nie mógł tak, jak królowa, przyjąć obojętnie uchybienia jawnego przeciwko sobie.

Marya Ludwika mówiła dalej.

— Jestem pewna, że król się wkrótce upamięta i poprawi, ale potrzeba mu dać uczuć niewłaściwość jego postępowania. Mamy prawo uważać je jakby zerwanie tych umów, które go z nami wiązały; wy więc i ja czujemy się równie swobodną i nie jestem obowiązana popierać go i posilkować tak gorliwie. Dałam już stosowne rozkazy. Na pozór wcale się nie nie zmienię, ale — ja cofać się muszę.

Kanclerz był gniewny, duma Radziwiłłowska, znaczenie jego na dworze Zygmunta III i Władysława, narażenie na szyderstwo może, — nie dawały mu się uspokoić.

— Co do mnie — rzekł — ja także nie myślę być tak czynnym i gorliwym, jak dotąd, gdy usługi moje są pogardzone i odepchnięte; ale nie mogę tego uczynić, nie oznajmując otwarcie królowi, iż jestem dotknięty, że to czuję.

Spojrzała na niego królowa.

— Postąpcie, jak uznacie właściwem — rzekła — ale pozwólcie, abym ja jawnie nie okazała się obrażoną. Nie mówiłam z nim nigdy otwarcie, nie jestem

do niego obowiązana. Dopomagałam mu dotąd, a dziś mogę się wycofać, tem łatwiej, że pomocy potrzebować nie będzie.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Jestem zupełnie swobodną — dodała.

Kanclerz siedział zadumany. Myślał zapewne nad tem, jakiego sobie pana tym wyborem, dziś już nieuniknionym, gotowali. Postępek króla malował jak najdobitniej charakter jego.

Co do następstw tego nierozważnego względem was kroku — mówiła dalej królowa — jestem pewną, że zaledwie się dopuściwszy tej samowoli, Król Szwedzki już się niepokoi i żałuje. Gdy napiszecie do niego, pośpieszy z przeproszeniem.

— Być może — odparł Radziwiłł — lecz, że mnie to ostudziło i od czynnego nazbyt zajmowania się elekcją powstrzyma, to pewna.

— Mości książę — zawołała królowa — nie mamy wyboru: musimy tego człowieka takim wziąć, jakim jest, bo go już nic zmienić nie może; słabym był i pozostanie; ma to swą złą i dobrą stronę; najlepszem ze wszystkiego, że my go znamy...

Westchnęła.

Ks. kanclerz długo jeszcze nie mógł przyjść do siebie. Przyznawał się, iż nigdy nie podobnego przewidywać nie mógł. Królowa pożegnała go z umysłem zupełnie swobodnym.

Po powrocie do siebie, pierwszą i najpilniejszą rzeczą dla kanclerza było podyktowanie listu do Króla Szwedzkiego, w którym winał mu układów z bratem, ale zarazem silnie czuć dawał, że użyty do nich, a pominięty naostatku, miał prawo się czuć obrażonym, bo ludzie mogli to sobie tłómaczyć fałszywie.

Duma starego, wiernego sługi domu i magnata, którego znaczenie na Litwie i w Koronie nikomu nie było tajemem, tryskała z każdego wiersza tego listu.



Wyprawiono natychmiast do Nieporętu bojara, z tem jednak, ażeby, list oddawszy, wcale na odpowiedź nie czekał i natychmiast precz jechał.

Królowa postąpiła sobie inaczej, zreszniej może i całkiem po kobiecemu: wydała rozkazy swoim.

Nazajutrz już Król Szwedzki uczuł, że mu tak nie szło wszystko po myśli, jak przed kilku dniami.

Z Warszawy zażądano mnóstwa przyborów posłanych do Nieporętu, które, jak się okazało teraz, były własnością królowej, a jej potrzebniemi się stały. Wielu ze sług zamkowych zniknęło i uwolniło się, powracając do Warszawy. Butler potrzebujący pieniędzy więcej, niż kiedy, znaleźć ich tam nie mógł, gdzie wprzódby je z łatwością pożyczano.

Słowem: choć się napozór nie zmieniło nic, stało się coś takiego, jakby z wozem niesmarowanym: skrzypiały koła—posuwał się ciężko.

Butler nie zrozumiał tego zrazu. Strzębosz, który miał oko na wszystko, słysząc go utyskującym, rozśmiał się. Byli sami.

A jakże pan starosta chce, żeby nam szło gładko, kiedy dotąd nam z zamku pomagano i popierano! — a oto nagle musiały wyjść rozkazy jakieś nowe, bo wszystko nam cofają. Pewnie wiedzą, że król już się pogodził z bratem i posiłków nie potrzebuje.

W ciągu jednego dnia ta zmiana stała się tak dotkliwą, że się dała uczuć królowi. Na przyjęcie gości zabrakło nakrycia, kredensów i przyborów. Kazimierz dowiedział się o tem, gdy już komornik królowej tak, jak wprzódby niby *proprio motu* pożyczął, przybył i pozabierał wszystko, gdyż, na zamek potrzebowano. Oprócz tego starosta musiał się przyznać, że i z pieniędzmi podobnie zaszyły trudności.

Do trosk tych, nagle spadających na tryumfatora, przybył jeszcze list Radziwiłła, na który nie żądano odpowiedzi nawet.

Kto inny na miejscu Kazimierza, z większą ener-

gią i pewnością siebie, byłby może z wyzwolenia korzystał i stworzył sobie nowe alianse.

Król Szwedzki uląkł się.

Przestraszała go perspektywa wytrwałej pracy, do której pomocników nie miał. Kilku senatorów gotowych było w Izbie sprawę jego popierać, lecz w domowych potrzebach nie było się kim posłużyć, oprócz jednego Butlera i—kilku bardzo wątpliwych sprzymierzeńców, dotąd niewypробowanych.

Chociaż się do tego nie przyznawał, zatrwożył się Kazimierz, zwłaszcza, gdy po odebraniu listu kancelarza dowiedział się, iż równie, jak on, wielu senatorów pominiętych czuło się też obrażonymi osobiście. O to się kanclerz postarał, aby obrazę swą jawnie głosili.

Natychmiast, nie zwlekając, napisał do Radziwiłła, tłómacząc mu się brakiem czasu i składem okoliczności.

A że pomiędzy gośćmi w Nieporęcie dnia tego, których nie było czem i na czem równie wystawnie, jak wprzódby, przyjmować, znajdował się Lubomirski, rodzony brat księżnej kanclerzyny Radziwiłłowej, król wziął go przeto na stronę i gorąco prosić zaczął, aby go przed szwagrem tłómaczył i uniewinnił, co Lubomirski przyrzekł i spełnił bez wielkiego skutku.

Kanclerz nie pokazał się już w Nieporęcie.

Stosunki z królową, widocznie też zachwiane, na-przód wydały się Królowi Szwedzkiemu osiągniętym celem pożądanym. Nie był związanym, został wyswobodzonym; ani żenić się już nie potrzebował, ani ulegać kobiecie, której siły się tak lękał.

Rachował może na to, iż ktoś w imieniu wdowy, kanclerz albo ktoś inny, nalegać będzie, przypomni słowne umowy z Radziwiłłem: gotował się więc tłómaczyć; ale nie zjawił się nikt. Stopniowo tylko, nieznacznie, pomoce tajemnicze, które ułatwiły wszystko, równie zagadkowo cofnęły się, jak przyszły.



Brakło mnóstwa środków, pomocniczych sił. Szło oporem, Butler się rozbijał o głuchotę i obojętność tych, którzy mu wprzód najgorliwiej posługiwali.

Zaczął walczyć przeciwko temu zahamowaniu, ale bezskutecznie, a w kilka dni siły króla zostały wyczerpane. Zżymał się, niecierpliwił, wymówki czytał staroście i osłabł całkiem.

Butler, który w części przewidywał cały przebieg rzeczy, na pierwszy wyrzut Kazimierza odpowiedział mu:

— N. Panie proszę sobie przypomnieć, że ja to wszystko przepowiadałem. Nie mam co dyssymulować. Z królową był rodzaj umowy, za pośrednictwem kanclerza zawartej; Radziwiłła odprawiliście z kwitkiem: królowa też zrozumiała znaczenie tego kroku. Nie chcecie wy jej; nie czuje się w obowiązku wam pomagać i kwita.

Król stękał tylko.

— Ale ja nie mogę się zaprzedać w niewolę — wołał rozdąsany. — Sam widzisz o co to idzie: mnie chcą mieć jako narzędzie, a panować, nie kto, tylko ona...

Starosta milczał. Dawał się królowi wynarzekać, naskarżyć, wiedząc z góry, iż ulegnie w końcu. Kazimierz trwał jeszcze jakiś dzień w marzeniu o niepodległości swej, próbował sobie stworzyć nową radę, zebrać ludzi nowych; ale się okazało, że oni wszyscy razem jednego kanclerza litewskiego wytrawnego statysty, zastąpić nie mogli.

Wysłani do Karola senatorowie znaleźli go teraz łatwym na podziw. Kazimierz ofiarował mu ustępstwo księstw Opola i Raciborza i dwa opactwa intratne dla zwrotu poniesionych wydatków. Biskup to przyjmował, nie żądając nic więcej. Znał jednak mściwy i nieprzebiegający charakter brata i nalegał na to głównie, aby przyszły król nie mścił się niesłusznie na tych, którzy przeciwko niemu trzymali z Karolem.

Król Szwedzki w pierwszych początkach tak był

szczęśliwy z korony, którą już miał zapewnioną, iż zaręczał, że nawet imion swych nieprzyjaciół pamiętać nie będzie. Dla przypieczętowania uroczystego układów król sam miał pojechać do Jabłonnej. Tym razem posłał prosić kanclerza litewskiego, aby mu towarzyszył, lecz Radziwiłł, z uśmiechem zimnym wymówił się pedogą i odmówił przybycia.

## VII.

— Słuchaj Butler — zabytał po dniach kilku Król Szwedzki swojego faworyta — jak ty sądzisz? co ja tu mam począć? Królowa, ja ci mówiłem, boję się jej, ale co tu strach nada, kiedy my już jej sieciami oplątani?! Siedzimy w saku, a im się człowiek gwałtowniej wydobyć usiłuje, tem mocniej się wikła. Co tu począć?

Przyjaciel spuścił głowę.

— Niech Bóg uchwala, abym ja miał co radzić N. Panu — rzekł — wszystkoby potem spadło na mnie. Owszem, najuroczyściej protestuję i oświadczam, że rady żadnej nie daję.

Zżymał się król i z ust mu się wyrwał dosyć uwłaczający dla starosty wykrzyknik, ale ten udał, że go nie słyszał.

Modlił się przed obrazem moim o natchnienie Ducha Ś-go — mówił dalej Kazimierz — nie czuję go w sobie. Nikt, nikt mi ręki nie podaje. Radziwiłł jest nieprzebiegany.

— Jam i to przewidział — zamruczał Butler. Rozgniewał się Kazimierz.



— A co mi po twoich prorocztwach!—zawołał—ja potrzebuję skutecznej rady, a nie tych wróżb.

Starosta milczał uparcie.

— Mówiłem ci to — począł nanowo Kazimierz — Kobieta przebiegła niesłuchanie, lepiej niż ja przewidziała wszystko. Przyznaję się, chciałem się wyzwolić od niej, obawiałem się ożenienia, ale myślałem później dopiero jawnie z tem wystąpić, tymczasem...

Zadumany król nie dokończył, Butler słuchał patrząc w okno roztargniony; nie były to dla niego rzeczy nowe.

— Z nią będzie utrapiona wiekuista walka—mówił po chwili Kazimierz—a ja na nią ani czasu, ani środków nie mam. Sprawy Rzeczypospolitej są zawiłane, pomocników mi, a nie adwersarzy, potrzeba.

— A królowa j. mość, jako antagonistka — rzekł Butler—nie jest do pogardzenia: miała czas i sposobność ludzi sobie pozyskać... i... ma pieniądze.

— Na których mnie zbywa—dodał król — ale ja ich nigdy mieć nie będę.

Westchnął ciężko.

— Butler, kochany mój, bądź ty mi przyjacielem, proszę cię. Dwu ludzi zawsze więcej widzą niż jeden. Coś postanowić potrzeba.

— Tak, a gdy ja z radą wystąpię — zamruczał Butler—wszystkie jej następstwa spadną na mnie!

— Ale jakież złe następstwa wyniknąć z niej mogą?

Starosta zamilkł i namyślał się.

— N. Panie—rzekł—proszę pamiętać, że ja mojej rady własnej nie daję, przypominam tylko, żeś w. król. mość sam wprzód postanowił i przyrzekł z królową wdową się żenić, że o to do Rzymu posłano, prosząc dyspensy, która lada chwila nadejść może. Potem przyszedł nagły rozmyśl, gwałtowna chęć wyzwolenia, i ztąd cała bieda nasza.

Cofnęliście się od królowej, ona też się od was osunęła.

Słuchał Jan Kazimierz.

— Więc nie pozostaje nic—westchnął—tylko karaku nagiąć, uznać się winnym?...

— Ale nie — trącił Butler — można to złożyć na nieporozumienie; Radziwiłł, jak był pośrednikiem, tak pewnie nanowo się podejmie.

— Niema innej rady! niema — zawołał nieszczęśliwy król, rękami sobie twarz zasłoniwszy. — Okupą mnie i poprowadzą.

— Możesz w. król. mość tego być pewnym, że Marya Ludwika na wstyd i na srom nie pociągnie. Ambicyą ma wielką.

— To niezawodna — szepnął już, pragnąc się pocieszyć, król.—Niepospolitych darów umysłu i serca niewiasta! Dała tego dowody. Przybyła do nas poprzedzona potwarzą; Władysław na nią patrzeć nie chciał, nie miała żywej duszy za sobą, obca... a dziś? dziś, ona tu panią. Mów sobie co chcesz; gdyby się jej było podobało Karola prowadzić, ja bym z moją szwedzką papierową koroną osiadł na piasku.

Kiwnął głową Butler.

— Więc tu się niema co namyślać — dodał Kazimierz, sam usiłując się przekonać o konieczności tego kroku. — Jedź do kanclerza, proszę cię, powiedz mu, że usilnie go zapraszam tutaj do Nieporętu na obiad. Niech sobie dzień sam wybierze, ale prędko. Daj mu do zrozumienia, że tu idzie o *pakta* z królową, że ja gotów jestem zobowiązanie podpisać, najuroczyściej przyrzec... słowem: poddaję się.

Westchnął ciężko: — Nie było i niema innego ratunku.

— Ależ, na Boga, niema też nad czem tak boleć! — zawołał Butler. — Królowa jest piękną jeszcze, nie starą, rozumną, majątną, stworzoną do tronu! Zamiast szukać innej i brać naślepo pierwszą lepszą księżniczkę, z której Bóg wie co by urosło, macie kobietę znaną, cenioną, szanowaną.

Król na wszystko przyzwalał; chciał być przeko-



nanym, uniewinnionym i wytlómaczonym ze swej słabości.

Wskutek tej rozmowy starosta pojechał do Warszawy i odwiedził ks. kanclerza, który, zobaczywszy go, wiedział już z czem przybywał.

Przyjął go uprzejmie, lecz sam nie zagałę rozmowy. Butler musiał, zrzuciwszy pychę z serca, dopraszać się w imieniu pana swego przybycia do Nieporętu, nie tając tego, że ważne i stanowcze gotowały się układy i że Kazimierz broń składał przed królową.

Dzień został naznaczony.

W kilka godzin potem Radziwiłł, zawsze chętnie na zamku przyjmowany, meldował się już do królowej, która bardzo cierpliwie, pewna swego, czekała na skruchę i powrót marnotrawnego syna.

— Jadę zaproszony do Nieporętu — rzekł kanclerz — ale tym razem nie napróżno.

Maryja Ludwika zmarszczyła się nieco.

— Mości książę — odezwała się — jestem niemal obrażoną przez króla.

Wszyscy mi powiadają, że tajemnicy z tego nie czyni; rozpowiada, głosi, że się mnie lęka. Nie byłam i nie jestem taką Xantypką, któraby postrach obudzała, ta obawa jest dla mnie uwłaczająca. Jeżeli się jej pozbył król, chcę być zapewnioną, iż się ona nie wróci.

Układowi cichym nie mogę już ufać, należy coś obmyśleć.

Ks. Radziwiłł przerwał z uśmiechem:

— Ale ja go tu przywiozę do stóp w. król. m. skruszonego i za grzech żałującego.

— To nie ulega wątpliwości. Ja i ks. de Fleury możemy być świadkami uroczystości danego słowa, którego król złamać nie może, a oprócz tego, prośba o dyspensę do Rzymu, choćby nie była potrzebną, da pewność na piśmie. Więcej wymagać nie można.

Milcząco przyzwoliła królowa, ale westchnienie się z jej piersi wyrwało.

— Mówmy otwarcie — rzekła. — Miałam czas poznać dobrze króla Kazimierza i ocenić przymioty jego, przedewszystkiem wielką i szczerą pobożność, szlachetne popędy, serce dobre, ale zarazem dziecinną płochosć, brak męskiego wytrwania, łatwe zarówno rwanie się i zrażenie do wszystkiego. Wiem zatem, jak ciężkiego podejmuję się zadania, stając u jego boku na straży godności, czci i przyszłych losów Rzeczypospolitej.

— Kraj też i my to ocenić potrafimy — rzekł Radziwiłł. — Oddany sam sobie, nie podola Jan Kazimierz ciężkiej chwili, w jakiej jesteśmy obecnie. Nie mamy kogo innego; jest to krew królów naszych, od Boga przeznaczona.

Z tego uroczystego nastroju rozmowa stoczyła się zaraz na sprawy powszednie, które sejm właśnie zajmowały; wojsko, wybór wodzów, dowództwo, które dać chciano Jeremiu Wiśniowieckiemu, obawy i zazdrość, jakie budziła jego wziętość i zdobyta już sława!

Byli tacy, co nie tylko hetmanom nim grozili, ale znajdowali niebezpiecznem dla króla, iż on sam miał całą sławę zwycięży przywłaszczyć sobie.

Z drugiej strony nienawiść, zjadłość Chmiela i Kozaków przeciwko Jeremiu świadczyły najlepiej, że jego imię samo już grozą było dla nich i postrachem. Możnaż było tak potężne odrzucić narzędzie?

W sejmie też rozbiły się zdania. Kisiel, który znał siły zbuntowanej Kozaczyzny i Tatarów najlepiej, wołał o układy naprzód, inni je jako srom uważali i żądali zwycięstwa, któreby hańbę piławecką obmyło.

Pocieszyć się tem było można tylko, iż poczynając od duchowieństwa, wszyscy z chętnymi śpieszyli ofiarą, po kilkuset ludzi, po kilka tysięcy złotych przynosząc Rzeczypospolitej, według przemożności. Sam Radziwiłł liczbę dragonii i piechoty obiecał



już powiększył, a oświadczał się do ostatniej koszuli poświęcić wszystko.

— Gotowem ojczyście moje sprzedać dobra — mówił publicznie. — Zniszczyli mi Ołykę: Bóg dał, Bóg wziął, ostatnim kęsem chleba trzeba się podzielić z matką.

Tak mówili prawie wszyscy, a bardzo maleńka chyba cząstka bojaźliwie się na prywatę oglądała.

Cieszyła się tem królowa.

Na umówiony dzień kanclerz stawił się do Nieporętu, a król przyjęciem serdecznem starał się zatrzeć wrażenie popełnionego błędu. Nikt zresztą mniej uraz nie był pamiętnym nad Radziwiłła, który niejednokrotnie tej powolności dał dowody Władysławowi.

Przyszło do wspomnienia królowej. Król z gorącością wyraził, że życzy sobie nieporozumienia ślady zatrzeć i gotów jest mówić otwarcie, zobowiązać się uroczyście.

— Położenie tego wymaga — rzekł kanclerz — królowa ma prawo żądać ubezpieczenia. Sama godność kobieca ją zmusza.

Król Szwedzki pośpieszył upewnić, że na wszystko był gotowym i uznawał konieczność otwartego porozumienia się, Radziwiłł podszeptał, iż podpisanie prośby o dyspensę, choć późne, mogło być rękojmą.

I na to się już zgodził Kazimierz. Sam on w sobie usiłował wmówić, iż innej nie było, i że się powinien był czuć szczęśliwym.

Incognito wieczorem, potajemnie, mieli się z kanclerzem w dniu naznaczonym znajdować. Dzień ten tak teraz pragnął przyspieszyć Kazimierz, jak wprzód go chciał odwlekać.

Z zupełnym spokojem, pewna siebie królowa, wydawszy stosowne rozkazy, oczekiwała zapowiedzianych gości. Jeden ks. Fleury, spowiednik Maryi Ludwiki, miał być świadkiem tych odwiedzin, które los królowej rozstrzygały i przyszłość jej zabezpieczały.

O ile małżonek mógł dosyć być wstępliwym wykwintnego smaku pani, o tyle położenie, jakie jej zapewniał, pożądanem było. Wrócić do Francji, która się jej stała prawie obcą, nie mogła, ale w Polsce popierać interesa jej pragnęła gorąco.

Z jakim uczuciem wszedł król Szwedzki, który usiłował rozradowaniem obliczem pokryć swe zakłopotanie, domysleć się łatwo. Dodawał sobie mężstwa, ale królowa nadzwyczaj zręcznem, śmiałem i swobodnem powitaniem, w którym nie było najmniejszej oznaki urazy i żalu, przyczyniła się do ośmielenia go.

Radziwiłł wziął na siebie takie poprowadzenie rozmowy, aby oświadczenie się króla jaknajmniej go kosztowało, a przyszło jaknajskładniej. Z zimną krwią i zupełnem panowaniem nad sobą, ze zręcznością kobiety, która się wychowała na dworze, Marya Ludwika przyjęła oświadczenie, umiarkowaną wdzięczność i uczucie objawiając przyszłemu małżonkowi, który starał się okazać rozmiłowanym i pełnym galanterji. Nie wiele to kosztowało króla, który w istocie dla każdej kobiety miał jakąś sympatyą zmysłową i częstokroć najdziwaczniej ją okazywał.

Z uśmiechem ironicznym Marya Ludwika przyjmowała te spóźnione westchnienia i wejrzenia.

Ks. de Fleury miał przygotowaną *minutę* prośby do Rzymu, którą, nie czytając jej, król podpisał.

Tak wszystko się skończyło pomyślnie, klamka zapadła. Przy podanej wieczery po włosku, to jest słodyczach, zimnych przekąskach i winie, gdy kanclerz pił zdrowie obojga królestwa, Jan Kazimierz z kieliszkiem przystąpił do Maryi i pocałował ją w czoło.

Rozmowa trochę winem hiszpańskiem podbudzona, wpadła w ton lżejszy i przeciągnęła się jeszcze; ale król musiał powracać do Nieporętu i z tego powodu, zostawując tu kanclerza, siadł do swej kolebki, oczekującej go w podwórzu.



W chwili, gdy już miał zająć w niej miejsce, obejrzał się i zobaczył Strzębosza.

Jakim sposobem wąsik jego i twarzyczka przypomniła mu Bertoni i jej córkę, tego nie potrzeba tłumaczyć; ale co trudno się daje zrozumieć, to, że mu fantazyja przyszła w towarzystwie Strzębosza zajeżdżać na Stare Miasto do Włoszki.

Był w nadzwyczaj doskonałym humorze, ciekawy zobaczyć ową sławną piękną Biankę, o której wdziękach tyle słyszał; przytem figiel, jaki miał wyrządzić starej, wprowadzając z sobą Strzębosza, dosyć mu się uśmiechał.

— Słuchaj Strzębosz — rzekł, przechylając się ku niemu — co ty myślisz? Ta stara Bertoni czy śpi już, z kurami poszedłszy do łóżka, czy?...

Dyzma nie dał dokończyć.

— N. Panie, tam czasem do północy śpiewają i grają.

Trochę się zawahał Kazimierz.

— Ale jak ty mi piśniesz, żem ja tam był...

Dyzma już szeptał coś na ucho woźnicy i sam na drażku stanął przy nim; kolebka ruszyła.

W ulicy panowały ciemności, ale droga była znana, a dalej odjechawszy, mogli zapalić pochodnie, których zapas mieli z sobą.

Król, popełniwszy nierozwagę, zaczynał jej żałować i obawiać się, aby go nie poznano; gotów był już zawrócić, ale wołał napróżno Strzębosza, który tak był przejęty swem szczęściem, iż ogłuchł na głos pana.

Zatrzymała się kolebka, ale król wysiadać nie myślał; wyjrzał z niej na kamieniec naprzód, świeciło się we wszystkich oknach górnego piętra.

— Strzębosz! słuchaj no — zawołał, wychylając się — idź na górę, wywołaj do mnie Bertoni. Mogą u niej być goście, a nie chcę, żeby mnie tu widziało. Powiedz jej, że kolebka stoi u drzwi.

Dyzmie tego tylko było potrzeba, ażeby go spu-

szczono z łańcucha. Drzwi kamienicy nie były jeszcze zamknięte, a choć na wschodach panowały ciemności, instynktem na nie trafił. Kto wie? bywał tu już może.

Zastukał, ale muzyka pono nie dawała słyszeć dobijania się do drzwi, musiał więc wnijsć, aby królowi nie dać czekać długo.

W przedpokoju stała właśnie wystrojona Bertoni, rozmawiając ze sługą, gdy w progu ukazał się Strzębosz.

Dyabeł ani upiór nie uczyniłby na niej straszniejszego wrażenia; zaczęła krzyczeć w niebogłosy, ale Dyźma przyskoczył do niej.

— Król jest ze mną! król na Boga! cicho... król.

Z pokoju, w którym zabawiano się i śpiewano, biegła spłoszona Bianka z drugą jakąś dziewczeczką, ale Bertoni co żywo im drzwi przed nosem zamknęła. Była tak zmieszana, rozniewana, nastraszona, iż sama nie wiedziała co począć.

Strzębosz, jako poseł pana nieustraszonego, dalej spełniał, co mu polecono.

— N. Pan w kolebce tu stoi u drzwi waszych. Kto wie? możeby wam tę cześć wyrządził i zaszedł na chwilę, ale nie chce być ani widzianym, ani poznanym.

Zwolna Bertoni oswajała się z tem, co ją niespodzianie spotykało, i przychodziła do siebie. Tylko mówić ze Strzęboszem, z tym zuchwalcem kosztowało ją niezmiernie, ale musiała.

— U mnie krom obcej dziewczyny, która króla pewnie nigdy nie widziała, no, i córka, która go tak dawno nie oglądała, że nie pozna, niema nikogo; niech wysiadzie!

Bertoni stała uradowana i zła razem. Wolalaby króla nie mieć, byle Strzębosza tu, u siebie nie widzieć. Była najpewniejszą, że Bianka go zobaczyła, poznała, i że mu się przez dziurkę od klucza przygląda.

— Król czeka — dodał Strzębosz — ale na wscho-



dach egipskie ciemności; niechcecie, przecież ażeby karku nadkręcił, a do takiego gościa ze świecą laną wyjść się przecie godzi każdemu.

Gdyby Strzębosza nie było! a! Bartoni byłaby tak szczęśliwą hałaśliwie, że cały rynek Starego Miasta dowiedziałby się o tem.

Nie patrzyła już na niego. Wpadła do pokoju, w którym uciekła muzyka. Chwyciła ze stołu lichtarze i zwróciła się do córki.

— Pan wojewoda Mazowiecki uczynił mi ten honor, że zejdzie tu na chwilę. Bianco! żebyś mi nie trzypotała się, a o tej wizycie nikt wiedzieć nie powinien. Rozumiecie, wojewoda...

Ale zbyt przebiegłemu dziewczęciu widok Strzębosza dał już do myślenia, a uroczyste przyjęcie więcej jeszcze.

— Słuchaj — szepnęła do towarzyszek swej Dzianotówny — przysięgam, że to nie wojewoda, ale... ja wiem kto...

Dziewczęta przejrzały się w zwierciadłach, poprawiły włosy, poobciągały sukienki i stanęły w kątku, nie zapominając o tem, aby kątek był im do twarzy.

Tymczasem, ciągle mruczając przekleństwa i wykrzyki jakieś, Bertoni zeszła aż na dół, do drzwi, a Strzębosz pośpieszył króla dobyć z kolebki.

Jan Kazimierz w przeciągu tego krótkiego czasu, gdy Dyżma na górze negocjował, już się był rozmyślił i niezmiernie żałował popełnionego wybryku, który ani wiekowi, ani dostojństwu jego nie przystał. Ale przyszło mu na myśl francuskie przysłowie o utoczonem winie, które wypić było potrzeba.

Widmo starej Bertoni stało w progu, czekając na niego, musiał wniść na górę.

— Nie mam czasu nad pięć minut — szepnęła król — ale, ale... pragnienie mnie pali, potrzebowałem się napić wina z wodą... dlatego...

Plątał się, śpiesząc już na wschody, których zna-

leźć nie umiał, Strzębosz go ujął pod rękę. Włoszka poszła ze światłem przodem.

— Odwróciła się do króla.

— Biance powiedziałam, że Wojewoda Mazowiecki — szepnęła.

Strzębosz parsknął, bo między królem a panem wojewodą najmniejszego nie było podobieństwa, a co gorzej, Bianka wojewodę często bardzo widywała, więc się kłamstwo wydać musiało.

Dosyć niespokojny, ale razem mocno ciekawy, bo dziewczęta go niesłychanie ku sobie pociągały, Kazimierz wszedł do pokoju Włoszki bawialnego, rozglądając się po nim.

Pozostałe dwie świece dosyć słabem światłem oblewały dziewcząt dwoje, stojących i chichoczących w kątku.

Król wprost poszedł ku nim.

Piękność Bianki, świeżość i młodość Dzianotówny uczyniły na nim wrażenie takie, jak czasem woń wiosenna kwiatów, na tych, co długo świeżego nie kosztowali powietrza.

Stał, zapominając o wszystkim, uśmiechnięty, rozmarzony.

Strzębosz zdala od progu strzelał też oczyma ku swej pani.

Bertoni, która chciałaby była pozostać na straży, musiała zająć się przyjęciem.

Dziewczęta chichotały ciągle, kryjąc się jedna za drugą.

Dopiero po chwili kontemplacji tego obrazka, jaki miał przed sobą, król westchnąwszy, usunął się kilka kroków i padł na krzesło.

Z drugiego pokoju, z pomocą sługi, Bertoni niosła na przepysznej tacy srebrnej, w złocnym dzbanku wino, w szklannym wodę i kubki. Oprócz tego cukier, cytryny i pomarańcze leżały na misie.

Wszystko to postawiła przed królem, który tymczasem z oczów Bianki nie spuszczał.



— Nie mam czasu — szepnął jej król — niech mi jedną tylko jaką piosnkę zaśpiewa, głos posłyszę.

— Zaśpiewać i zatańcować-by mogła — przerwała Bertoni — ale... czy to pora? Ja się nie przygotowałam. Gdybyście mi byli dali znać!

— Moja Bertoni, pięć minut temu jam nie wiedział, że to głupstwo zrobię — zaśmiał się król — ale wszystkiemu winien Strzębosz. Jak zaczął mnie prosić; błagać, modlić!... a ja mam słabość do niego.

Włoszce się oczy gniewem zaiskrzyły.

— No... niech Bianka zaśpiewa — naglił król.

— Ale każcie mu odejść do antykamery — przerwała Bertoni.

— Komu?

— Al temu zuchwalcowi — poczęła Włoszka — ja na niego patrzeć nie mogę.

— Tak, ale ja bez niego się obejść nie umiem, to moja straż, musi stać w progu.

Bertoni mogła się niecierpliwić i gniewać, gdyż w istocie Strzębosz, nie tracąc czasu, zjadał oczyma dziewczę, które mu strzelistemi, dziecinnie naiwnymi wejrzzeniami odpowiadało.

Pieszczona Bianka, śmiała, nie obawiała się ani matki, ani nikogo. Włoszka poszła ją namawiać do śpiewu, z czym się nie bardzo drożyła, szło tylko o wybór włoskiej piosenki. Sama podała jej cytrę. Bianka ją przebiegła palcami, popatrzyła na Strzębosza, obróciła się ku królowi i zanuciła sopranem słowika.

Piosenka? o czemże włoska może nucić piosenka? Jej osnową ta wiekuista, umierająca i odradzająca się miłość, na której obraca się życie.

Jan Kazimierz zapomniał się wpatrzywszy w jej oczy, a Dyźma, który głosu tego nie słyszał nigdy, w zachwyceniu osłupiał. Śpiewała jak słowik.

Bertoni stojąc tuż nad córką, jak gdyby ją skrzydłami otulić chciała, promieniała dumą, szczęściem,

ale razem pałała gniewem. O taką perłę uryańską, jak ona zwała córkę, śmiał się starać jeden taki chłystek, pokojowiec króla wprawdzie... ale mizerny, ubogi szlachetka. Nie byłoż to karygodnem?

Niewiadomo, jak długo-by była potrwała ta scena dziwna, gdyby Kazimierzowi nagle groźna twarz Maryi Ludwiki nie stanęła przed oczyma. Dopił pośpiesznie wina i wstał.

Zbliżył się do Bianki, którą poufnie pod brodę pogłaskał, i zdjawszy pierścień z palca — była to jeszcze więzienia francuzkiego w Sisteron pamiątka, pożegnał zarumienioną śpiewaczkę, skłonił się matce, kapelusz na głowę wdział bez ceremonii i do drzwi pośpieszył.

W chwili, gdy Bertoni chwyciła za lichtarze, zrzęczny dworak wśliznął się poza nią i w mgnieniu oka rączkę Bianki porwawszy, do ust ją przycisnął, szepcząc coś niezrozumiałego. Dziewczę niby się cofnęło przed tą napaścią, ale niezbyt przestraszone.

Szli już ku drzwiom, bo król gniewny sam na siebie za słabości i nieopatrzności, rad był co prędzej się ztąd wyrwać.

Odetchnął dopiero swobodniej, gdy znowu się znalazł w kolebce, a posłuszny swej naturze, płochy krok tem zamknął, że się pobożnie przeżegnał i w piersi uderzył.

Pochodnie zapalić miano dopiero na przedmieściu, gdy się na drogę ku Nieporętowni wybiorą.

Nie przewidywał wcale Kazimierz, jakiego kłopotu sobie miał przyczynić, zbaczając do Bertoni. Starosta Butler, który wiedział, że w towarzystwie jednego woźnicy, Strzębosza i dwu pacholików miał król po nocy wracać do Nieporętu, niespokojnym był o niego. Czas ów elekcyjny napęłnił okolice, przedmieścia, miasto, napilią szlachtą, ciurami i zacieźnymi żołnierzami różnych dworów, którzy się niemal codzień napaści różnych i burd dopuszczali.

Lękając się o króla, nagotował się Butler na



drodze w kilkanaście koni mu towarzyszyć. Tymczasem zmierzchno, noc nadeszła, a króla jak nie było, tak nie było. Butler, znecierpliwiony, zaczął się domyślać, że może król inną pojechał ulicą, chociaż to wcale nie było prawdopodobnem i powysyłał ludzi na zwiady.

Kolebka nadciągnęła, gdy ta eskorta była rozproszona. Zapalono pochodnie i Kazimierz ze swoją małą służbą puścił się dalej.

Dopiero dobrze za przedmieściami Butler, jakimś instynktem, napędził jadących.

Król poznał głos jego, wychylił się i za całe tłumaczenie opóźnienia rzucił mu:

— Na zamku mnie wstrzymano.

Byłby temu uwierzył starosta może, gdyby na twarzy Dyźmy przy świetle pochodni nie dojrzał sztyderskiego śmiechu.

— Gdzieżecie wy byli?—zapytał Butler pochylając się do Strzębosza.

Ten palec położył na ustach.

Staroście aż ciarki poszły po plecach, uląkł się. Znał króla i mógł go posądzić o najdziwniejszy wybryk. W innej chwili nie miałby on znaczenia, ale teraz... gdy na przyszłego pana wszystkie oczy były zwrócone!

Od Strzębosza dowiedzieć się próżno było próbować; musiał więc jechać tak do Nieporętu, a tu przybywszy, król zaraz się ukląkł modlić, poczem do łóżka poszedł.

Nie było zbrodnią wielką płocze to wyswobodzenie się znudzonego kandydata do korony, ale złośliwe języki mogły z tego coś skleić i zaledwie przejednaną królową zniechęcić.

Nazajutrz, wstawszy w najokropniejszym humorze, król, po mszy świętej odprawionej przez kapellana, po śniadaniu, po rozsądeniu krwawego zajścia między karłami, wziął Butlera na stronę.

Wyznał mu, że... ze wszystkiego, co się stało i od-

stać nie mogło, był najniešťszeliwszym. To, co wczoraj mu się wydawało różowem, teraz widział czarnem okrutnie. Królowa wydała mu się marą i żółtą, a co gorzej, despotyczną.

Lecz słowo zostało wyrzeczone przy świadkach, papier podpisany.

— N. Panie—rzekł Butler—dziś już zapóźno ubolewać nad tem, co było bodaj nieuniknionem. Królowa wprawdzie, jak każda kobieta, zechce panować, ale w. król. mość potrafiś się jej oprzeć...

Naostatek przyznał się pocihu przyjacielowi król, jak niepotrzebnie wczoraj zboczył na Stary Rynek; lecz starosta się rozśmiał i nie widział w tem nic zdroźnego, a zaręczył, że ludzie pewno tajemnicy nie zdradzą, z której zresztą wytlómaczyć się było łatwo.

Następnych dni Mazurowie się z dyssydentami ucierali i do głosowania na wybór króla nie dopuszczono. Trzy czy cztery razy już klękali wszyscy dla zaintonowania *Veni Creator*...—i zawsze ktoś zaprotestował.

W sejmie wiadomość o pojednaniu się braci i ustąpieniu korony przez Karola bratu nie zrobiła tego wrażenia, jakiego się spodziewać było można. Niektórzy to za frymark poczytywali, i opressyą wolności Rzeczypospolitej, ale mało kto słuchał malkontentów.

Wybór był już tylko rzeczą formy, bo wistocie od chwili pojednania nie ulegał wątpliwości. Szło tylko o pakta konwenta, to jest o warunki, jakie królowi nałożyć miano. Za wzór wzięto Władysławowskie.

Kazimierza już królem wszyscy mianowali; nie potrzebował siedzieć w ciasnym Nieporęcie: więc się zaraz przeniósł do Warszawy.

Tu na zamku, po całych dniach, jako już przyszły pan, naciskowi gości i wcześniej chcących sobie łaski zaskarbić ledwie się mógł obronić, aby mieć chwilę wypoczynku, a królowa też po kilka razy na



dzień domagała się widzenia z nim, na której wezwanie pośpieszać musiał.

Dla człowieka, który nigdy myśli długo na najpoważniejszym przedmiocie zatrzymać nie umiał, którego wysiłek każdy męczył, a nawyknienie do rozrywki czyniło miękkim—obecne położenie było straszliwą męczarnią.

Sprawy nadzwyczajnej wagi przychodziły na stół naglące, tak, iż je natychmiast, stanowczo rozwiązać było potrzeba. W niepewności na obu kancelarzów spychał je król, wstydząc się razem nieudolności swej. Zdawało się, że i królowa niespokojną być musiała o jego zachowanie się w tem położeniu, obawiała się omyłki, zdradzenia ze słabością. Dlatego powoływała go ciągle pod rozmaitemi pozorami do siebie.

Rozpocynała najtrudniejsze w świecie dzieło: przerobienia człowieka niemłodego, który miał nałogi zastarzałe i nawyk do ulegania fantazjom. Ufała jednak, iż isierka rycerstwa, że duma krwi, potrafią z niego stworzyć wodza.

Tym ona go tylko mieć chciała. Rzeczpospolita była machiną starą i nadwreżoną, której przerobić, ani naprawić nie było łatwo, ale czasu wojny, mężny i szczęśliwy wódz stojący na jej czele, mógł się okryć blaskiem i sławą, któreby słabości jego, nieudolności w rządzeniu dostrzedz nie dawały.

Od królowej słyszał Jan Kazimierz ciągle jedno nagłanie.

— N. Paniel wszystko się składa jak najszczęśliwiej—mówiła. — Nie oddawaj hetmaństwa nad wojskami nikomu, sobie zostaw najwyższą władzę—idź sam, prowadź!!! Dosyć będzie odgłosu tego: Król na czele, aby motłoch zadrzał... Okryjesz się sławą... ja to czuję... wojna — wojna... wszystkie siły na nią skupić potrzeba.

Pochlebiali to Kazimierzowi, który królowej myśli

chwycił skwapliwie, ale w jego ustach natychmiast przybrała ona fizioznomią nową.

— Cudowny obraz N. Panny Czerwieńskiej zabiorę z sobą do obozu—mówił z zapalem. — Każemy śpiewać starą Bogarodnicę. Msza codziennie i pokuta przed bitwą. Ducha religijnej gorliwości rozbudzić potrzeba.

Marya Ludwika, pobożna też, nie miała przeciwko temu, lecz przedewszystkiem rycerskiego pragnęła obudzić ducha.

Król objawiał zapał największy; oświadczał, że pójdzie przodem, że gotów jest bić się, jak prosty żołnierz.

— Resztę spraw bieżących, N. Panie,—wierzajcie mi, — możecie zwierzyć doświadczonym doradcom, jakimi są dwaj kanclerze. Twoją troską powinno być wojsko... zebranie ludzi... i wystąpienie na plac boju... Będiesz miał sławę odrodziciela ojczyzny.

Ile razy przychodził do królowej, słyszał to jedno tylko Kazimierz—i, potrafił się przejąć tem usposobieniem rycerskiem.

Królowa była tak poruszona, iż gotową się zdawała sama z nim ciągnąć na wojnę. Nie trwożyło ją nic—pewną była zwycięstwa.

Ci, którzy dawniej znali króla, jak Butler, zaraz w dniach pierwszych uczuli potężny wpływ Maryi Ludwiki na niego, ale znajdowali go szczęśliwym. Janowi Kazimierzowi to rycerstwo nadawało pewien urok, na którym mu dawniej zbywało.

W Polsce szczególnie król, który zarazem żołnierzem i wodzem nie był, nie mógł pozyskać miłości narodu. Zygmunt III, choć nie miał szczególnego powołania do oręża, musiał przywdziewać zbroję i ciągnąć w pole — stając mężnie w czasie rokoshu. Jan Kazimierz też przypominał choć mało znaczący swój udział w ruskiej wojnie, a Karolowi to najwięcej do korony przeszkadzało, że go na koniu nie widywano.

Marya Ludwika więc nie bez przyczyny chciała



przyszłego małżonka uczynić rycerzem, a on sam zdawał się tę metamorfozę uznawać też za konieczną.

Dotąd zbrojownia jego była tak mało znaczącą, że nie wiadano, gdzie jej szukać, gdy spytał o nią, ale po Władysławie pozostały bardzo wytworne i kosztowne uzbrojenia: hełmy, tarcze, pancerze, które, choć do chudszej i niklejszej figury króla nie dawały się, płatnerze na to i kaftany losiowe poradzić mogły.

Jednego ranka Butler otrzymał zlecenie rozpatrzenia się w uzbrojeniu.

Własnego nie miał prawie nie Jan Kazimierz, gdyż po powrocie z Rzymu nie starał się o to; oprócz kilku szpad, które u boku nosił, nie było uzbrojenia: musiano więc zaczerpnąć w spuściznie bogatej po bracie, aby nie kupować. Potrzeba było też starszych wojskowych wezwać do rady, bo król żadnego nie miał doświadczenia i nie wiedział, co dźwignąć i nosić może.

Cały ranek jeden trwały narady, bo Kazimierz chciał wieczorem zaspokoić królową, iż przybory wojenne miał w gotowości. Próbowano blach, koszul, szyszaków, mieczów, nawet buław, z których jedną w uroczystych chwilach król miał nosić. Milcząco dawał się odziewać w kaftany i rozbierać, ale znajdował, że całe uzbrojenie dosyć ciążyło i ruchy utrudniało.

Dwór króla stary, który go widywał w kardynalskiej purpurze, w czarnej długiej sukni zakonnej, w niemieckim stroju świeckim, z uśmiechem teraz spoglądał na pana, który miał nagle przemienić się w żelazem okutego bohatera...

## VIII.

Dzień dwudziestego listopada zwiastował się zrazą zimną i wietrzną. Śnieg polatywał; znaczna część starszych senatorów i znużonych sejmowaniem dniem i nocem posłów—siedziała po domach i gospodach.

Spoglądał każdy w okno... Bał jednym mniej, jednym więcej! Obejdzie się tam bezemnie.

Zrana więc mała garstka tylko znalazła się pod szpą, dla ukończenia roztrząsań paktów konwentów. Naglono o głosowanie, aby raz temu koniec położyć.

Szczęściem też, niebo łaskawsze rozjaśniać się zaczęło—szlachta się ściagała. Król, który dla uroczystego wjazdu po spodziewanej dnia tego elekcji czekał ze dworem za miastem, usłyszał wreszcie około południa huk dział, który mu zwiastował, że na polu śpiewano już *Te deum!*

Co chwila też nadbiegali z powinszowaniami co żywiej, ci panowie, którzy królowi przy wjeździe towarzyszyć mieli. Pomiedzy nimi król mógł się doliczyć aż pięciu sobie wiernych Radziwiłłów.

Wśród okrzyków wesółych siedli na konie wszyscy. Cała droga do miasta i do kościoła nabita była ciekawymi, witającymi tłumami. Jan Kazimierz jechał rozpromieniony i zwycięzki.

Wtem na drodze, jeden z tych sławnych ówczesnych jowialistów, których sporo liczono w tym czasie właśnie, gdy najmniej się śmiać było z czego—dawny dworzanin Władysława IV — Zygmunt Skarszewski, tak dzielny żołnierz i dowcipny żartowniś, jak stary, dogorywający już Samuel Łaszc — czapeczka na ucho jedno włożona—nawinał się na oczy królowi.



Spostrzegłszy to drwiące wesołe oblicze, Kazimierz żartobliwie odezwał się do niego:

— A co tam słyhać, mości panie? Kto w okopach królem mianowany?

— A! — odparł strojąc minę smutną Skarszewski —ładu niema w Polsce... wszystko stoi nieporządkiem u nas. Już-ci się mnie korona należała; alem się, zagrawszy w kostki, z konkurencją spóźnił.

Zaprawdę, za mojego panowania, Polacy byliby mieli takie zamieszanie i kaszę — jak nigdy!... ale cóż! przez te kostki Rzeczpospolita straciła, a jam się jeszcze zgrał w dodatku!

Było to pierwsze oznajmienie o dokonanej elekcji, które wszyscy, i sam elekt, śmiechem wesołym przyjęli. Skarszewski przyłączył się do świetnego orszaku, wśród którego liczni biskupi, Nuncyusz, królewicz Karol, Senatorowie, dygnitarze pierwsze obok króla miejsca zajmowali.

Kościół Ś. Jana już był przystrojony i oświetlony na przyjęcie.

W loży zamkowej, za zasłonami, stała królowa, która na dzień ten, wzorem królowych francuzkich, żałobę czarną na białą zamieniła. Patrzyła i łzy jej wzrok mąciły. Teraz, gdy już elekcya cudowną jednomyślnością dokonaną została, dowiadywano się ze zwierzeń różnych, z narzekan spóźnionych, że Rakoczy siedmiogrodzki miał znaczną partyę za sobą i tylko zręczne zabiegi królowej, oniesmielenie spiskowców, pośpiech naostatek, zapewniły koronę Kazimierzowi.

Zdala warcząc, odgrządzali się ci stronnicy Zygmunta IV... że on może siłą to pozyskać, czego mu z dobrej woli nie dano.

Mało kto w czasie tej uroczystości, przysięgi, mów, powinszowań — zwrócił oko na zakrytą lożę i niewiele może wiedziało, że nawpół frankami przysłonięta, siedząca w niej kobieta poruszała, rządziła,

kierowała znaczniejszą częścią tych senatorów, którym się zdawało, że czynili, co sami chcieli.

Żaloba nie dozwalała się Maryi Ludwice pokazywać nigdzie, znużenie cielesne i na duchu czyniło ją niemal chorą — ale czuwała zdala.

I ona także w niepewności pędziła te dni oczekiwania, nie o małżeństwo swe, bo to, niestety, ominąć jej nie mogło, ale o przyszłość małżonka. Potrafiła ona uczynić go wodzem, rycerzem i królem, jakim marzyła?

Były dnie, gdy Kazimierz wydawał się jej ożywionym, natchnionym, chętnym do pracy, ale często kreć nazajutrz już był zmieniony, zmęczony — i sam powątpiewający o sobie.

O żenieniu urzędownie mowy jeszcze nie było; wymagało ono zgodzenia się Stanów — chociaż to było niewątpliwe. Tymczasem naznaczono już pogrzeb Władysława w Krakowie na 15 stycznia, a po nim koronacya i sejm odbyć się miały.

Dano nieco spocząć Kazimierzowi, który codzień widywał królową i względem niej z tem większą był wdzięcznością i afektem, im się jej mocniej obawiał.

Powracał od niej na przemiany: z uwielbieniem i ze strachem.

Butler, któremu potrzebował się zwierzać na przemiany, słuchać musiał... niepomiernych pochwał — a potem cichego mruczenia.

— Gdybym ja się mógł od niej uwolnić!

W dni kilka Ossoliński, któremu szło wielce o to, aby się u Jana Kazimierza utrzymał w tej wziętości, jaką miał u nieboszczyka, we wspaniałym pałacu swoim wystąpił z uczcią, która napozór była niespodziewaną, chociaż Marya Ludwika od kilku tygodni o przygotowaniach do niej była zawiadomiona.

Król, zaproszony, pojechał chętnie i zabawił się bardzo wesoło, szczególnie nadskakując młodym i pięknym paniom, między którymi marszałkowa Kazanowska prym trzymała. Spostrzegli wszyscy tę dla



niej preferencyą, ale też dziwić się nie było można, bo piękna pani wyzywała J. Król. Mości słowy i ocyma.

Królowa nazajutrz szydersko nieco żartowała sobie z przyszłego małżonka, nie zdając się do tego przywiązywać wagi.

— Strzeż się jednak W. Król. Mość oczu ludzkich... bo, wysoko siedząc, narażony jesteś na potwarze; nie trzeba do nich dostarczać wątku. Co księciu było wolno, królowi się nie godzi.

Jan Kazimierz wczorajsze zaloty obrócił w żart i zaparł się ich najuroczyściej, ale wróciwszy do siebie, zawołał do Butlera:

— Na każdym kroku mnie śledził jestem spętany. Ślubu jeszcze nie wziąłem, a w niewoli już jestem. Co to będzie dalej?

Starosta nie odpowiadał.

Nawoływanie do wojny, która królowej zdawała się jedynym środkiem wybawienia—przyciechać zaczęło. Namówiono króla, aby, na czasie zyskując, listy wysłał do kozactwa — a te napozór poskutkowały. W istocie zaś Chmiel się potrzebował zorganizować i tłumy motłochu ująć w jakieś karby — pozyskać sobie Tatarów i kto wie jeszcze jakich spodziewanych sprzymierzeńców.

Kozacy wołali głośno, iż pofolgowali Rzeczypospolitej, ulegając *prośbie* króla.

Można sobie wystawić, jak ta *prośba* szlachcie smakowała, która obruszała się na motłoch—chociaż nie śpieszyła przeciwko niemu. Mazurowie szczególnie nie uspokoić się nie mogli, na gwałt dopominając się indagacyi i ukarania zbiegów piławieckich.

Ciężkie warunki jakie nakładano, Kozactwo, ze swej strony niedając żadnej rękoi pokoju, kazały przewidywać, że krwawo jeszcze będzie rozstrzygać się ta sprawa, w której Chmiel z czernią, daleko pewniejsi byli sprzymierzeńców i sojuszników, niż osamotniona Rzeczpospolita.

Nikt tu przyszłości nie widział jasno, zaślepiała świetna przeszłość: pogromcy tylu potęg mieliż się lada zbuntowanych chłopów uleknać?

Łudzili się wszyscy, a kto jak Kisiel widział jaśniej niebezpieczeństwo i radził mu zapobiegać, tego zdrajcą ogłaszano.

W Styczniu wreszcie król dobrej myśli wybierał się do Krakowa; królowa chora i smutna pozostawała w Warszawie. W ostatnich dniach starała się natchnąć Kazimierza mężstwem i wytrwałością, a król czuły i posłuszny, obiecywał wszystko, co chciała. Wyrwał się jednak z pod jej oczów, rad wyswobodzenia i nie ukrywał się z tem przed starostą.

Nawykły do tych najsprzeczniejszych zwierzeń, Butler słuchał ich z jednako obojętnością, nie przywiązując wagi do nich, choć się gwałtowniej objawiały. Dzień następny zaraz je ostudzał.

Podróż na Częstochowę odbyła się szczęśliwie, chociaż z mniejszą daleko okazałością, niż dawnych panujących. Wszystkie obrzędy spełniły się według form uświęconych, nie pominięto niczego; ale ci, co pamiętali dawniejsze czasy, z boleścią widzieli, iż kraj, miasto, dwór, ludność bez zapału, chłodno udział w nich brała. Wszystko jakoś zubożało, skurczyło się, zmalało. Owe orszaki panów, strojne pułki, husarze, gwardye cudzoziemskie od aksamitów i lamy, tryumfalne łuki i ognie, zdrobniały, nie miały blasku ani przepychu dawnego. Upadek zamożności i ducha zarównoczuć się dawał.

Nie było tej ufności w przyszłość, jaka niegdyś ożywiała każdego panowania początki. Król sam niewiele był obiecujący, znano go tylko ze zmiennych wielce kolei fortuny, a jutrzienka jego panowania nie rozproszyła chmury stojącej na horyzoncie jeszcze i głuchym przypominającej się grzmotem.

— Wołano — Vivat! a pierś wtórowała: Niepomszczona Piławiecka! Zbiegłe sromotnie wojska, za-



brani w niewole hetmani, koczactwo i chłopstwo na karkach, z groźbami!—Kto nas pomści?

Jedyny wódz, którego obawiali się buntownicy, jedyny mąż, który mógł może podówczas zbawić Rzeczpospolitą, Jeremi Wiśniowiecki, którego sława i szczęście we wszystkich zazdrość obudzało, czasu koronacji doznał lekceważenia—i zapowiedzi, że buława i naczelnie dowództwo ominąć go miało!

Gdy w czasie pogrzebu Władysława kruszono drzewce królewskiej chorągwi, a obłamek jej, jako godło wodza, należał Wiśniowieckiemu sięgnąć też on po niego; ale Jan Kazimierz, w którym zazdrość obudzono, przestrzeżony, umyślnie pominął go i drzewce oddał pokojowcowi swemu Strzęboszowi.

Mogło się to nazwać omyłką, zapomnieniem, ale było uchybieniem i zniewagą, którą Wiśniowiecki uczuć musiał głęboko.

Zaledwie przebrzmiały okrzyki koronacyjne, a senatorowie zebrali się na radę — Piławiecka! indagać! ukaranie zbiegów—zahuczało znowu.

Król dosyć neutralnie zahowywał się we wszystkim. Naostatek przyjaciele Maryi Ludwiki uznali chwilę właściwą, aby wnieść kwestyą królewskiego małżeństwa. Jan Kazimierz, który nigdy zręcznym politykiem nie był i w tej sprawie tak go blisko obchodzącej—pozostał biernym. W duszy pragnął najmocniej, aby senat, dla blizkiego powinowactwa, sprzeciwił się tym ślubom, lecz stało się inaczej.

Królowa silniejszą tu była nad niego, a dyspensą rzymską, za którą Nuncyusz ręczył, iż była w drodze, wszystkim zamykała usta. Ci więc nawet, co w początkach sprzeciwiali się małżeństwu, zamilknąć musieli.

Król, choć zgryziony tem, uradowanego udawał, gdyż wyzwolenia się stracił już nadzieję.

Codzień prawie przybywający posłańcy królowej i listy jej dostarczały wskazówek, jak sobie miał Jan Kazimierz postępować. Oburzał się na tę niewolę, lecz

słuchał, bo toż samo, co listy Maryi Ludwiki przynosili mu Ossoliński i Radziwiłł.

Wyrazem potrzeb najpilniejszych było przemówienie marszałka koronnego: żądał on wojska, ofiar i potężnego uzbrojenia zewsząd zagrożonego kraju. Nie jedni Kozacy grozili: Rakoczy z najazdem się odzywał, Szwedzi z Niemcami mogli łatwo korzystać z osłabienia Polski, naostatek Tatarowie i Turcy obojętnie też nie mogli patrzeć na ten łup, który im wydzierano. Kanclerz wymownie w imieniu króla odzywał się do sejmujących.

Niestety, cały przebieg spraw aż do końca sejmu był niejako odbiciem stanu umysłów ówczesnego, niepokojonych tem, co się stało—tem, co się stać mogło, a napróżno szukających ratunku.

Jan Kazimierz wołał o wojsko, ale w cudownych obrazach jeszcze większą niż w nich nadzieję pokładał i miał słuszość, bo cudu potrzeba było, aby z tego haosu siłę i czyn wyprowadzić...

Wśród narad co czynić — jak jęki boleści wytryskiwało:

— Grzechy nasze nas biją!

Kanclerz Radziwiłł ucisk chłopów ciągle przypominał, inni zgnuszenie wyrzucali rycerstwu; jęczano... wzywano kary i pomsty... a nie wiedziano co czynić.

Jedyny wódz... strasznym był, aby jako zbawca ojczyzny wszystkim nie odjął sławy!

Schodzono się codzień tak boleć, narzekać i stękać.

Król? rachował na to, że sam odgłos imienia jego zasieje trwogę; gotów był stanąć, prowadzić i zgnieść tych zbuntowanych, którzy tymczasem z zuchwałością niesłychanem naśmiewali się z dawnych panów...

Wśród tych rad bałamutnych dano znać z Warszawy, iż królowa mocno zasłabła. Król już Krakowem znudzony, rad był się może ztąd wyrwać; rozstawiono konie, przyspieszono obrad zamknięcie.



Pobył Kazimierza w starej stolicy ciekawym do-  
starczył treści... skazówek do odgadywania przy-  
szłości.

Było to charakterystyczną słabością tej doby wła-  
śnie, że się gwałtownie domagano od astrologów, od  
ludzi świątobliwych, od wróżbitów wszelkiego rodza-  
ju odsłonięcia tajemnic jutra. Nigdy tyle horoskopów,  
astronomicznych obrachunków, wierszy zagadkowych,  
proroctw świątobliwym przypisywanych—nie obiegało  
po rękach jak w tych latach.

Każdy się starał wiedzieć, co mu jego narodziny  
wróżyły, bo nie wątpiono, że w gwiazdach zapisane  
były wyroki nienuknionego fatum. W czasie pobytu  
króla, w sam dzień koronacji pożar na zamku nie  
mógł też pozostać bez tłumaczeń i wykładów.

Wieczorem, gdy po biesiadzie wszyscy się już po  
kwaterach rozeszli, a w mieście jeszcze i przy nie-  
których pańskich dworach ognie sztuczne wyprawiano  
na cześć ukoronowanego, tuż podłe sypialni, w któ-  
rej on spoczywał, w Kurzej Stopie ogień się zajął.

Król się przebudził, ale w pierwszym momencie  
służby rozpierchłej nawet dowołać się było trudno  
na ratunek, bo i ta uczciwość i szalala... Nadbiegł  
tylko Ossoliński i wszechyły pożar rychło ugaszono.

Kancelarz miał tę przytomność umysłu, iż strwo-  
żonemu Kazimierzowi ognia tego jako dobrej wróżby  
powinshaw; lecz spalenie się Kurzej Stopy w mie-  
ście za zły *omen* uważano.

W powrocie do Warszawy na pół drogi potrzeba  
się było i dla posiłku zatrzymać. Dzień był piękny  
i pogodny. Kazimierz wyszedł przed plebanią, w któ-  
rej go proboszcz przyjmował.

Kilka kroków dzieliło go tylko od małego ko-  
ściołka wiejskiego, na którego progu ujrzał dziwa-  
cznie wyglądającego człowieka. Wydał on mu się że-  
brakiem.

Nie powstał jednak na widok króla i tą obojętno-  
ścią swą ciekawość jego obudził. Mężczyzna był ogro-

mnego wzrostu, silny, z głową włosiem bujnym siwie-  
jącym okrytą, z oczyma głęboko pod kością czołową  
i brwiami rozrosłymi ukrytymi. Suknia nakształt mni-  
szej okrywała go, podpasana sznurem, u którego wi-  
siał prosty drewniany różaniec.

Był to ten sam stary pątnik Bojanowski, którego-  
śmy widzieli w gospodzie księcia Karola nad Wisłą.  
Pielgrzymka teraz z Częstochowy i Gidlów prowa-  
dziła go do Krakowa... Trafem zaszedł do kościołka,  
gdy król właśnie na plebanią zajeżdżał. Ale czemu  
był król dla niego?

Jan Kazimierz zbliżył się ku niemu...

Nie ruszył się i teraz Bojanowski. Pierwszy mu-  
siał go Jan Kazimierz pozdrowić: Niech będzie po-  
chwalony.

Żebrak mniemany skłonił głowę i zamruczał od-  
powiedź, nie powstał jednak i wiele się nie zdawał  
okazywać ochoty do rozmowy.

Tem mocniej podrażniło to króla; sięgnął naprzód  
do woreczka po jałmużnę, lecz ruch ten odgadłszy  
Bojanowski—odezwał się:

— Jam nie żebrak; jałmużny nie potrzebuję.

— Któż jesteś?

— Grzesznik, jak i ty...

Wtem Strzębosz, który zdala stał, starca nie znał,  
a sądził, iż go powinien przestrzedz, z kim mówi,  
podbiegł, schylił mu się do ucha i szepnął:

— To król jest.

— Wiem o tem — rzekł głośno i obojętnie Boja-  
nowski.

Jan Kazimierz, posłyszawszy przestrozę i odpo-  
wiedź, uczył się tem dotkniętym.

— Króla więc sobie za nic ważycie? — odezwał  
się, podchodząc.

— Mam-ci ja codzień z królem królów do czynie-  
nia—odparł niepowstając starzec—cóż dla mnie twój  
ziemski majestat waży? Patrząc na ciebie i boleję nad  
tobą, bo biedniejszym jesteś z tą koroną twą, niż



najnędniejszy z poddanych twoich. Kozłem jesteś ofiarnym, który za grzechy tysięcy i swe własne cierpieć będzie, nie za żywota tylko, ale po wsze wieki. Cierniem jesteś ukoronowany, trzcinę ci miasto berła dał w ręce, a purpura twa, krwią zabarwiona, gdy zeschnie, stanie się czarną.

Tak, królem chciałeś być i jesteś, ale nim nie umrzesz... królem jesteś godnym tego królestwa zgnilizny i grzechu! Biada tobie i królestwu twojemu!

Jan Kazimierz słuchał, bledniejąc. Nawykły szanować ludzi świętobliwych, czuł w tym nieznanym starcu jakąś istotę nie z tego świata; duchem się korzył przed nią, ale majestat jego królewski cierpiał.

— Wiem — odezwał się po namyśle — że w nie-  
szczęśliwą powołany zostałem godzinę, ale nie w sobie ufam: wierzę w Opatrzność i pomoc Bożą, w miłosierdzie Pańskie.

Bojanowski rzucił głowę.

— Bijcie się w piersi — rzekł — ty i ten kraj, czyście na nie zasłużyli? Skalanych grzechami Bóg natężyć nie może, a nie obmyślicie się z grzechów waszych. Modlitwą nie przeblagacie Boga, ani ofiarą rąk nieczystych... serca wasze zepsute są i ostygłe. Dzikie zwierzęta wypuścił na was mściwy Jehowah, które szarpać będą i krew waszą toczyć, aż poprawicie się i pokutować będziecie. Biada tobie i królestwu twojemu!

Król nie śmiał się odezwać, rad był odejść, a siła jakaś trzymała go jak przykutym przed tym starcem, który siedział jako sędzia surowy i ledwie nań chciał patrzeć.

Milczenie trwało dosyć długo, naostatek Kazimierz rzekł głosem zniżonym:

— Módlcie się za mnie i za wszystkich...

— Modlę się i pokutę czynię za własne i za wasze grzechy — odpowiedział Bojanowski — ale głuchym jest Bóg, bo grzeszyć nie przestajecie. Upokorzył was, zgniótł, krew się lała strumieniem, niewolnicy

wasi stali się panami waszymi; urągają się wam i znęcają — a wy?... uczujecie i odgrażacie się... i czczemi słowami szermujecie, żądając, aby Bóg za-  
stępów za was szedł i zmiotł nieprzyjaciół, a wam pomstę łatwą dał w ręce. Cierpliwym był Pan, ale przyszła godzina kary Bożej.

Mieliście proroki, które wam przepowiadały — nie wierzyliście im; mieliście znaki na ziemi i niebie — ślepiście byli na nie; przyszła kara... a zamiast pokuty, przekleństwo i narzekanie macie na ustach... Biada tobie, królu, i królestwu twojemu!

Gdy powoli, jakby sam do siebie, na króla nie patrząc prawie, mówił tak Bojanowski, a Jan Kazimierz, ochłonawszy ze strachu, dotknięty nieposzanowaniem majestatu swojego, burzył się już i myślał tylko jak ma odejść ztąd — proboszcz miejscowy, staruszek bojaźliwy, który nadszedł na ostatnie Bojanowskiego słowa i słuchał ich przelekły, począł starcowi z za króla znaki dawać, aby zamilkł.

— Nie zamykaj mi ust — zwrócił się ku niemu stary. — Niema dziś od kogo-by on prawdę posłyszał. Z kazalnicy mu pochlebiać będą... od ołtarza go błogosławić: a grzesznik jest jako my, a gorszy od nas, bo on i grzechy jego na świeczniku są postawione.

Bogu wiarę ślubował i strzymał; poprzysiągł ją królestwu temu i nie dotrwa do końca.

Król się zwrócił do proboszcza...

— Szalony jest! — zamruczał — chodźmy.

Bojanowski pozostał na progu kościoła i usłyszawszy odechodzących, podniósł oczy:

— Biada tobie i królestwu twojemu — zamruczał raz jeszcze.

Drzwi kościółka przymknięte były tylko; starzec wstał, kijem się podpierając, bo chłopaka przy nim nie było i wsunął się, wlokąc nogami do wnętrza.

Przed wielkim ołtarzem płonęła zawieszona lampka; ale mrok panował tu, wśród którego tylko gdzieś niedługo złoceń jakiego odbłask i jaśniejsza chora-



giew występowała. Bojanowski zbliżył się aż do stopni, kląkł i padł na twarz, jęcząc. Kosztur mu się wysunął z ręki; zaryczał głośnym płaczem i wołaniem do Boga.

Jan Kazimierz, poruszony jeszcze, usłyszawszy ten jęk, zawrócił się. Proboszcz chciał go wstrzymać, na próżno. Stary pątnik pociągał go ku sobie, trwożąc zarazem; ciążyły mu nielitościwie jego przepowiedni słowa. Doszedł aż do drzwi kościółka, przestąpił próg i w kruchej mimowolnie padł na kolana, pobożnie złożył ręce, modlił się i słuchał.

Od wielkiego ołtarza słychać było urywane wiersze Psalmów Pokutnych.

W Warszawie czekały na króla wieści niepokojące. Marya Ludwika wprawdzie powstała była z łóżka i czuła się lepiej; ale burza kozacka, mimo powolności posłów wysłanych do Chmielnickiego, zagrożoną nie była.

Uzuchwalony Chmiel więźniów wypuścić nie chciał; znęcano się nad posłami słowem i czynem; Kisiel od obu stron podejrzwany, prawdziwym męczennikiem stał się dla miłości Rzeczypospolitej. Chmiel go zdrajcą Rusi, Polacy zdrajcą Polski zwali; przecież on nie przestawał pracować i choć zawieszenie broni wymógł, granicą postanowiwszy—Horyń!

Tymczasem Rakoczy już z Kozakami się porozumiał, wiadano o posłach z Moskwy, a Chmiel ważył, komu się zda i czy nie najlepiej będzie Turczynowi holdować, bo ten mu największą mógł dać swobodę.

Jan Kazimierz dwie zaraz, jedna po drugiej, pielgrzymki odprawił do cudownego obrazu w Czerwieńsku, pamiętny groźnych Bojanowskiego przepowiedni, do których Maryi Ludwice się nie przyznał.

Strzębosz, który sam jeden tylko słuchał zuchwałych przepowiedni, nikomu też ani słowa o nich nie pisał.

Marya Ludwika o ile mogła nalegała, aby król sam zaraz stanął na czele wojsk; tymczasem inni po

naznaczeniu trzech regentów: Firleja, Lanckorońskiego i Ostroroga, starali się przekonać króla i królową, że na chłopstwo i kozactwo samemu królowi iść — było to niejako majestat pański poniżać.

Lenistwo Kazimierza chętnie przyjmowało argument ten, chociaż królowa powstawała przeciwko niemu.

Na nieszczęście, chwilowo zdawał się król mieć słusność i ci, co go od wyciągnięcia w pole wstrzymywali. Nadeszła wiadomość, iż kozaków wygnano z Zaslavia, że im kasztelan krakowski Bar, zamek i miasteczko odebrał, a ostatecznie kasztelan kamieniecki o znaczną klęskę ich przypawił.

Na dowód przywieziono do Warszawy chorągwie, które Kazimierz natychmiast do Czerwieńska odesłał, wszystko przypisując cudownej pomocy N. Panny, do której w tym obrazie miał szczególne nabożeństwo.

Ważyli się tak na zamku warszawskim dwojaki wpływ, na przemiany biorąc górę; ale Butler przepowiadał, że królowa ostatecznie zwycięży i króla w zbroję przyodziewszy, na wojnę wyprawi.

Ona sama, choć niezupełnie do zdrowia wróciwszy, ciągle się z tem oświadczała, że towarzyszyć mu będzie. Dyspensa z Rzymu nadeszła nie dozwoliła już zwlekać małżeństwa i na Św. Trójcę termin został naznaczony.

Zaszła też zmiana chwilowa w królu, który w sobie teraz wmówić się starał, iż był najszcześliwszym; czułym się nadzwyczaj okazywał dla Maryi Ludwiki — i przed Butlerem nawet poprzysięgał, iż małżeństwo to było mu najpożądalszem.

Jakoż w końcu Maja spełniło się naostatek przeznaczenie obojga. Nuncyusz, który wiele się przyczynił do otrzymania dyspensy w Rzymie i najdostojniejsi senatorowie zaproszeni zostali do pałacu na Krakowskim-Przedmieściu, gdyż Jan Kazimierz tu chciał wesele swe obchodzić.

Marya Ludwika przybrała na te uroczyste dni po-



godniejsze nieco oblicze, zmuszała się do uśmiechu i wesela, lecz z pod tej pozłoty... chwilami przeglądała tęsknica i jakby zwątpienie.

Im bliżej teraz poznawała męża, tem silniej czuła, że więcej na własną siłę i wpływ rachować musiała. Wysmienity humor króla, który dwa razy poszedł w taniec, raz z marszałkową Kazanowską, drugi raz z Lubomirską, ożywienie się jego, rozmowność, Butlera tylko nastraszyły.

— Będziemy za to pokutowali! — mówił Strzęboszowi. — Nigdy się ja króla nie boję więcej, jak wtedy, gdy jest bardzo szczęśliwym; naówczas tylko co nie widać, gdy w gniew i rozpacz wpadnie...

Marya Ludwika po kilkunastu ucztach, mowach i według zwyczaju ofiarowanych jej darach, które przychodziły w porę na wyczerpany skarb obojga (Gdańsk sam przysłał donatywę na trzy tysiące czerwonych złotych szacowaną), wymogła na królu powołanie senatorów dla narady: czy król sam osobą swoją miał jechać na wojnę — i czy pospolite zwołać należało ruszenie. Postarała się o to wpływem swym królowa, ażeby najwyższe hetmaństwo powierzono królowi i zgodnie go upraszano iść swą osobą na nieprzyjaciela.

Jan Kazimierz ciągle przez nią podbudzany, rycerskim duchem natchniony, nie sprzeciwił się i dopóki był pod wpływem jej. oświadczał się z gorącym pragnieniem ruszenia na wojnę.

Pospolitemu ruszeniu sprzeciwiało się wielu, nie chcąc niem szerzyć postrachu i jawnie okazywać całej grozy położenia. Łudzono się ciągle, iż chłopswo... strwożone... pokonanem zostanie.

Częstkowe na Wołyniu powodzenie niektórych oddziałów do pewnego stopnia tłómaczyło ten opór przeciw pospolitemu ruszeniu...

Chorągiewek zdobytych na tych różnych pułkach kozackich nasłano tyle do Warszawy, iż król z kró-

lową, nową pielgrzymkę odprawiając do Czerwieńska, pół seciny ich u ołtarza N. Panny złożyli.

Pobożność ta wszakże nie zachwiała postanowienia, aby król osobiście w wojnie czynny wziął udział. Nalegała na to królowa i miała po sobie wszystkich, którzy królowi dobrze życzyli.

Jednym z tych powierników, przed którymi Marya Ludwika wszystkich swych myśli i pobudek postępowania tać nie potrzebowała, był kanclerz Radziwiłł.

— Książę! — mówiła mu otwarcie — powinienś być mi pomocą i poprzeć wyprawę króla na wojnę. Przeszłość nieszczęśliwa ciąży na nim: niepowodzenia, niestateczne zmiany, lekkomyślność przypadkowa może; sława wojenna jest mu koniecznie potrzebną. Nie powątpiewam o mężwie jego, a gdy raz w pole wyciągnie, pewną jestem, iż się przejmie duchem rycerskim i całem sercem spełniać będzie swój obowiązek.

N. Pani — odparł Radziwiłł — jest to w istocie koniecznością niemal, ażebyśmy króla podbudzili i zmusili stanąć na czele; ale, uchowaj Boże, czego nie przypuszczam klęski...

Al! nie! nie! — zakrzyknęła królowa gwałtownie. — Zwycięstwo jest pewnem, niezawodnem! Nie godzi się ani na chwilę o niem powątpiewać. Sam urok, odgłos... niepodobna, aby na ten motłoch nie podziałał.

Król zresztą mieć będzie z sobą do rady najzdolniejszych i znakomitą siłę żołnierza dobranego. Nie godzi się mu odbierać sławy, która jest tak potrzebną, aby obudzić poszanowanie i zaufanie...

Pozyskawszy Radziwiłła, ujęła na swą stronę królowa Ossolińskiego, zjednała innych, potrafiła nawet przez swój dwór wpłynąć na tych, co otaczali ciągle Kazimierza, nie wyjmując Butlera, i zniewolić ich, ażeby króla karmili nadzieją zwycięstw i sławy.



Wszystko to się powiodło lepiej, niż spodziewać się było można. Pierwszy raz w życiu Kazimierz trwał dłużej w postanowieniu. Wszystko dokoła niego przybrało postawę rycerską, szcęk i brzęk oręża dawał się słyszeć nawet w antykameryze.

Małe zwycięstwa, o których dochodziły wieści, prawdziwe, czy fałszywe, wyraźna opieka niebios, którą czuł nad sobą król, dodawały mu ochoty do łatwego, jak się zdawało, zdobycia laurów. Ukrywano może niektóre szczegóły przed nim, któreby rzeczywisty stan walki ze zbuntowanym Kozactwem poznać dały.

Gdy się to działo w Warszawie, najdzielniejsze siły Rzeczypospolitej, z prawdziwym bohaterstwem, godnem wiekuiestej sławy, opierały się ogromnej potędze motłochu, dziesięćkroć liczniejszego o głódzie, w niedostatku środków obrony, wśród nieustannej grozy zdrady, która się wciskała wszędzie...

Obleżenie to Zbaraża epopeją jest, której uniemożliwieniu żadne pióro nie starczy. Ten heroizm głodny a wesół, ta śmierci pogarda, te codzienne ofiary życia, a jako chór towarzyszący im, urągawisko motłochu rozszalałego swą zwierzęcą siłą, pijanego zwycięstwem i gorzałką!

Wśród tych okopów Zbaraża stali prawdziwi pokutnicy za grzechy narodu, którzy zasłużyli na palmy męczeńskie. Wiedzano w Warszawie przez tych którym się z obleżenia wykraść udało, jak zrozpaczone tu było położenie, jak pilno potrzebna pomoc, z królem, czy bez króla; lecz naprawdę całej grozy, całej straszliwości, zgnękania wojsk pozbawionych nawet chleba, nikt tu nie wyobrażał sobie.

Królowa tylko, której potrzeba było skłonić męża do wyciągnięcia w pole, wiadomościom ze Zbaraża dawała całkowitą wiarę, gdy inni starali się je przesadzonemi okazać. Nie wierzono w Tatarów, nie chciano dać wiary półtorakroć sto tysięcy liczącemu Kozactwu pod okopami, w których zaledwie dwa-

dzieścia tysięcy bohaterów opierało się im dotąd zwycięzko, aż nareszcie gońce, zwiastujący głód blizki, brak prochów i kul, i ostateczne znużenie tych ofiar, zmusiły przyspieszyć ciągnięcie.

Zapowiedziano, że król do Lublina naprzód ma się udać, gdzie wojsk obiecanych pułki gromadzić się miały. Jan Kazimierz zdawał się odmłodzonym, wesółym, ufnym i tak ożywionym, a pewnym zwycięstwa, jak nigdy.

— Raz temu zawichrzeniu położyć koniec potrzeba—mówił z zapalem—a przy pomocy Bożej... Zdaje mi się, że godzina wybiła!

Ktoś podszeptował o Tatarach.

— Jako żywo, ich niema i nie będzie!—odpowiadali drudzy...

## IX.

Ze świetnym orszakiem, przeprowadzany przez królową, pobłogosławiony przez duchowieństwo, pełen otuchy, wyruszył król z Warszawy. Marya Ludwika powróciła uspokojona, dopięła tego, czego pragnęła: uczynić miała rycerzem i zwycięzcą człowieka, który dotąd nosił na sobie tylko nieudolności i niestateczności piętno. Dokazała niemal cudu tem, iż potrafiła umysł Kazimierza przez dłuższy czas na jednym skupić przedmiocie, nie dając mu się rozczarować i zniechęcić.

Wszystko dokoła niego tchnęło teraz rycerstwem, bojem, bohaterską żądzą przelania krwi za wiarę i za kraj.



Lecz—dodać potrzeba też, dla określenia tego zapalu tak niespodzianie obudzonego, iż wojna, którą rozpocząć miano, z Warszawy i z Lublina jeszcze wydawała się łatwym pochodem, w którym imię króla unosząc się w powietrzu, jak odgłos trąb mury Jericho... miało rozproszyć wrogów.

W Lublinie już wieści nieco groźniejsze, przepowiadały nie tak łatwy pogrom i zwycięstwo.

Jednego wieczora, właśnie, gdy król miał klęknąć na modlitwę, oznajmiono mu posła panów regimentarzędów od Zbaraża.

Był to dobrze tu wielu znany Stopkowski; lecz najlepsi przyjaciele w odartym, wynędzniały, schudzionym, bladym, w tem z wymokłemi wargami i ogniem tylko rozpaczliwym świecącemi oczyma widmie żołnierza poznać nie mogli dzielnego, silnego, wesołego towarzysza.

Przynosił on listy od wodzów zamkniętych w okopach, ale oblicze jego było najwymowniejszym pismem, najlepszym świadectwem tego co wojsko przecierpiało.

Gdy król, bledniejąc, pismo odczytywał Stopkowskiego zarzucano pytaniami, na które on niechętnie odpowiadał.

— Co ja wam rozpowiadać mam — mrucał — patrzcie na mnie, tacyśmy tam wszyscy. Jużemy z głodu konie, psy i szczury pozjadali... Nie wiem rychło-li nam samych siebie żreć przyjdzie...

Posadzono go za stół, usiłując odżywić i natchnąć nadzieją, lecz biedak nadto cierpiał, a nadewszystko nadto widział, aby wspomnienie krwawe łatwo się zatrzeć mogło.

— Nie pytajcie mnie — mówił głosem drżącym — bo jeśli wnet na pomoc braci utrapionej poskoczyć nie możecie, serce wam pęknie, słuchając, co my tam przecierpieliśmy i cierpiemy.

Tylko cudom męstwa i nieustannej czujności win-

niśmy, żeśmy na jatki nie poszli chciwemu krwi motłochowi!

Pod Zbaraż śpieszcie! na Boga! pod Zbaraż, póki czas, abyście nie przyszli zapóźno kurhany sypać i trupy oplakiwać.

Listy, które przywiózł Stopkowski to samo mówiły, król sam poruszył się tak, iż chciał natychmiast ciągnąć dalej; ale tu poskoczyli senatorowie,— wołając, że króla nie godzi się narażać, dopóki sił dostatecznych nie zbiorą, bo i trzecie wici były wyszły na pospolite ruszenie, a szlachta się tak opieszale ruszała i ścigała, iż gdzie na tysiące liczono, i secin się doliczyć było trudno... Prawie codzień przyciągały mały jakiś oddziałek, chorągiew, trochę ludu strwożonego i bez onego ognia w piersi, co zwycięstwo zwiastuje. Starszyzna i król gorzeli, ale nie było z kim iść...

Było to owo sławne pospolite ruszenie, o którym z goryczą potem śpiewał poeta owego czasu (Morsztyn):

Brzemienne góry myszkę urodziły,  
Mały deszcz chmury ogromne spuściły...  
Ty, co to pragniesz spólnego ruszenia,  
Porachuj się sam i spytaj sumienia,  
A rzeczesz, widząc serce, rząd i siły:  
I te-by góry myszkę urodziły...

*Parturiunt montes...*

Z tą siłą, jaką miał król, musiał posuwać się dalej, a przybycie znękanego posła z pod Zbaraża było dla wodzów potrzebną przestrożą, aby szli z ostrożnością niezmierną, jakby w kraju nieprzyjacielskim, gdzie już, dla chłopstwa, nigdzie nikt bezpiecznym nie był i wrogami czuł się otoczonym.

Wrażliwy król, chociaż długo nigdy w niczem wytrwać nie umiał, tem mocniej w pierwszej chwili odczuwał, co miał przed oczyma. Stopkowskiego



opowiadanie przejęło go do szpiku kości i na chwilę zmieniło zupełnie. Heroizm obłączonych, którym śpieszyć na pomoc było potrzeba, własna godność i bezpieczeństwo, uczyniły go innym człowiekiem.

Nie dawał dniem i nocą pokoju strażom i czatom, nie kładł się spać, nie rozbierał, hasła wydawał i zmieniał, koni swych rozsiadłać nie dozwalał i ledwie w namiocie przypadłszy na spoczynek alarmował natychmiast. Pochodnie kazawszy zapalić, objeżdżał wojsko... puszczał się aż do czatów, aby je widzieć na oczy.

Taka nadzwyczajna gorliwość musiała też i w drugich mężstwo i czujność wzbudzić. Zaraz też duch inny wionął na wojsko, choć Stopkowski mu go przynieść z sobą nie mógł, bo ten jeszcze grozą łaźni, z której się wyrwał, był przejęty.

Czego nigdy nikt spodziewać się nie mógł, Sapieha i inni baczniejsi dowódcy króla powstrzymywać i hamować musieli, ciągle się oglądając na to, azali pospolite ruszenie nie nadeciągnie gromadniej

Najgorszem było, że w pośpiechu tym ani miano czas rozpoznać się, ani rozsluchać, czy na drodze gdzie nie czekał ich nieprzyjaciół, co Stopkowski przepowiadał, trzymając przeciwko wszystkim, że Tatarowie na nich uderzą.

Drudzy wbrew przeczyli, opierając się na tem, iż prosty lud nie o Tatarach nie wiedział i słyszał, a nie posądzano ludu tego, że milczał umyślnie... i zdradzał...

Mnóstwo Rusi, której serce biło do Chmiela, służyło pod chorągwiami panów z królem ciągnących; a w tych nikt się też zdradców nie domyślał, ani ich nie posądzał. Zbiegali codzień prawie, powracali nazad, przynosili umyślnie fałszywego języka.

Stopkowski, który już się nasłuchiwał i napatrzył w Zbarażu wszelkiego rodzaju nieczemnego zdradzieństwa... ostrzegał napróżno.

Jakże się lękać było można człowieka, który

wczoraj szczerze obdarzony, pokornie rękę pańską całował, na ziemię padał, miłość poprzysięgał, a tej samej nocy, najlepszego konia uchwyciwszy, biegł szukać Kozaków, aby im służyć!

Ciągle tedy spierając się o Tatarów, o których rozpowiadano, choć ich jeszcze nikt nie widział, ciągnął król dosyć czujnie od Zamościa pod Zborów, a tu już zgłiszczą po drodze i zbiegli od tatarskich pęt świadczyli, że Orda wistocie Kozaków posiłkowała.

Aliści ani liczby jej, ani kędy się obracała, nie znał nikt, gdy Tatarski Han już Pelkę, chorążego pułku ostrogskiego, pochwycił i innych też wziął, a biciem i mękami zmusił, że o wojsku i królu śpiewali, co wiedzieli.

Tuż i wezbrana po deszczach Strypa i Zborów, na lewo dębowym gęstym lasem otoczony, a gdy w kościele na drugim brzegu za rzeką na nabożeństwo biją w dzwony i król, dla uroczystości Wniebowzięcia przeprowadza się, aby mszy św. wysłuchać, harc z Tatarami się poczyną...

Król mimo całej czujności swej wiedział tylko tyle zpod Zbaraża, co mu listy Stopkowskiego przyniosły, a o Tatarach i o ich sile tak, jak nie: gdy przebiegły Chmiel policzył pułki i siły, a Tatarom wskazał, gdzie polskiego króla i obozu szukać mieli.

On toż sam z częścią swoich czatował w odwodzie.

Tu dopiero tym, co dotąd z Kozactwem i jego chytrą do czynienia nie mieli, co je sobie wazyli lekko, co śmieli się, gdy w Warszawie rozpowiadano, że Chmiel miał swoich i w Wenecyi i w Watykanie i na Ciesarskim i na Sultana dworze, otworzyły się oczy i poznali, że nieprzyjaciół to był straszniejszy, niż się zdawał... a owo pijaństwo nieustanne i gburstwo udaniem było, owo chłopstwo umyślnie wdziame i noszone.

Nim się też dowiedziano o Tatarach, już Korycki, który w odwodzie był z pułkiem ostrogskim (tym,



którym w Toporowie Pełkę i Żółkiewskiego utracił), ścierał się z nimi, a choć garść miał tylko przeciw Ordzie, zahamował ją nieco... Z drugiej strony Tatarowie na ciągnące wozy napadli, przy których nikt, krom ciurów nie było, a ci uszli i wozami droga się zaparła, a zamieszanie powstało straszne.

Szczęściem, że z orszaku króla nie potracili głów wszyscy i mężstwo mieli, większe, niż szczęście.

Co prędzej i wozów i mostów na Strypie bronić było trzeba. Skoczył tedy ochotnikiem ze swymi Witowski i postanowili murem stać, ażby się wojska i króla doczekali. Do niego przyłączył się Ossoliński, starosta stobnicki, i pięć niezbyt odzianych chorągwi Województwa Ruskiego. Ci nie tylko impet wstrzymali, ale Tatarów odparli.

Trwało to wszakże krótko, choć z posiłkiem nadszedł i otuchą Sapieha, z siedmią chorągwiami dobrze okrytymi i choć na sercu nie zbywało, Orda w dziesięć koni liczniejsza zalewała dokoła... czerniało od niej jak od mrowia, i odgłos walki głużył kościelne dzwony.

Złą, zaprawdę, wróżbą było to wciągnięcie do Zborowa, gdy na samym wstępie co najmężniejsi ochotnicy padli, usiłując powstrzymać dzieć, dopóki-by król się z wojskiem nie przeprowadził i nie rozłożył. Zginął tu pierwszy Witowski, który innych za sobą pociągnął, Żaluski, podpułkownik, obok niego, a mężnego Sapieha, pod którym konia ubito, służba jego na rękach wyniosła.

Żałował król najmocniej Balduina Ossolińskiego, synowca kanclerza, który znalazł się u boku królewskiego, aby mu pogrzeb sprawił, młodego Tyszkiewicza i wielu a wielu innych z najdzielniejszej szlachty ruskiej. Ani się było można pocieszać tem, że takimi ofiarami okupiono zwycięstwo, gdyż za ledwie obronną ręką wyszedł król, opędziwszy się ćmie tatarskiej, aby się mógł obozem rozłożyć i okopać...

Wojsko tchnąć ani spocząć nie miało czasu, gdyż

natychmiast taborem się potrzeba było obwarować, wałem osłonić, a wielka siła Ordy, w którą wczoraj nie wierzono, dziś już aż nadto się czuć dawała.

Tem jednym mógł tylko pocieszać się król, że do miary niebezpieczeństwa mężstwo urosło, bo nie tylko to pierwsze starcie, tak krwawe, nie strwożyło, ale wznieciło zapal nadzwyczajny.

Wieczorem późnym, gdy do chałupy, w której król się pomieścił tuż przy obozie, weszli: Ossoliński, który synowca oplakiwał, Stanisław Potocki, Jerzy Lubomirski okryty pyłem i obryzganym krwią, ocalony Sapieha, a z nimi co najprzedniejszego wojsko miało... wszyscy słów nie mieli na wychwalanie tego mężstwa, z jakim wojsko się całe potykało, i krom ciurów a woźnic, którzy na chwilę od wozów odbiegli, nie było człowieka, coby do ostatka nie wytrzymał pod gradem strzał... i naciskiem Tatarów.

— N. Panie— odezwał się młody Sobieski, starosta Jaworowski — dzień to wielkiej sławy dla oręża polskiego, bośmy niespodzianie pochwyceni, przemagającą siłą parci, w najniewygodniejszym stanowisku, cudu dokazali, odpierając nieprzyjaciela. Dosyć nam jednego Kowalskiego, aby dzień ten upamiętnić.

— Jakiego Kowalskiego?— zapytał król.

— Chorążego Ziemi Lwowskiej— dodał Sobieski— Tatar mu prawą rękę uciął, którą chorągiew trzymał: chwycił ją lewą, tuląc do piersi, a gdy i tę mu odrąbano, sam się położył na chorągwi i obronił ją.

— A Rzeczycki, Starosta Urzędowski — odezwał się kasztelan Braclawski, Stępkowski — na którego patrzył, jak się ze trzema chorągwiami między opłotki wparł, gdzie go ścigło.

— Rzeczyckiego tem więcej żal— dodał Sobieski— że nam tłumaczów braknie, gdy języka dostaniemy, a on po turecku, arabsku, persku i po tatarsku *expedite* mówił...

— Mnie mojego Czarneckiego przy wozach ubito— westchnął król...



— Niepoliczyć strat naszych—dodał kanclerz Ossoliński.—Szlismy ostrożnie, czaty wysyłając, starając o nieprzyjaciela wiedzieć, nie pomogło nic. Lud strwożony z Kozactwem trzyma, a nam, kłaniając się, kłamie, bo już Chmiela zwycięstwa upoiły jego i wszystkich...

Jan Kazimierz nie chciał jeszcze wierzyć w wielką Ordy potęgę, ale co chwila przynoszone wieści ją potwierdzały. Ossoliński i Jerzy Lubomirski, wszyscy zresztą, zgodnie największą baczność doradzali.

— Łacno to dostrzedz—rzekł kanclerz—iż Chmielnicki nawałę tę tatarską zesłał na nas; aby nam nie dać ciągnąć Zbarażowi na pomoc. Musimy się wyrębać z Tatarów... i rozproszyć ich. Długo stać nie jest w ich obyczaju...

— Daj Boże, abyśmy ich zmusili—odparł Sobieski młody—lecz lękać się trzeba, aby ich tu liczba taka nie znalazła się, przeciw której my z największym męstwem nie podolamy.

Przez całą tę noc nikt w obozie nie zmrzył oka. Szło i o wojsko i o bezpieczeństwo osoby króla, który męstwo obiecywał znaczne, lecz i nieopatrzność a niedoświadczenie zdradzał.

Wybrali więc wodzowie sześciu najdzielniejszych z młodzieży, którzy na krok króla nie mieli odstępować. Z tych później Jan Kazimierz dwu tylko przy sobie zostawił: Jędrzejowskiego i Śladkowskiego, czując się wśród wojska bezpiecznym, i trzymając w głównym korpusie Huwalda, gdzie była piechota niemiecka i usarskie chorągwie...

Na wszystkie strony poroższano czaty: nigdzie daleko signały nie mogły. W koło leżeli Tatarowie. Pełną ich była dąbina, zarośl i wzgórza...

Królowi dodawano męstwa i otuchy, ale dowódcy między sobą, zebrawszy się później na radę u Ossolińskiego, przyznać się musieli, że tu bodaj drugi Zbaraż się gotował, jeżeli w prędkim czasie Tatarów się przelamać i rozproszyć nie uda.

— Gdyby Orda sama była tylko — rzekł Ossoliński—choćby jej dwakroć tyle na nas natarło, nie lękałbym się tak bardzo; nie z Tatarami jednak do czynienia mamy, ale z Chmielem, którego ręka niewidzialna jest wszędzie. On nas policzył wprzód, niż my sami siebieśmy zregestrowali, on na nas ich nadsłał, a sam w odwodzie stoi tak pewno, jakby go widział...

Święta prawda, panie kanclerzu — wtrącił młody Sobieski. — Chytróści jego padliśmy ofiarą, nie chcąc wierzyć w nim, czas w istocie przekonać się, że nie z lada jakim wrogiem do czynienia mamy.

Mybyśmy też chytróści zażył powinni—dodał Sobieski—aleśmy do niej mało zdolni, a zanadto szlachetni, paść tak, jak Kowalski, dać się rozsiekać w opłotkach, to nasza sprawa... a podejść nieprzyjaciela...

— Zaprawdę—rzekł cicho Ossoliński — jużbyśmy w ostateczności tej i do przebiegłości uciec się powinni, lecz nie widzę, jakbyśmy zażył jej mogli?

Sobieski dumiał chwilę...

— Kozakami tą chytrością nie nie wskóramy — rzekł—a z Tatarami, którzy dawniej Rzeczypospolitej służyli, podarki od niej brali... i nie są tak przebiegli, jak Kozactwo... czemu by nie próbować?

— Żebyśmy choć Rzeczyckiego mieli, który się z Tatarami mógł rozmówić — wtrącił Ossoliński—ale i tego nam zła dola... wyrwała.

— Nie chwając się — odparł Starosta Jaworowski—mógłby go może zastąpić?

— Wy?—zapytał Ossoliński.

Sobieski się pokłonił.

— Pobić ich możemy próbować—odezwał się starosta—a... poszczęści-li Bóg jutro, tem lepiej... jeżeli ich nie odeprzemy... spróbujmy kupić... Na sprzedaż są...

Podumał chwilę kanclerz.

— Myśl-ci to jest, którą w naszym położeniu po-



garszać się nie godzi—rzekł powolnie.—Zachowajcie ją przy sobie... któż wie? zbawienną być może.

— Nie zdradzając się z nią—dodał Sobieski — na wszelki wypadek coś przygotować się godzi. Nie może być, abyśmy rannych lub pochwyconych w zgiełku niewolników tatarskich nie mieli. Wybrałbym z nich jednego dla języka, a wiedziałbym jak i co mówić z nim. Puścić-by go potem, niby z przypadku, aby poniosł między swych co potrzeba.

Ossoliński miał położenie za tak niebezpieczne i rozpaczliwe, iż mu rada Sobieskiego, na pozór zachwała i dziwaczna, nie zdawała się ani śmieszną, ani odrzucenia godną.

— Czyńcie co wam się zda dobrem — rzekł — ale na własną rękę. Probuście... Ja sobie wiele nie obiecuję, lecz wszystkiego dziś zażywać potrzeba, gdzie nie tylko o żywot, ale i o cześć naszą i króla chodzi.

Na tośmy przyszli! z dopustu Bożego... za grzechy naszeli—zamruczał, ręce łamiąc, kanclerz.

Młody Sobieski wyszedł z namiotu.

Duszą i ciałem żołnierz znał już wojsko, ludzi, dowódców, rozkład obozów i namiotów... tak, że mu noc wiele nie przeszkodziła, natychmiast się puścić w okopy. Po drodze tylko pytał: azali niema gdzie jeńców tatarskich i czy kto o znaczniejszych z nich nie słyszał?

Nastręczył mu się tu Strzębosz, który i dla własnej ciekawości i dla króla wszędzie pilno sznurkował i rozwiadywał się.

— Są Tatarowie powiązani—odparł Dyżma — na kupę ich zrzucono pośrodku, aby nie pozbiegali, bo ta dziec zębami łyka rozgryza i pełzając, jak robactwo, się rozłazi.

Ale też ich i żyć nie było warto, a na miejscu im łby ścinać.

— Prowadź mnie—rzekł Sobieski.

W obozie, jak w biały dzień, ruszyło się wszystko; rozpytali więc łatwo o drogę. Jeńcy nie pod na-

miotem, ale w kałuży, na ziemi, kupą byli zrzuceni i powiązani tak, że ich pęta razem się wszystkie łączyły. Już zdala smród kożuchów i ciał rozpoznać ich dawał.

Przy świetle rozpalonej pochodni Sobieski mógł, przechodząc około tej kupy, przekonać się, że wielu jeńców, ciężko rannych, już trupami było. Pomimo, że krwi koło nich kałużki stały, żadnego głosu i jęku nie słychać było... tylko chrapanie i ciężkie oddechy konających.

Z brzegu postrzegł Sobieski mężczyznę silnej budowy, nieco szlachetniejszego oblicza, na którym też odzież oznaczała jeśli nie jakiegoś hana, to murze może.

Schylił się do niego i coś mu szepnął po tatarsku.

Jeniec oczy czarne wytrzeszczył jadu pełne: nie odpowiedział nie i odwrócił się.

Sobieski go kazał odwiązać od kupy i, z rąk mu łyk nie zdejmując, prowadzić za sobą do namiotu. Nie opierając się, ale jak bezwładna kłoda dał się Tatarzyn prowadzić. Strzębosz z ciekawości szedł za nimi.

Przybywszy do namiotu, Starosta Jaworowski kazał wody naprzód dać jeńcowi. Patrzył na nią długo, chciwie Tatar, jakby się wahał, czy ją przyjąć ma, ale pragnienie go paliło: chwycił w końcu i cały kubek wychylił do dna.

Sobieski mówić coś począł. Strzębosz, który po tatarsku słowa jednego nie rozumiał, oczyma tylko mógł sobie tłómaczyć wrażenie, jakie czynił młody Polak na Tatarzynie. Bronił on mu się milczeniem dumnem długo, naostatek coś go dopiekło, wyrwało mu się słowo jedno. Sobieski je podchwycił; Tatarowi rozwiązały się usta, oczy mu się zaiskrzyły — posypały się z obu stron pytania i odpowiedzi.

Tatarzyn, w końcu znużony, padł na ziemię i zamilkł znowu. Starosta mówił długo jeszcze, potem przywołał dwóch jeszcze ze swej czeladzi i starszego



ze sług, wskazał im na Tatarzyna i kazał go napowrót do innych jeńców odprowadzić.

Dzień zaświtał, gdy już król na koniu ustawiające się oddziały swe objeżdżał, niespokojny. Znali starzy wojownicy Tatarów, że zawsze dla zręczniejszego z łuków strzelania na lewe skrzydło naprzód wpadali. Postawiono tu Lubomirskiego, który mężnie odeprzeć ich był gotów. Wiatr też, który o wschodzie słońca się zerwał, przychodził w pomoc, bo od królewskich wojsk Tatarom w oczy dał, co siłę ich strzał osłabiało i odnosiło je w stronę. Królowi, gorączka, z której od wieczora nie wychodził, dodała sił i ochoty bojowej, choć widok tatarskich tłumów, ponad którymi trzy zielone buńczuki Gireja powiewały w powietrzu, pewnośc ta, iż za nimi Kozacy stali, czekając hasła, bardzo wątpliwem czyniła zwycięstwo.

Około południa król z orszakiem swym i oddziałem straży objeżdżał jeszcze szeregi.

Jak przewidywano, na lewem skrzydle z Lubomirskim przyszło naprzód do starcia, a tu tak się ścisnęli walczący niemal w jedno ciało, że szeregów jednych od drugich rozeznąć nie było można. Z małego wzgórza król, stojąc, patrzył, gdy w oczach mu się zaćmiło; tatarska dzicz złamała pierwsze szeregi, które poczęły iść w rozsypkę.

Nie wierzył oczom, gdy Puzowski od Lubomirskiego przypadł, wołając o ratunek i posiłki, a wołanie jego wymownem było, bo miał przestrzeloną wargę, gębę krwi pełną i strzała mu tkwiła jeszcze w ustach.

Piechota tedy niemiecka od króla poszła zaraz z Huwaldem naprzeciw uchodzącym, ale i Jan Kazimierz sam się z nią rzucił, zapomniawszy o niebezpieczeństwie. W tej godzinie życia krew rycerska się w nim odezwała.

Wybiegłszy naprzeciw uchodzącym, począł jednych szpadą uderzać, drugich konie za cugle chwycić, wskazując nieprzyjaciela.

Głos i widok zagniewanego króla zawstydził i po-

wstrzymał, a wtem i niemiecka piechota sypnęła gradem kul; Tatarzy nie mogli dotrzymać placu, zmieszali się, poczynając uchodzić.

Po odparciu tego pierwszego napadu, gdy się Orda nieco rozpieczęła, a do obliczenia strat przyszło, nie okazywały się one wielkimi, wojsko też przerażone szkodliwie nie było; ale wszyscy czuli, że się zwycięstwem też chwalić nie było można, i że, gdyby Tatarowie całą siłę swą wywarli na wojsko królewskie, pod nawałą tą pewnośc by uległ musiało.

Myśli tej nikt nie wypowiadał: owszem, dawano sobie otuchy, rozpowydano przygody bojowe, dobywano szczątki połamanych strzał z kaftanów, ale w duchu spokoju nie było... król i teraz spocząć nie chciał.

On, jako wódz, odczuwał w tej godzinie wszystko, co krążyło w myśli tego tłumy, co nim poruszało.

Noc zapadła, chmurna, czarna i oparna; ciury obozowe i pospolity człęk, który tylko czuł, że przewagi nie mieli wodzowie, widział ich posępne twarze, a troskliwe opasywanie się strażami przeciw nocy, począł się trwożyć.

W takim tłumie dość jednego słowa, aby wznieść pożar. Głowy były po boju i znoju, może i napoju, oszołomione; najrzał ktoś przechodząc około wozów królewskich, że na nich wczoraj obluźowane sznury przymocowano. Zdało się drugiemu, iż dopatrzył koni, które do wozów wprzegać miano; przywidziało się innemu, że namioty składano.

Dosyć tego było, aby po wojsku poszła wieść jak błyskawica: „Panowie się do ucieczki sposobią. Król uchodzi, a nas na rzeź i jatki Tatarom wydają!”

Nikt ani sprawdzał, ani wątpił, że w istocie, jak pod Piławcami, salwować się chcieli co przedniejsi, aby uniknąć niewoli: więc z szalasu do szalasu szmer i trwoga, bieganina, nawoływania, krzyki.

Strzębosz, który do królewskiej chałupy wracał, jednego i drugiego ze strwożonych pochwytywszy na



dworze, choć się im w oczy rozśmiał, parsknął i zgromił, ale zamiarkował, że o tem królowi trzeba dać znać było.

Właśnie do drzwi dobiegał, gdy tu natrafił z jednej strony ks. Cieciszowskiego, z drugiej Tyszkiewiczza, cześnika litewskiego, którzy przebojem śpieszyli tożsamo oznajmić.

Król wieczorne miał odmawiać modlitwy z ks. Lisieckim, Jezuitą, kapelanem swoim, gdy Cieciszowski, Tyszkiewicz i Strzębosz, nie oznajmując się, wtargnęli.

— N. Panie—zawołał Tyszkiewicz—chwili niema do stracenia, zapobiegać trzeba wielkiemu zamieszanin, a może sromocie. W obozie szerzą się wieści, że dowódcy i sam król uchodzić mają nocą... wszyscy też salwować się chcą. Pod namiotami niewypowiedziana trwoga i zamieszanie.

— Cóż mam czynić?—zapytał król.

Mężny kapelan ks. Lisiecki, który odwagę swoją miał życiem przypłacić, krzyknął na Strzębosza:

— Konia dla N. Pana. Pochodni! pojedziemy po obozie! Niech widzą oblicze pańskie, niech się przekonają, że tu życie dać wszyscy gotowi, ale salwować się nie myśli nikt.

Jan Kazimierz, który przez cały ten dzień był jak nigdy w życiu, usposobiony ofiarnie i rycersko, a miał w kapelanie swym ufność, natychmiast za nim wołać zaczął.

— Konia! pochodni!

Tyszkiewicz biegł do Lubomirskiego, ks. Cieciszowski do kanclerza, aby oni królowi towarzyszyli.

Ale Jan Kazimierz wcale na nich nie myślał oczekiwać.

Wdziawszy już czapkę, wyszedł z ks. Lisieckim na próg.

— Co prędzej konia...

Poprowadzono mu go. Strzębosz, lękając się nocy i rozgorzenia, z jakim król się wybierał pułki objeżdżać, pochwycił za cugle.

Pacholik przybiegł z zapaloną pochodnią.

— Kolejaj, po pułkach! kolejaj!—począł wołać Jan Kazimierz.

Zaledwie w środek obozu wjechał król, gdy nacznie się mógł przekonać, że mu fałszywie nie doniesiono. Pomiedzy szalaszami i namiotami stały gromadki wykrzykujące: „Król i panowie uchodzą!”

Pierwszego, który mu się nastęczył, a nie widział nadjeżdżającego, uderzył król szpadą po ramionach.

— Król—zawołał z największym zapalem.—Otom ja! król wasz! Patrzajże, iż jako żyć pragnę, tak uchodzić nie myślę, ginąć z wami gotówem! Co wam się stało? Poszaleliście! Szlachta króla, żołnierze hetmana odbieżeć chcecie. Dziś nas Pan Bóg łaską swą salwował z niebezpieczeństwa, a jutro się zwycięztwa spodziewamy. W Imię Jego!

Chyba tchórzostwo i gnuśność wasza przyprawi nas o stratę tego, cośmy zyskali. Poczcieście tu szli i poczynali, jeżeli wam do końca serca braknie?

Ja tu pozostanę, choćby sam jeden do końca, a przyjdzie głowę położyć: nie wzdygam się.

Tuż za królem ks. Lisiecki, zagrzany mężstwem, którego dawał dowody codzień, podchwycił:

— Srom i hańba wiekuiście nam i imieniu naszemu, jeśli się tej dzicy ulękniecie!

Rozstąpili się pomieszani i milczący żołnierze, a niektórzy z nich tłómaczyli poczęli, ale nie czas ich było słuchać, król tożsamo powtarzając, ruszał dalej. Stawał wśród nagromadzonych i wybiegających z namiotów i krzyczał na cały głos: Otom jest!.. otóż stoję i nie uchodzę.

Wśród tego pochodu, który cały obóz na nogi powołał... nadbiegł konno Ossoliński.

— W tej chwili odebrałem posłańca, iż pospolite ruszenie ciągnie z siłami znacznemi; jutro się może połączyć z nami!

Śobieski, który też konia dosiadł, nie wahał się dodać:



— Tatarowie odstąpić radzi Kozaków! Wszystko się nam składa jako najlepiej. Zbarażcy oblężnicy zwyciężko się bronią i rzeź wielką uczynili.

Wszystko to razem cudownie powstrzymało już tak rozszerzający się popłoch, że kilku, co na koniach siedzieli i mieli uchodzić, coprędzej zawrócili się, kryjąc, aby ich nieostrzeżono. Zabrakło coś bojaźliwszych, ale tych zniknięcie, na wczorajszą potyczkę złożono.

Umysły się uspokoiły. Król zaś nie chciał powrócić do swoich, aż cały obóz do kończyn jego objechał.

Na brzask się miało, gdy z ks. Lisieckim, który mszę św. zabierał się odczytać, powrócił do swych dworaków. Czasu już na odpoczynek nie było, ani kto o nim myślał.

Animusz okrutny owładnął właśnie tymi, co wczoraj największą okazywali trwogę.

Gdy król wyszedł po mszy na próg, znalazł całe podwórko pełne rotmistrzów, dowódców, starsziny, dopominającej się rozkazów. Wszyscy poprzysięgali, że do ostatniej kropli krwi bić się gotowi.

Wojsko zatem tak, jak wczoraj, szykować począto. W tyle, za obozem znajdowało się miasteczko... a wały obozowe sięgały pod cerkiew ruską, którą wczoraj jeszcze Kozacy odebrali i obsadzili. Z tej jednak strony nie ważyli się napaść, bo silnie była obsadzona.

Już dobry był dzień, gdy razem Kozacy na lewe, a dwaj chanowie tatarscy rzucili się na prawe skrzydło, którem dowodził Ossoliński.

Srogi i zajadły zawrzał bój, w którym mieszczaństwo też oszalało, w dzwony bijąc, słomę po drogach paląc, udział brało. Prowadzili oni opłotkami znanimi sobie oddziały Kozaków... Zagrzmiały działa i niemiecka piechota dostała kroku. Nie ustępowali napastnicy, ale też wojsko się złamać nie dawało.

Królowi przyszły na myśl owe obiecane posiłki, które nie nadciągały.

— Strzębosz!—obrócił się do stojącego przy sobie, a kipiącego chęcią wyrwania się do boju chłopaka.— Chcesz ty mi zasłużyć, próbuj... idź do wozów, ciurów i luźnych ludzi... jest ich gromada, co się z założonemi rękami przypatrują daremnie. Dodaj im serca, zbierz do kupy, niech chwycą broni, co jest zapaśnej, lada opłotek od namiotu na żerdzi za chorągiew posłuży... Gdy nową siłę nadciągającą zobaczą, pierzchną może.

Zrozumiał wlot Dyzma przykazanie królewskie: spiał konia i pobiegł ku obozowi. Jednemu Bogu wiadomo, jakich tam zażył argumentów, ale w niespełna pół godziny, niejaki Zabuski, stary żołnierz, który się ze Strzęboszem połączył, prowadził już pod płóciennemi chorągwiami z obrusów... wojsko z pacholków i ciurów zebrane, które z taką zajadłością do boju szło, jakby panów swych zawstydzić chciało. Zabuski z tą gromadą wpadł do miasteczka na Kozaków i w pierwszym impecie wysadzili ich precz z niego na pole, ale gdy tu za daleko się zapędzili, Kozactwo się opatrzyło, z kim ma do czynienia i poczęło okrutnie sieć i rąbać. Dopiero dragonia Pleśnickiego, Starosty Opoczyńskiego, na posiłek im przypadłszy, resztę uratowała.

Strzębosz, który razem z Zabuskim prowadził czeładź, nie opatrzył się aż w polu, że ksiądz Lisiecki, który z krzyżem w ręku między ciurów wpadłszy na koniu, najwięcej ich zagrzewał, najpierw postrzelony nieszkodliwie, a potem, nie dając się odprowadzić, drugą i trzecią kulą przeszyty, padł na placu.

Skoczył ku niemu Dyzma, aby zpod konia ratować, ale gdy się nad nim pochylił, usłyszał tylko z ust skrwawionych... dobywające się westchnienie ostatnie.

— Jezus—Marya—Józef.

Ks. Lisiecki nie żył.



Pod koniec dnia, wszyscy się na stanowiskach swych utrzymali, ale straty były ogromne. Uszli wprawdzie Tatarowie, pochowali się Kozacy. Zwycięstwo na oko pozostało przy królu, lecz oczy wódzów widziały już, że po takich kilku wiktoryach... obronić się nawale nie będzie podobna.

Gdy przyszło pod noc do obrachunku, płakał król nie tylko swojego ukochanego kapelana, ale żołnierza najlepszego blisko dwu tysięcy, rotmistrzów i towarzyszy swych chorągwi czterdziestu siedmiu... i wielu najdzielniejszych z rycerstwa pospolitego. Wzięto jednego murzę tatarskiego i plugawego motłochu dosyć, ale tych nie żywiono...

Noc zapadła, król dziękiżynne odprawiał modlitwy; w obozie dosyć ohocho i rażno, opatrując rany, rozprawiano o dniu skończonym. Była to jedna z tych walk bez rozgłosu, bez widomego skutku, która więcej wysiłku, męstwa, ofiar kosztowała, niż niejedno świetne zwycięstwo.

Ossoliński, wszystko zważywszy... wczorajszą myśl Sobieskiego sobie przywłaszczył...

Wszedł do izdebki króla z czołem chmurnem.

— Bogu dziękujmy! — powitał go Jan Kazimierz — mam najlepszą otuchę. Posiłki nadejść muszą.

Zmilił kanclerz.

— N. Panie — rzekł — i ja nie tracę nadziei, ale gdy szlachetnej krwi oszczędzić można... godzi się próbować.

Nie możemy się ludzi, trzymać się będziemy, ale zbaraskich naszych bohaterów nie odsieczem, a sami w końcu wycieńczeni — kto wie, czy coraz napływającym nowym posiłkom tatarskim wydołamy:

Król ręce rozkrzyżował.

— W Panu Zastępów nadzieja nasza! — zawołał.

— Myślę — wtrącił Ossoliński — że się jednak godzi przynajmniej spróbować, azali cudem jakim nie oderwiemy im Tatarów. Tych kupić potrzeba.

— Jak? — zapytał król.

— Wyślę jeńca tatarskiego z listem do Islam Gereja. Zapytam go: dlaczego on, sprzymierzeniec Rzeczypospolitej, wierności jej nie dotrzymuje i z wrogami naszymi się łączy. Mam jakieś przecucie, iż się w ten sposób uratować zdołamy.

Na pospolite ruszenie owo, niestety, rachować trudno. Kozactwo, samo sobie zostawione, Zbarażowi i nam czoła stawiać nie będzie mogło.

Mam wysłać list? — spytał kanclerz...

— Trzebaż do dna wypić kielich upokorzenia? — odparł król.

— Nie będzie upokarzającym zapytanie, nie prosimy ich o nic... Tatarzy ponieśli klęski, łupu niewiele zdobyli; damy im choćby ostatni grosz, abyśmy ich od Kozactwa odciągnęli.

Król się zadumał... nie odpowiadał.

— Oręża nie puścim z dłoni — dodał Ossoliński — lecz gdy krew złotem okupić można?

— Lękam się, aby mi plamą i grzechem to wezwanie Tatarów nie ciążyło — odezwał się powolnie — lecz szczerdzić najdroższej krwi obowiązkiem... a Kozactwo złamać dla nas koniecznością, czyż — co Bóg natchnął...

Westchnął Jan Kazimierz. — Nie chce Bóg pogłogosił orężowi mojemu — szepnął smutnie. Stań się woła Jego!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

WZEU  
SJK  
m. 11. 11. 11.

331



